

AGATHA CHRISTIE

PRÓBA NIEWINNOŚCI

TŁUMACZYŁA KRYSTYNA BOCKENHEIM
TYTUŁ ORYGINAŁU: ORDEAL BY INNOCENCE

Będęli się chciał usprawiedliwić,
usta moje potępia mię; jeśli się
niewinnym pokażę, dowiedzie,
żem nieprawy.
Hioba IX, 20

Dla Billy'ego Collinsa
z uczuciem i wdzięcznością

ROZDZIAŁ PIERWSZY
I

Kiedy dojechał do promu, zapadł zmierzch.
Mógł być tam dużo wcześniej. Szczerze mówiąc, odwlekał to, jak długo się dało.

Najpierw był lunch z przyjaciółmi w Redquay; lekka, swobodna rozmowa, wymiana plotek na temat wspólnych znajomych – wszystko tylko dlatego, że wzbraniał się wewnętrznie przed tym, co miał zrobić. Przyjaciele zaproponowali, by został na podwieczorku, a on przyjął zaproszenie. Wreszcie jednak nadszedł czas, kiedy zrozumiał, że nie może dłużej odkładać załatwienia sprawy.

Zamówiony samochód czekał. Pożegnał się i pojechał siedem mil zatłoczonym wybrzeżem, a potem w głąb łądu, lesistą drogą, kończąca się przy małym kamiennym molo nad rzeką.

Kierowca energicznie zadzwonił w wielki, wiszący tam dzwon, wzywając prom z drugiego brzegu.

– Czy życzy pan sobie, żebym poczekał, sir?

– Nie – odparł Arthur Calgary. – Zamówiłem samochód, żeby za godzinę zabrał mnie do Drymouth.

Kierowca otrzymał zapłatę i napiwek. Spojrzawszy na mroczną rzekę, powiedział:

– Prom już nadpływa, sir.

Życząc cicho dobrej nocy, zawrócił i odjechał. Arthur Calgary został sam na brzegu mola. Sam, ze swoimi myślami i lękiem przed tym, co go jeszcze czeka. Jaka dzika okolica – pomyślał. Można by wyobrazić sobie, że to szkockie jezioro, położone gdzieś na odludziu. A jednak zaledwie parę mil stąd były hotele, sklepy, cocktail bary i zatłoczone Redquay. Zastanowił się, nie po raz pierwszy, nad kontrastami angielskiego krajobrazu.

Usłyszał cichy plusk wioseł – prom zbliżył się do brzegu małego mola. Arthur Calgary zszedł po ochlapanym pomoście na łódź, którą przewoźnik przytrzymał bosakiem. Był to stary człowiek i zrobił na Calgarym dziwne wrażenie: jakby stanowił wraz z łodzią nierozzerwalną całość.

Kiedy odpływali, od morza powiał chłodny wietrzyk.

– Zimno dziś wieczór – rzekł przewoźnik.

Calgary odpowiedział coś stosownego. Potem zgodził się, że jest chłodniej niż wczoraj.

Zdawał sobie sprawę z ciekawości kryjącej się w oczach przewoźnika. Był tu obcym. I to obcym po zamknięciu sezonu turystycznego. Co więcej, przybywał o niezwyklej porze – zbyt późno na herbatę w kawiarni obok przystani. Nie miał bagażu, zatem nie przyjechał, by się zatrzymać. (Dlaczego – zastanowił się Calgary – zjawił się tu o tak późnej porze? Czy rzeczywiście podświadomie

oddalał ten moment? Odsuwał – najdalej jak się dało – to, co musiał zrobić?) Przekroczenie Rubikonu – ta rzeka... rzeka... jego myśli pobiegły do innej rzeki – do Tamizy.

Patrzył na wodę niewidzącymi oczami (czyżby to było zaledwie wczoraj?), potem ujrzał znowu twarz mężczyzny, patrzącego na niego przez stół. W tych oczach było coś, czego nie potrafił zrozumieć. Pewna rezerwa, coś, co zostało pomyślane, ale nie wyrażone...

– Przypuszczam – zastanowił się – że prawników ucza, by nigdy nie objawiali swych myśli.

Cała historia była naprawdę okropna, kiedy się w nią zagłębiło. Musiał zrobić co do niego należało i potem zapomnieć!

Zmarszczył brwi wspomniałszy wczorajszą rozmowę. Miły, spokojny, niezaangażowany głos, mówiący:

– Jest pan zupełnie zdecydowany, by zacząć działać, doktorze Calgary?

Odpowiedział gorąco:

– Co innego mogę zrobić? Na pewno pan to rozumie? Musi się pan ze mną zgadzać. To rzecz, przed którą nie mogę się uchylić.

Nie pojmował jednak wyrazu szarych oczu i był lekko zakłopotany odpowiedzią.

– Trzeba rozpatrzyć dokładnie przedmiot, rozważyć wszystkie aspekty.

– Z punktu widzenia sprawiedliwości na pewno może istnieć tylko jeden aspekt.

Mówił zapalczywie, przez chwilę sądząc, że była to haniebna próba zatuszowania całej historii.

– W pewnym sensie rzeczywiście tak. Ale widzi pan, w tej sprawie jest coś więcej. Więcej niż – nazwijmy to – sprawiedliwość.

– Nie zgadzam się. Trzeba wziąć pod uwagę rodzinę.

Tamten odpowiedział szybko:

– To prawda, tak, słusznie. Myślałem o nich.

To wydawało się Calgary'emu bzdurą! Ponieważ, jeśli myślał o nich...

Jednak zaraz potem drugi mężczyzna stwierdził miłym głosem:

– To zależy wyłącznie od pana. Powinien pan zrobić to, co uważa pan za słuszne.

Łódź wylądowała na plaży. Przekroczył Rubikon. Przewoźnik powiedział miłym głosem mieszkańca zachodu:

– Cztery pensy, sir. Czy będzie pan wracał?

– Nie – odparł Calgary. – Powrotu nie będzie. (Jak proroczo zabrzmiały te słowa!)

Zapłacił, a potem spytał: – Zna pan dom, który nazywa się Sunny Point?*

Natychmiast ciekawość starego stała się jawna. Zainteresowanie w jego oczach wzrosło gwałtownie.

– No pewnie. To tam, po pana prawej stronie, widać przez drzewa. Pójdzie pan na wzgórze i drogą w prawo, a potem skręci pan w nową drogę przez osiedle. To ostatni dom, na samym końcu.

– Dziękuję.

– Pan powiedział Sunny Point? Tam, gdzie pani Argyle...

– Tak, tak... – uciał Calgary. Nie chciał dyskutować na ten temat. – Sunny Point.

Leniwy i dosyć szczególny uśmiech pojawił się na twarzy przewoźnika. Wyglądał jak sędziwy, chytry faun.

– To właśnie ona nazwała tak dom podczas wojny. To był nowy dom, dopiero co wybudowany, i nie miał nazwy. Ale grunt, na którym został postawiony, ta lesista mierzewa, to jest Viper's Point!* Ale Viper's Point nie pasowało na nazwę dla jej domu. Nazwała go Sunny Point. A my wszyscy nazywamy go Viper's Point.

Calgary podziękował mu szorstko, powiedział do widzenia i ruszył w stronę wzgórze. Wszyscy zdawali się siedzieć w domach, ale wyobrażał sobie, że niewidoczne oczy zerkają na niego z okien, wszyscy obserwują go, wiedząc dokąd idzie. Mówią do siebie: „On idzie do Viper's Point...”

Viper's Point. Jak trafnie musiała zabrzmieć ta nazwa...

„Ponieważ ostrzejszy jest niż ząb węża...”

Zdecydowanie opanował swoje myśli. Musi wziąć się w garść i skupić ściśle na tym, co zamierzał powiedzieć...

II

Calgary doszedł do końca nowej drogi, z ładnymi domami po każdej stronie i ośmioakrowymi ogródkami, w których rosły skalniaki, chryzantemy, róże, szałwia, geranium, prezentujące indywidualne gusty właścicieli.

Przy końcu drogi widniała brama z napisem gotyckimi literami SUNNY POINT. Otworzył ją i poszedł krótką alejką. Dom stał przed nim – solidny, nowoczesny, pozbawiony charakteru budynek, ze spadzistym dachem i portykiem. Mógł znajdować się na każdym dobrej klasy podmiejskim terenie czy osiedlu. Według Calgary'ego nie był wart spojrzenia. Za to widok stąd był wspaniały. Rzeka w tym miejscu skręcała ostro, prawie zwracając. Po przeciwnej stronie wznosiły się wzgórza; po lewej, w górze rzeki widać było następny zakręt z łąkami i sadami w oddali.

Calgary przez chwilę patrzył w górę i dół rzeki. Ktoś powinien zbudować tu zamek – pomyślał – nieprawdopodobny, śmieszny bajkowy zamek! Taki, jaki mógłby powstać z piernika albo z lukru. Zamiast tego był dobry smak, umiar, powściągliwość, mnóstwo pieniędzy i absolutny brak wyobraźni.

Oczywiście za to nie winił Argyle'ów. Oni kupili tylko dom, nie zbudowali go. Niemniej jedno z nich (pani Argyle?) wybrało go...

Powiedział sobie: Nie możesz odkładać tego dłużej..., i nacisnął dzwonek przy drzwiach.

Stał i czekał. Po stosownej przerwie nacisnął dzwonek jeszcze raz.

Nie słyszał kroków, drzwi otworzyły się nagle.

Cofnął się, zaskoczony. Nadmiernie pobudzona wyobraźnia podsunęła mu myśl, że to sama Tragedia broni mu wejścia. Była to młoda twarz; siła jej młodości sprawiała, że tragedia była jej istotą. Tragiczna Maską – pomyślał – zawsze była maską młodzieńca... Bezradna, z góry napiętnowana przeznaczeniem, zbliżaniem się fatum... z przyszłości...

Przytomniejąc pomyślał, racjonalizując swoje wrażenia: Irlandzki typ. Ciemnoniebieskie oczy, głębokie cienie pod nimi, mocno kręcone, czarne włosy, ponura piękność kości czaszki i kości policzkowych...

Dziewczyna stała – młoda, czujna i pełna wrogości.

– Tak? Czego pan chce? Odpowiedział konwencjonalnie.

– Czy pan Argyle jest w domu?

– Tak. Ale nie przyjmuje nikogo. To znaczy ludzi, których nie zna. Nie zna pana, prawda?

– Nie. Nie zna mnie, ale...

Zaczęła zamykać drzwi.

– Wobec tego proszę raczej napisać...

– Przykro mi, ale bardzo mi zależy na spotkaniu z nim. Jest pani panna Argyle?

– Jestem Hester Argyle – przyznała niechętnie. – Ale mój ojciec nie przyjmuje nikogo, przynajmniej bez umówienia. Proszę lepiej napisać.

– Przyjechałem z daleka... Dziewczyna pozostała niewzruszona.

– Wszyscy tak mówią. Pomyślałam jednak, że to się musi wreszcie skończyć.

Ciągnęła oskarżającym tonem:

– Jest pan zapewne reporterem?

– Nie, nic podobnego.

Obejrzała go podejrzliwie, jakby nie uwierzyła mu.

– No więc, czego pan chce?

Za nią trochę w głębi hallu zobaczył inną twarz. Bezbarwną, pospolitą twarz. Mógłby ją opisać jako twarz podobną do naleśnika, twarz kobiety w średnim wieku, z kędzierzawymi, żółtawymi, siewjącymi włosami, przyklepanymi na czubku głowy. Kręciła się z tyłu, czekając jak czujny smok.

– To się wiąże z pani bratem, panną Argyle. Dziewczyna gwałtownie złapała oddech. Powiedziała bez przekonania:

– Z Michael'em?

– Nie, z pani bratem Jackiem. Wybuchnęła:

– Wiedziałam! Wiedziałam, że dojdzie do Jacko! Dlaczego nie potraficie zostawić nas w spokoju? To wszystko minęło i skończyło się. Dlaczego ciągniecie to dalej?

– Nigdy nie można mówić, że coś jest zakończone.

– Ale to jest zakończone! Jacko nie żyje. Dlaczego nie potraficie go zostawić w spokoju? Wszystko minęło. Jeżeli nie jest pan dziennikarzem, pewnie jest pan lekarzem albo psychologiem, albo kimś takim. Proszę sobie pójść. Nie trzeba niepokoić mego ojca. Jest zajęty.

Zaczęta zamykać drzwi. Calgary w pośpiechu zrobił to, od czego powinien był zacząć: wyciągnął z kieszeni list i podał go dziewczynie.

– Mam tu list od pana Marshalla.

Zmieszała się. Niezdecydowanie zacisnęła palce na kopercie. Zapytała z wahaniem w głosie:

– Od pana Marshalla z Londynu?

Kobieta w średnim wieku, ukrywająca się w głębi hallu, podeszła do niej. Zerknęła na Calgary'ego podejrzliwie i to przywiodło mu na myśl zagraniczne klasztory żeńskie. Oczywiście, to była twarz zakonnicy! Okrągłą twarz powinien otaczać sztywny, biały kornet – czy jak tam się to nazywa, czarny habit i welon. Nie była to twarz kontemplacyjna, raczej twarz świeckiej siostrzyczki, która wygląda podejrzliwie przez uchylone ciężkie drzwi, zanim niechętnie wpuści cię i zaprowadzi do rozmównicy albo do wielebnej matki.

– Przychodzi pan od pana Marshalla? – spytała.

– Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

Hester wciąż wpatrywała się w trzymaną kopertę. Potem bez słowa odwróciła się i pobiegła schodami na górę.

Calgary pozostał na frontowych schodkach, pod oskarżycielskim i podejrzliwym okiem siostrzyczki-smoka.

Zastanawiał się, co by powiedzieć, ale nie umiał niczego wymyślić. Przezornie zatem milczał.

Niebawem dobiegł ich z góry głos Hester, chłodny i pełen rezerwy.

– Ojciec mówi, żeby on wszedł.

Jego strażniczka dosyć niechętnie odsunęła się. Wyraz podejrzliwości na jej twarzy nie zmienił się. Minał ją, położył kapelusz na krześle i wspiał się po schodach do czekającej na niego Hester. Uderzyło go, że wewnątrz domu wygląda jakoś higienicznie i przypomina raczej ekskluzywny dom opieki.

Hester poprowadziła go korytarzem i po trzech stopniach w dół. Potem otworzyła szeroko drzwi i gestem zaprosiła go do środka. Sama wsunęła się za nim, zamykając drzwi.

Pokój był biblioteką i Calgary podniósł głowę z uczuciem przyjemności. Atmosfera tego pomieszczenia odbiegała zdecydowanie od atmosfery reszty domu. To był pokój, w którym jakiś człowiek żył, pracował i wypoczywał. Ściany były pełne książek, fotele duże, dosyć wytarte, ale wygodne. Biurko było zarzucone papierami, książki leżały na stołach w sympatycznym nieładzie. Zobaczył w przelocie młodą kobietę, wychodzącą przez drzwi po przeciwnej stronie, dosyć przystojną młodą kobietę. Potem jego uwagę zajął mężczyzna, który wstał i podszedł, aby go powitać, z otwartym listem w ręce.

Na pierwszy rzut oka odniósł wrażenie, że Leo Argyle jest tak kruchy, tak przezroczysty, jakby ledwie istniał.

Widmo człowieka! Kiedy odezwał się, jego głos brzmiał przyjemnie, choć głucho.

– Doktor Calgary? Proszę siadać.

Calgary usiadł. Przyjął papierosa. Gospodarz ulokował się naprzeciw niego. Wszystko to działo się bez pośpiechu, jakby w świecie, w którym czas niewiele znaczy. Leo Argyle uśmiechnął się lekko, kiedy zaczął mówić, pukając delikatnie bezkrwistym palcem w trzymany list.

– Pan Marshall pisze, że ma pan nam przekazać ważne wiadomości, choć nie precyzuje ich rodzaju.

Jego uśmiech stał się wyraźniejszy, gdy dodał:

– Prawnicy zwykle są zbyt ostrożni, by się angażować, prawda?

Calgary pomyślał z lekkim zaskoczeniem, że człowiek, z którym się spotkał, jest szczęśliwy. Nie radośnie czy beztrudnie, jak się normalnie objawia szczęście, ale przez ciche, łagodne zamknięcie się w sobie. Był to człowiek, na którego zewnętrzny świat nie wpływał i który był z tego zadowolony. Nie wiedział, dlaczego go to zaskoczyło, ale tak było.

– Bardzo miło, że mnie pan przyjął – zaczął Calgary. Te słowa były zwykłym mechanicznym wstępem. – Sądziłem, że lepiej przyjść osobiście, niż pisać.

Przerwał, a potem powiedział z nagłym wzruszeniem:

– To jest trudne, bardzo trudne... – Proszę się nie śpieszyć.

Leo Argyle był wciąż uprzejmy i nie zainteresowany. Pochylił się do przodu; w grzeczny sposób wyraźnie próbował pomóc.

– Ponieważ przyniósł pan list od pana Marshalla, przypuszczam, że pańska wizyta jest związana z moim nieszczęśliwym synem Jacko – Jackiem. Chcę powiedzieć, że nazywaliśmy go zawsze Jacko. Wszystkie starannie przygotowane przez Calgary'ego słowa i zdania gdzie się ulotniły. Stała przed nim przerażająca rzeczywistość tego, co miał powiedzieć. Zająknął się znowu.

– To tak okropnie trudne...

Na chwilę zapadła cisza, po czym Leo powiedział ostrożnie:

– Jeśli to panu pomoże... jesteśmy zupełnie świadomi tego, iż Jacko był... iż miał niezupełnie normalną osobowość. Cokolwiek od pana usłyszymy, nic nie będzie dla nas niespodzianką. Jakkolwiek okropna była ta tragedia, zawsze miałem pełne przekonanie, że Jacko nie był w stanie odpowiadać za swoje czyny.

– Jasne, że nie był – odezwała się Hester i Calgary wzdrygnął się słysząc brzmienie jej głosu. Na moment zapomniał o niej. Dziewczyna usiadła na poręczy fotela za jego lewym ramieniem. Kiedy odwrócił głowę, nachyliła się gwałtownie ku niemu.

– Jacko był zawsze straszny – zwierzyła mu się. – Był już taki jako mały chłopiec, to znaczy kiedy wpadał we wściekłość. Po prostu łapał, co było pod ręką, i... i ruszał na ciebie...

– Hester... Hester... moja droga – w głosie jej ojca zabrzmiała rozpacz.

Dziewczyna, przestraszona, podniosła rękę do ust. Zaczzerwieniła się i powiedziała z niezręcznością młodej osoby:

– Przykro mi. Ja nie sądziłam... Zapomniałam... Nie powinnam mówić takich rzeczy, teraz kiedy on... to znaczy kiedy wszystko minęło i... i...

– Minęło i jest skończone – rzeki Argyle. – Wszystko to przeszłość. Próbuje – wszyscy próbujemy – zachować przekonanie, że chłopca powinno się uważać za chorego. Za jeden z błędów natury. Tak to najlepiej można wyrazić.

Popatrzył na Calgary'ego.

– Zgadza się pan ze mną?

– Nie – odparł Calgary.

Przez chwilę trwała cisza. Ostre zaprzeczenie musiało zbić z tropu jego słuchaczy. Słowo padło z siłą pocisku. Próbując złagodzić ten efekt, powiedział nieporadnie:

– Ja... ja przepraszam. Widzi pan, pan jeszcze nie zrozumiał...

– Och! – Argyle zastanowił się. Potem zwrócił się do córki:

– Hester, sądzę, że może lepiej będzie, jeśli nas opuścisz...

– Nie zamierzam wychodzić! Muszę usłyszeć, co to wszystko znaczy.

– To może być nieprzyjemne.

Hester krzyknęła niecierpliwie:

– Jakie ma znaczenie, czy Jacko popełnił jeszcze jakieś inne okropieństwa? Wszystko minęło.

Calgary odezwał się szybko.

– Proszę mi wierzyć, to nie chodzi o coś, co pani brat zrobił, wręcz przeciwnie.

– Nie rozumiem...

Drzwi na drugim końcu pokoju otworzyły się i młoda kobieta, która poprzednio mignęła Calgary'emu, weszła znowu do pokoju. Teraz była ubrana w płaszcz i niosła niewielką teczkę.

Odezwała się do Argyle'a.

– Idę już. Jeżeli jest coś jeszcze...

Argyle zawahał się (on stale się waha – pomyślał Calgary), a potem położył rękę na jej ramieniu i pociągnął ją.

– Usiądź, Gwendo. To jest... ee... doktor Calgary. To panna Vaughan, która... która... – znowu przerwał, jakby nie był pewien – która jest moją sekretarką od paru lat.

Dodał:

– Doktor Calgary przyszedł powiedzieć nam coś czy dowiedzieć się czegoś na temat Jacko...

– Powiedzieć coś państwu – przerwał Calgary. – I chociaż nie mogą państwo tego pojąć, z każdą chwilą sprawa staje się dla mnie coraz bardziej kłopotliwa.

Tamci patrzyli na niego z pewnym zdziwieniem, ale w oczach Gwendy dostrzegł jakby błysk zrozumienia. To było tak, jakby zawarli chwilowy sojusz, jakby powiedziała: Tak, wiem, jak trudni potrafią być Argyle'owie.

Gwenda jest przystojną młodą kobietą – pomyślał – no, może nie tak bardzo młodą – trzydzieści siedem, osiem lat. Pełna figura, ciemne włosy i oczy, ogólne wrażenie witalności i dobrego zdrowia. Robi wrażenie kompetentnej i inteligentnej.

Argyle powiedział z pewnym chłodem:

– Nie zamierzam utrudniać panu niczego. Na pewno nie miałem takiej intencji. Jeżeli zechce pan przejść do rzeczy...

– Tak, wiem. Proszę wybaczyć mi to, co powiedziałem. Chodzi jednak o upór, z jakim pan i pana córka podkreślacie stale, że minęło – stało się – skończone. Sprawa nie skończyła się. Kto to powiedział: „Nic się nigdy nie kończy, dopóki...”

– „Dopóki nie skończy się dobrze” – dopowiedziała za niego panna Vaughan. – Kipling.

Skinęła głową, dodając mu odwagi. Poczul dla niej wdzięczność.

– Przejdę do rzeczy – ciągnął. – Kiedy usłyszą państwo, co mam do powiedzenia, rozumieją moja... moją niechęć. Więcej, moją rozpacz. Na początku muszę wyjaśnić parę spraw dotyczących mnie. Jestem geofizykiem i brałem ostatnio udział w wyprawie na Antarktydę. Wróciłem do Anglii zaledwie parę miesięcy temu.

– Wyprawa Hayes Bentley? – spytała Gwenda. Zwrócił się do niej z wdzięcznością.

– Tak. To właśnie ta ekspedycja. Powiedziałem to, żeby wyjaśnić moją przeszłość, a także by wyjaśnić, jak zetknąłem się około dwóch lat temu z pewnymi zdarzeniami.

Pośpieszyła mu z pomocą:

– Ma pan na myśli: z procesem o morderstwo?

– Tak, panno Vaughan, to właśnie mam na myśli.

Zwrócił się do Argyle'a.

– Proszę wybaczyć mi, jeśli sprawię panu ból, ale muszę ustalić z panem pewne daty i godziny. 9 listopada, dwa lata temu, około szóstej wieczór pański syn, Jack Argyle (dla pana Jacko), wpadł tutaj i rozmawiał ze swoją matką, panią Argyle.

– Z moją żoną, tak jest.

– Powiedział jej, że ma kłopoty i domagał się pieniędzy. To zdarzało się już wcześniej...

– Wiele razy – westchnął Leo.

– Pani Argyle odmówiła. Chłopiec zaczął przeklinać, grozić. Ostatecznie wypadł stąd krzyżąc, że wróci i że „będzie musiała zabulić”. Powiedział: „Chcesz, żebym poszedł do więzienia, co?”, a ona odpowiedziała: „Zaczynam wierzyć, że to może być dla ciebie najlepsze”.

Leo Argyle poruszył się niespokojnie.

– Moja żona i ja rozmawialiśmy o tym. Byliśmy... bardzo nieszczęśliwi z powodu chłopca. Raz po raz musieliśmy śpieszyć na ratunek, pomagać mu zaczynać od nowa. Wydawało się nam, że szok wyroku sądowego być może... rygor... – jego głos zamarł. – Ale proszę kontynuować.

Calgary mówił dalej:

– Tego wieczoru, później, pańska żona została zabita. Napadnięto ją, uderzono pogrzebaczem i zamordowano. Na pogrzebaczku były odciski palców waszego syna, a z biurka zniknęła duża suma pieniędzy, które żona włożyła tam wcześniej. Policja złapała syna w Drymouth. Znalaziono przy nim pieniądze, większość z nich w pięciofuntowych banknotach. Na jednym z nich było zapisane nazwisko i adres i został on zidentyfikowany przez bank jako wypłacony rano pani Argyle. Chłopca oskarżono i odbył się jego proces – Calgary przerwał. – Werdykt brzmiał: morderstwo z premedytacją.

Wreszcie padło fatalne słowo. Morderstwo... Bezdźwięczne słowo; słowo stłumione, wchłonięte przez firanki, książki, dywany... To słowo mogło zostać stłumione, ale nie czyn...

- Zostałem poinformowany przez pana Marshalla, obrońcę, że syn, gdy go aresztowano, uroczyście zapewniał o swojej niewinności, wesoło, ale nie arogancko. Utrzymywał, że ma murowane alibi na czas morderstwa, który policja ustaliła między godziną dziewiętnastą a dziewiętnastą trzydzieści. Jack Argyle twierdził, że w tym czasie wybrał się autostopem do Drymouth i został zabrany przez samochód na głównej szosie z Redmyn do Drymouth, mniej więcej milę stąd, tuż przed dziewiętnastą. Nie znał marki samochodu (z powodu ciemności), ale była to czarna lub granatowa limuzyna, prowadzona przez mężczyznę w średnim wieku. Robiono wszystko, by natrafić na ślad samochodu lub kierowcy, ale nie udało się uzyskać potwierdzenia zeznania i sami prawnicy byli przekonani, że cała historia została pośpiesznie, a przy tym niezbyt mądrze sfabrykowana przez chłopca...

- Główna linia obrony opierała się na badaniu psychologów, którzy usiłowali dowieść, że Jack Argyle był zawsze psychicznie niezrównoważony. Sędzia wygłaszał złośliwe komentarze na temat tej opinii i ocenił sytuację zdecydowanie przeciw oskarżonemu. Jack Argyle został skazany na dożywotnie więzienie. Sześć miesięcy po rozpoczęciu odsiadki zmarł w więzieniu na zapalenie płuc.

Calgary przerwał. Trzy pary oczu wpatrywały się w niego. W oczach Gwendy widać było zainteresowanie i najwyższą uwagę, w oczach Hester - podejrzliwość. Spojrzenie pana Argyle było puste.

- Czy mogą państwo potwierdzić, że ustaliłem fakty dokładnie?

- Jest pan bardzo dokładny - rzekł Leo - choć nie wiem, dlaczego należało jeszcze raz przechodzić przez te wszystkie bolesne zdarzenia, o których usiłujemy zapomnieć.

- Proszę wybaczyć. Musiałem to zrobić. Rozumiem, że pan nie odwoływał się od wyroku?

- Przysnaję, że fakty były takie, jak przedstawiono. To znaczy: jeśli nie zrewiduje ich pan, istotnie było to morderstwo. Ale jeśli ponownie rozpatrzy się fakty, jest wiele okoliczności łagodzących. Chłopiec był niezrównoważony psychicznie, choć niestety nie w prawniczym sensie tego terminu. Prawa McNaughtena są ciasne i niezadowalające. Zapewniam pana, doktorze Calgary, że sama Rachel - mam na myśli moją zmarłą żonę - pierwsza zapomniałaby i wybaczyła temu nieszczęsnemu chłopcu jego gwałtowny czyn. Była niezwykle światłą i humanitarną myślicielką i posiadała głęboką znajomość psychologii. Ona nie życzyłaby sobie wyroku skazującego.

- Wiedziała dokładnie, jak okropny potrafił być Jacko - powiedziała Hester. - Zawsze był taki, po prostu nie mógł na to nic poradzić.

- Więc wy wszyscy - rzekł wolno Calgary - nie macie żadnych wątpliwości? Mam na myśli wątpliwości co do winy.

Hester wytrzeszczyła na niego oczy.

- Jakie wątpliwości moglibyśmy mieć? Oczywiście był winny.

- Nie dosłownie winny - zaprotestował Leo. - Nie podoba mi się to słowo.

- I nie jest właściwe. Calgary wziął głęboki oddech. - Jack Argyle był... niewinny!

ROZDZIAŁ DRUGI

Miało to być sensacyjne oświadczenie. Tymczasem wypadło blado. Calgary spodziewał się oszołomienia, pełnej niedowierzania radości, walczącej z niezrozumieniem, entuzjastycznych pytań... Nic takiego się nie zdarzyło. Wyczuwało się tylko ostrożność i podejrzliwość. Gwenda Vaughan zmarszczyła brwi. Hester wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Cóż, może to było naturalne - takie słowa trudno pojąć natychmiast.

Leo Argyle powiedział niepewnie:

- To ma znaczyć, że zgadza się pan z moim stanowiskiem? Uważa pan, że on nie odpowiadał za swoje czyny?

- To ma znaczyć, że on tego nie zrobił! Czy nie możesz tego zrozumieć, człowieku? On tego nie zrobił. Nie mógł tego zrobić. Jednak dzięki niezwykłemu i

przykremu zbiegowi okoliczności nie mógł dowieść, że jest niewinny. Mogłem to udowodnić ja.

– Pan?

– Ja byłem mężczyzną w samochodzie. Powiedział to tak zwyczajnie, że tamci przez chwilę nie rozumieli. Zanim zdołali oprzytomnieć, nastąpiła przerwa. Drzwi otworzyły się i wkroczyła kobieta o pospolitej twarzy. Od razu podjęła temat.

– Usłyszałam to, kiedy przechodziłam koło drzwi. Ten człowiek powiada, że Jacko nie zabił pani Argyle. Dlaczego to mówi? I skąd wie?

Jej twarz, wojownicza i wzburzona, wykrzywiła się.

– Muszę też usłyszeć – powiedziała żałośnie. – Nie mogę stać na uboczu i nic nie wiedzieć.

– Oczywiście, Kirsty. Jesteś członkiem rodziny – Leo Argyle przedstawił ją. – Panna Lindstrom, doktor Calgary. Doktor Calgary opowiada nam niesłychane rzeczy.

Calgary'ego zaskoczyło szkockie imię Kirsty. Jej angielski był znakomity, ale nieznaczną obcą wymową pozostała.

Zwróciła się do niego oskarżycielskim tonem.

– Nie powinien pan przychodzić tu i mówić podobnych rzeczy, niepokoić ludzi. Pogodzili się już ze zmartwieniem. Teraz niepokoi ich pan swoimi wiadomościami. To, co się stało, jest wolą Boga.

Odepchnęła go gładkość i spokój ducha, wyraźne w jej oświadczeniu. Być może należała do tych okropnych ludzi, którzy cieszą się z nieszczęścia. No cóż, będzie tego pozbawiona.

Odezwał się sucho:

– Tego wieczoru, za pięć minut siódma, na głównej szosie z Redmyn do Drymouth, zabrałem młodego człowieka, który prosił o podwiezienie. Rozmawialiśmy. Pomyślałem, że jest interesującym i sympatycznym młodym człowiekiem.

– Jacko miał wiele uroku – rzekła Gwenda. – Wszyscy uważali go za atrakcyjnego. To jego usposobienie spowodowało klęskę. No i oczywiście to, że był nieuczciwy – dodała w zamyśleniu. – Ale od pewnego czasu nie było o tym mowy.

Panna Lindstrom odwróciła się do niej.

– Nie powinna pani tego mówić, kiedy on nie żyje.

Leo Argyle ponaglił trochę szorstko:

– Proszę mówić dalej, doktorze Calgary. Dlaczego nie ujawnił się pan do tej pory?

– Tak – Hester mówiła jednym tchem – dlaczego zataił pan to wszystko? Były apele w prasie, ogłoszenia. Jak mógł pan być tak samolubny, tak zły..

– Hester, Hester – powstrzymywał ją ojciec. – Doktor Calgary wciąż jeszcze opowiada swoją historię.

Calgary zwrócił się wprost do dziewczyny.

– Rozumiem dobrze, co pani czuje. I wiem, co czuję sam, co będę zawsze czuł..

Wziął się w garść i ciągnął:

– Kontynuując moją historię: Tego wieczoru na drogach panował wielki ruch. Dobrze po pół do ósmej wysadziłem młodego człowieka, którego nazwiska nie znalazłem, w centrum Drymouth. To – o ile wiem – oczyszcza go całkowicie, ponieważ policja jest zupełnie pewna, że zbrodni dokonano między siódmą a pół do ósmej.

– Tak – wtrąciła Hester. – Ale pan..

– Proszę o cierpliwość. Żeby to wytłumaczyć, muszę się trochę cofnąć.

Mieszkałem w Drymouth kilka dni w mieszkaniu przyjaciela. Przyjaciół jest marynarzem i był na morzu. Pożyczył mi też samochód, który trzymał w prywatnym garażu. Tego właśnie dnia, 9 listopada, wracałem do Londynu. Zdecydowałem się wyjechać wieczornym pociągiem i spędzić popołudnie ze starą niańką, którą nasza rodzina bardzo lubiła, mieszkająca w małym domku w Polgarth, około czterdziestu mil od Drymouth. Wykonałem swój program. Niania, choć bardzo stara i mająca chwilami zmacony umysł, poznała mnie i była bardzo uradowana i podniecona, ponieważ czytała w gazetach o moim „wyjeździe na biegun” – jak to określała. Byłem tam krótko, aby jej nie zmęczyć, a wyjeżdżając wpadłem na myśl, żeby nie wracać wprost do Drymouth nadmorską drogą, którą przyjechałem, lecz pojechać na północ do Redmyn i odwiedzić starego kanonika Peasmarsh, posiadającego w swojej bibliotece pewne rzadkie książki, między innymi stary traktat o nawigacji, z

którego chciałem przepisać pewien ustęp. Stary dżentelmen nie pozwolił sobie założyć telefonu, który uważał za diabelski przyrząd, na równi z radiem, telewizją, kinematografią i odrzutowcami, więc musiałem zaryzykować, nie wiedząc, czy zastanę go w domu. Nie miałem szczęścia. Dom był zamknięty, a on najwyraźniej wyjechał. Spędziłem chwilę w katedrze, a potem wyruszyłem z powrotem do Drymouth główną drogą, zamykając trójkąt. Zostawiłem sobie dość czasu, by zabrać bagaż z mieszkania, wstawić samochód do garażu i złapać pociąg.

- Po drodze, jak powiedziałem państwu, podwiozłem nieznanego autostopowicza i po wysadzeniu go w mieście realizowałem swój program. Po przybyciu na stację miałem jeszcze trochę czasu, wyszedłem więc na główną ulicę po papierosy. Kiedy przechodziłem na drugą stronę, zza rogu wypadła ciężarówka jadąca z nadmierną szybkością i potrafiła mnie.

- Według relacji przechodniów wstałem najwyraźniej nie zraniony i zachowywałem się zupełnie normalnie. Powiedziałem, że czuję się dobrze, muszę złapać pociąg i pośpieszyłem na stację. Kiedy pociąg zajechał na Paddington, leżałem nieprzytomny w przedziale i zostałem zabrany karetką do szpitala, gdzie stwierdzono wstrząs mózgu. Widocznie opóźniona reakcja nie jest czymś niezwykłym.

- Kiedy w kilka dni potem odzyskałem przytomność, nie pamiętałem wypadku ani drogi do Londynu. Ostatnią rzeczą, jaką mogłem sobie przypomnieć, był wyjazd w odwiedziny do mojej starej niani w Polgarth. Potem kompletna pustka. Uspokojono mnie, mówiąc, że takie wypadki zdarzają się często. Wydawało się, iż nie ma powodu sądzić, że wymazane z pamięci godziny mego życia były czymś ważnym. Ani ja sam, ani nikt inny nie miał najmniejszego pojęcia, że przejeżdżałem tego wieczoru drogą Redmyn-Drymouth.

- Było bardzo niewiele czasu do mego wyjazdu z Anglii. Trzymano mnie w szpitalu, w absolutnym spokoju, bez gazet. Wyjeżdżając udałem się wprost na lotnisko, by polecieć do Australii i dołączyć do ekspedycji. Powstały pewne wątpliwości, czy jestem dość sprawny, ale przewyciężyłem je. Byłem zbyt zajęty swoimi przygotowaniem i zmartwieniami, aby zainteresować się wiadomościami o morderstwie, a w każdej takiej sprawie rozgłos przycicha po aresztowaniu, a w czasie rozpoczęcia procesu, który był obszernie opisywany, znalazłem się w drodze na Antarktydę.

Przerwał. Słuchano go z największą uwagą.

- To zdarzyło się miesiąc temu, tuż po moim powrocie do Anglii. Potrzebowałem papierów do pakowania okazów. Gospodyni przyniosła mi z kotłowni stos starych gazet. Rozkładając jedną z nich na stole, zobaczyłem zdjęcie młodego człowieka, którego twarz wydała mi się znajoma. Próbowałem przypomnieć sobie, gdzie go spotkałem i kto to jest. Nie udało mi się, a jednak, dziwna rzecz, przypominałem sobie rozmowę z nim: dotyczyła węgorki. Zaciekała go i zafascynowała saga o ich życiu. Ale kiedy? I gdzie? Przeczytałem notatkę, dowiedziałem się, że młodym człowiekiem był Jack Argyle, oskarżony o morderstwo, i że powiedział policji o podwiezieniu przez mężczyznę w czarnej limuzynie.

- I wtedy zupełnie niespodziewanie odzyskałem stracony fragment życia. To ja wziąłem tego właśnie młodego człowieka i podwiozłem do Drymouth, a po wysadzeniu go tam wróciłem do mieszkania, później uświadomiłem sobie przejście pieszo przez ulicę po papierosy, mignięcie ciężarówki, która mnie potrafiła, a potem nic, dopiero szpital. Nie przypominałem sobie jeszcze powrotu na stację i jazdy pociągiem do Londynu. Wciąż odczytywałem notatkę na nowo. Proces zakończył się ponad rok temu, sprawa została prawie natychmiast zapomniana. „Młody facet, który zabił matkę” – przypomniła sobie mętnie moja gospodyni. „Nie wiem, co się z nim stało, chyba go powiesili”. Przejrzałem pliki gazet z tamtego okresu, a potem poszedłem do panów Marshall & Marshall, którzy byli obrońcami. Dowiedziałem się, że jest za późno, aby uwolnić nieszczęsnego chłopca. Zmarł w więzieniu na zapalenie płuc. Choć nie można było oddać mu sprawiedliwości, można było oddać sprawiedliwość jego pamięci. Poszedłem z panem Marshalllem na policję. Sprawa została przedstawiona prokuratorowi. Marshall trochę wątpi, czy zechce on zwrócić się do ministra spraw wewnętrznych.

- Państwo oczywiście otrzymają od niego pełne sprawozdanie. Opóźnił się z tym tylko dlatego, że ja pragnąłem być pierwszym, który zaznajomi państwa z prawdą. Czuję, że obowiązkiem moim było przejść tę próbę. Proszę zrozumieć, zawsze będę

miał głębokie poczucie winy. Gdybym tylko był ostrożniejszy przy przechodzeniu przez ulicę... – przerwał. – Pojmuję, że uczucia państwa do mnie nigdy nie będą przyjazne i choć – biorąc rzecz formalnie – jestem bez winy, musicie mnie winić.

Gwenda Vaughan powiedziała szybko, a jej głos zabrzmiał ciepło i życzliwie:

– .Oczywiście nie winimy pana. To było po prostu jedno z takich zdarzeń. Tragiczne, niewiarygodne, ale tak się dzieje.

– Czy uwierzyli panu? – spytała Hester. Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Policja... czy uwierzyła panu? Czemu nie miał pan sobie tego wymyślić?

Uśmiechnął się wbrew sobie.

– Jestem bardzo wiarygodnym świadkiem – powiedział łagodnie. – Nie ma powodu, by mnie podejrzewać, a oni przeważkowoali moją historię dokładnie, zeznanie lekarza, potwierdzające szczegóły z Drymouth. O tak, pan Marshall był podejrzliwy jak wszyscy prawnicy. Nie chciał wzbudzać nadziei państwa, dopóki nie był zupełnie pewny sukcesu.

Leo Argyle poruszył się w swoim fotelu i odezwał się po raz pierwszy:

– Co właściwie rozumie pan przez sukces?

– Przepraszam – rzekł Calgary szybko. – To nie jest właściwie użyte słowo.

Syn pana został oskarżony o zbrodnię, której nie popełnił, był sadzony, skazany i umarł w więzieniu. Sprawiedliwość przyszła dla niego za późno. Ale to, co się da zrobić, zostanie zrobione i będzie ogłoszone. Minister spraw wewnętrznych prawdopodobnie doradzi królowej ułaskawienie.

Hester zaśmiała się.

– Ułaskawienie? Za coś, czego nie zrobił?

– Wiem. Terminologia jest zawsze nierealistyczna. Rozumiem, że jest zwyczajem zadawanie pytania w parlamencie, a odpowiedź brzmi, że Jacko Argyle nie popełnił zbrodni, za którą został skazany, i gazety doniosą o tym.

Przerwał. Nikt nic nie mówił. Przypuszczał, że to dla nich zbyt wielki szok. Ale mimo wszystko szczęśliwy szok.

Wstał.

– Obawiam się – powiedział niepewnie – że nic więcej nie potrafię dodać... Powtarzać, jak jest mi przykro, jaki jestem nieszczęśliwy z powodu tego wszystkiego, prosić o wybaczenie – to wszystko znacie już dobrze. Tragedia, która zakończyła jego życie, rzuciła cień na moje własne. Ale przynajmniej – mówił błagalnie – na pewno to oznacza coś: że on nie popełnił tej okropnej rzeczy, że jego imię, wasze imię, zostanie oczyszczone w oczach świata...

Jeśli miał nadzieję na odpowiedź, to się zawiódł – nie otrzymał żadnej.

Leo Argyle siedział zagłębiony w fotelu. Spojrzenie Gwendy spoczywało na jego twarzy. Hester siedziała patrząc przed siebie szeroko otwartymi, tragicznymi oczami. Panna Lindstrom mruzczała coś pod nosem i potrząsała głową.

Calgary stanął bezradnie koło drzwi, oglądając się na nich.

Gwenda Vaughan opanowała sytuację. Podeszła do niego i kładąc mu rękę na ramieniu powiedziała cicho:

– Lepiej niech pan teraz pójdzie. To był za duży szok. Muszą mieć czas, żeby to do nich dotarło.

Skinął głową i wyszedł. Na podeście dogoniła go panna Lindstrom.

– Wyprowadź pana – powiedziała. Obejrząwszy się przed zamknięciem drzwi, zobaczył Gwendę osuwającą się na kolana obok fotela pana Argyle'a. To go trochę zaskoczyło.

Stojąca przed nim na podeście panna Lindstrom wyglądała jak gwardzista i odezwała się szorstko:

– Nie potrafi pan przywrócić mu życia. Dlaczego więc przypomniał im pan o tym? Do dziś byli zrezygnowani. Teraz będą cierpieć. Zawsze lepiej zostawić kogoś w spokoju.

Mówiła z gniewem.

– Jego pamięć musi zostać oczyszczona – rzekł Arthur Calgary.

– Wspaniałe poglądy! Są bardzo piękne. Ale naprawdę nie rozumie pan, o co tu chodzi. Mężczyźni nigdy nie myślą – tupnęła. – Kocham ich wszystkich. Przyszłam tu, żeby pomóc pani Argyle, w 1940 roku, kiedy założyła wojenny dom opieki dla dzieci, których domy zostały zbombardowane. Nic nie było dla nich za dobre. Robiło się dla nich wszystko. To już prawie osiemnaście lat temu. I nawet po jej śmierci jestem wciąż tutaj, żeby troszczyć się o nich, prowadzić dom czysty i

wygodny, dbać, żeby dostawali dobre jedzenie. Kocham ich wszystkich... tak, kocham ich... a Jacko... o, on nie był dobry! Och, tak, kochałam go też. Ale... on nie był dobry!

Odrzuciła się i odeszła gwałtownie. Wyglądało na to, że zapomniała o swojej propozycji pokazania mu drogi do wyjścia. Calgary zszedł wolno po schodach. Kiedy mocował się z frontowymi drzwiami, których patentowego zamka nie umiał pokonać, usłyszał na schodach lekkie kroki. Hester sfrunęła na dół.

Odblokowała drzwi i otworzyła je. Stali patrząc na siebie. Nie rozumiał, czemu dziewczyna patrzy na niego tragicznym, pełnym wyrzutu spojrzeniem.

Powiedziała, ledwie szepcząc:

– Po co pan przyszedł? Och, po co pan przyszedł?

Patrzył na nią bezradnie.

– Nie rozumiem pani. Nie chce pani, żeby imię brata zostało oczyszczone? Nie chce pani, żeby oddano mu sprawiedliwość?

– Sprawiedliwość! – cisnęła to słowo.

Powtórzył:

– Nie rozumiem...

– Więc idzie o sprawiedliwość! Jaka to różnica dla Jacko w tej chwili? On nie żyje. Teraz nie chodzi o Jacko. Chodzi o nas!

– Co pani ma na myśli?

– Nie chodzi o to, kto jest winny. Chodzi o niewinnego.

Chwyliła jego ramię, wpijając palce.

– To o nas chodzi. Czy pan nie widzi, co pan zrobił nam wszystkim?

Wytrzeszczył na nią oczy.

Z ciemności na dworze wyłoniła się postać mężczyzny.

– Doktor Calgary? – spytał. – Pańska taksówka zajechała. Kurs do Drymouth. – Ach... ee... Dziękuję.

Calgary odwrócił się jeszcze raz do Hester, ale ona cofnęła się już do domu. Frontowe drzwi trzasnęły.

ROZDZIAŁ TRZECI

I

Hester weszła powoli po schodach, odrzucając z czoła ciemne włosy. Kirsten Lindstrom spotkała ją u szczytu schodów.

– Poszedł?

– Tak, poszedł.

– Przeżyłaś szok, Hester – Kirsten położyła łagodnie rękę na jej ramieniu. – Chodź ze mną. Dam ci trochę brandy. To było nieco za wiele.

– Nie chcę żadnej brandy, Kirsty.

– Może nie chcesz, ale robi ci dobrze.

Nie stawiając oporu młoda kobieta pozwoliła się poprowadzić korytarzem do małej bawialni panny Lindstrom. Wzięła podaną brandy i sączyła ją powoli.

Kirsten powiedziała rozdrażnionym głosem:

– To spadło zbyt nagle. Ktoś powinien nas ostrzec. Dlaczego pan Marshall najpierw nie napisał do nas?

– Przypuszczam, że doktor Calgary nie pozwolił mu. Chciał przyjść i powiedzieć nam osobiście.

– Przyjść i powiedzieć nam osobiście, coś podobnego! Czym według niego miały być dla nas te nowiny?

– Pewnie myślał – rzekła Hester dziwnie bezbarwnym tonem – że to nas ucieszy.

– Ucieszy czy nie ucieszy, to było związane z szokiem. Nie powinien był tego robić.

– Ale to było odważne z jego strony – zauważyła Hester. Kolory wróciły na jej twarz. – Myślę, że to nie było dla niego łatwe. Przyjść i powiedzieć rodzinie, że jej członek, który został skazany za morderstwo i umarł w więzieniu, był w rzeczywistości niewinny. Tak, to naprawdę wymagało odwagi, ale mimo wszystko wolałabym, żeby tego nie zrobił.

– Tak, wszyscy tak myślimy – rzekła żywo Kirsty.

Hester popatrzyła na nią z zainteresowaniem, które wynikało z jej własnych trosk.

– Więc ty to też odczuwasz, Kirsty? Myślałam, że tylko ja.

– Nie jestem idiotką – powiedziała panna Lindstrom ostro. – Potrafię dostrzec pewne możliwości, o których twój doktor Calgary nie pomyślał.

Hester wstała.

– Muszę pójść do ojca. Kirsten zgodziła się.

– Tak. Będzie miał teraz czas pomyśleć, co należy zrobić.

Kiedy Hester weszła do biblioteki, Gwenda była zajęta telefonowaniem. Ojciec przywołał ją gestem i Hester przysiadła na poręczu jego fotela.

– Próbuujemy złapać Mary i Micky'ego. Powinni natychmiast dowiedzieć się o tym.

– Hallo – powiedziała Gwenda. – Czy to pani Durrant? Mary? Mówi Gwenda Vaughan. Twój ojciec chce z tobą mówić.

Leo podszedł i wziął słuchawkę.

– Mary? Jak się masz? A Philip?... Dobrze. Zdarzyło się coś raczej niezwykłego... Pomyślałem, że powinnaś natychmiast dowiedzieć się o tym. Odwiedził nas niejaki doktor Calgary. Przyniósł ze sobą list od Andrew Marshalla. Rzeczą dotyczy Jacko. Wydaje się, że to niezwykła sprawa. Okazuje się, że historia o podwiezieniu samochodem przez kogoś, opowiedziana przez Jacko na procesie, była zupełnie prawdziwa. Właśnie doktor Calgary był człowiekiem, który go podwiózł...

Przerwał słuchając słów córki.

– Tak, Mary, nie będę się wdawał w szczegóły, dlaczego nie ujawnił się w porę. Miał wypadek – wstrząs mózgu. Całe zdarzenie jest chyba w pełni potwierdzone. Zadzwoń, żeby powiedzieć ci, że musimy się spotkać tutaj jak najszybciej. Może należałoby skłonić Marshalla, żeby przyjechał tu i omówił z nami sprawę. Uważam, że powinniśmy zasięgnąć najlepszej porady prawnej. Czy mogłabyś razem z Philipem?... Tak... Tak, wiem. Ale myślę, kochanie, że to ważne... Tak... dobrze, zadzwoń później, jeśli wolisz. Spróbuję złapać Micky'ego.

Odłożył słuchawkę.

Gwenda Vaughan podeszła do telefonu.

– Mogę łapać teraz Micky'ego? Hester przerwała jej.

– Czy mogłabym zadzwonić najpierw, jeśli to nie zajmie wiele czasu? Chciałabym porozumieć się z Donaldem.

– Oczywiście – odparł Leo. – Wychodzisz z nim dziś wieczór, prawda?

– Miałam wyjść.

Ojciec popatrzył na nią bystro.

– Tak cię to zdenerwowało, kochanie?

– Nie wiem. Zupełnie nie wiem, co czuję.

Gwenda zrobiła jej miejsce przy telefonie i Hester wykręciła numer.

– Czy mogę mówić z doktorem Craigiem? Tak. Tak. Mówi Hester Argyle.

Nastąpiła chwila przerwy, potem zaczęła.

– To ty, Donaldzie?... Dzwonię, żeby powiedzieć ci, że nie będę mogła pójść z tobą dziś wieczór na odczyt... Nie, nie jestem chora, nie o to chodzi... no cóż, mamy dosyć dziwne wiadomości.

Znowu mówił doktor Craig. Hester zwróciła głowę do ojca. Położyła rękę na słuchawce, pytając:

– To nie jest sekret, prawda?

– Nie – odparł Leo powoli. – Ścisłe mówiąc nie jest sekret, ale poproś Donalda, żeby zatrzymał to na razie przy sobie. Wiesz, jak rozchodzą się plotki, jak są wyolbrzymiane.

– Tak, wiem – znowu mówiła do słuchawki. – W pewnym stopniu można je nazwać dobrymi wiadomościami, ale są jednak niepokojące. Nie chciałabym mówić o tym przez telefon... Nie, nie przychodź tutaj... Proszę cię. Nie dzisiaj. Może jutro. Chodzi o Jacko. Tak... tak... o mojego brata. Dowiedzieliśmy się, że mimo wszystko nie zabił matki... Ale proszę cię, nie mów nic, Donaldzie, nie mów o tym nikomu. Opowiem ci wszystko jutro... Nie, Donaldzie, nie... Nie potrafię się spotkać z nikim dziś wieczór – nawet z tobą. Proszę cię. I nie mów nic.

Odłożyła słuchawkę i skinęła na Gwendę, żeby ją wzięła.

Gwenda poprosiła o numer w Drymouth.

– Dlaczego nie chcesz iść na odczyt z Donaldem, Hester? Przestanieś myśleć o tych sprawach.

– Nie chcę, ojczy. Nie potrafiłabym.

– Mówiłaś... twoje słowa zrobiły na nim wrażenie, jakby to nie była dobra wiadomość. Ale wiesz, Hester, to nie jest tak. Byliśmy zaskoczeni. Ale jesteśmy bardzo szczęśliwi z tego powodu, bardzo radzi...

– Tak właśnie zamierzamy mówić, co? – zapytała Hester.

– Moje drogie dziecko... – powiedział ostrzegawczo Leo.

– To nie jest prawda, co? To nie są dobre wiadomości. Są tylko okropnie niepokojące.

Gwenda wtrąciła:

– Micky jest na linii.

Znowu Leo wziął, od niej słuchawkę. Mówił do syna podobnie jak do córki. Ale jego nowiny zostały przyjęte inaczej niż przez Mary Durrant. Nie było protestu, zdziwienia czy niedowierzania. Zamiast tego nastąpiła szybka akceptacja.

– Co u diabła! – dał się słyszeć głos Micky'ego. – Po takim czasie? Zaginiony świadek! No, no, szczęście opuściło Jacko tego wieczoru.

Teraz Leo mówił, Micky słuchał.

– Tak – powiedział – zgadzam się z tobą. Lepiej spotkajmy się jak najszybciej i ściągnijmy również Marshalla, żeby udzielił nam rady.

Zaśmiał się nagle śmiechem, który przypominał panu Argyle małego chłopca, bawiącego się w ogrodzie pod oknami.

– O co się założył? – spytał. – Kto z nas to zrobił?

Leo odłożył słuchawkę i odszedł raptownie od telefonu.

– Co on powiedział? – spytała Gwenda.

Leo powtórzył.

– Wygląda mi to na głupi dowcip.

Leo rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Być może – powiedział łagodnie – to wcale nie był dowcip.

II

Mary Durrant przeszła przez pokój i podniosła kilka płatków opadłych z chryzantem. Włożyła je starannie do kosza na papiery. Była wysoka, pogodna dwudziestosiedmioletnią kobietą, która mimo braku zmarszczek wyglądała poważniej, prawdopodobnie z powodu statecznej dojrzałości, która stanowiła jakby część jej makijażu. Była przystojna, bez cienia uroku. Regularne rysy, dobra cera, żywe, niebieskie oczy i jasne włosy, zaczesane do tyłu i upięte w duży węzeł na karku, w stylu, który przez moment mógł wydawać się modny, chociaż nie dlatego nosiła tę fryzurę. Należała do kobiet, które zawsze zachowują własny styl. Jej wygląd był jak jej dom: czysty, dobrze utrzymany. Wszelki kurz czy nieporządek denerwował ją.

Mężczyzna w wózku inwalidzkim, widząc jak starannie wyrzuca opadłe płatki, uśmiechnął się trochę złośliwie. – Wciąż to samo schludne stworzenie – powiedział. – Miejsce na wszystko i wszystko na miejscu – zaśmiał się ze złośliwą nutką.

Mary Durrant była jednak zupełnie nieporuszona. – Lubię porządek – zgodziła się. – Wiesz, Phil, tobie samemu nie podobałoby się, gdyby w domu panował bałagan.

Jej mąż powiedział ze śladem goryczy w głosie:

– No, ja w każdym razie nie mam szans na zrobienie nieporządku.

Wkrótce po ich ślubie Philip Durrant padł ofiarą porażenia na skutek choroby Heinego-Medina. Dla Mary, która go uwielbiała, stał się zarówno dzieckiem jak mężem. On sam czuł się niekiedy zakłopotany jej zaborczą miłością. Jego żona nie posiadała dosyć wyobraźni, by pojąć, że uzależnienie od niej czasami drażni go.

Ciągnął dalej szybko, jakby bojąc się słów współczucia czy litości.

– Muszę powiedzieć, że nowiny twego ojca trudno pojąć! Po takim czasie! Jak możesz być taka spokojna?

– Ledwie potrafię to zrozumieć... To zadziwiające. Najpierw po prostu nie mogłam uwierzyć w to, co ojciec mówił. Gdyby to była Hester, pomyślałabym, że wszystko sobie wyobraziła. Wiesz, jaka jest Hester.

Twarz Philipa Durranta straciła trochę goryczy. Powiedział łagodnie:

– Gwałtowne, namiętne stworzenie, które szuka w życiu kłopotów i na pewno je znajdzie.

Mary machnęła ręką na tę analizę. Charaktery innych osób nie interesowały jej. Powiedziała niepewnie:

– Przypuszczam, że to prawda. Czy sądzisz, że ten człowiek mógł to wszystko wymyślić?

– Roztargniony naukowiec? Byłoby miło tak pomyśleć, ale wygląda na to, że Marshall potraktował sprawę poważnie. A Marshall & Marshall to firma nie bawiąca się w sentymenty.

Mary spytała, zmarszczywszy brwi:

– Co to ostatecznie oznacza, Phil?

– To znaczy, że Jacko będzie całkowicie oczyszczony z zarzutów. O ile władze będą usatysfakcjonowane, a wnioskuje, że nic innego nie wchodzi w rachubę.

– No dobrze – westchnęła lekko Mary. – Sądzę, że to miło.

Philip roześmiał się znowu z pewną goryczą.

– Polly! Wpędzisz mnie do grobu.

Jedynie mąż nazywał Mary Durrant imieniem Polly. Było to imię w najwyższym stopniu nie pasujące do jej posagowej powierzchowności. Popatrzyła na Philipa z lekkim zdziwieniem.

– Nie rozumiem, dlaczego cię to tak bawi.

– Byłaś taka cudowna! – powiedział Philip. – Zupełnie jak lady Jakałam na wyprzedzący prac Miejskiego Instytutu Rzemiosła.

Mary upierała się, zakłopotana.

– Ale to jest naprawdę bardzo miłe! Nie możesz udawać, że to przyjemnie mieć mordercę w rodzinie.

– Naprawdę wcale nie w rodzinie.

– Praktycznie to nie ma różnicy. Chce powiedzieć, że to było denerwujące i wszyscy czuli się strasznie skrępowani. Każdy w okolicy był podniecony i ciekawy. Nienawidziłam tego.

– Przyjmowałaś to bardzo dobrze. Mroziłaś ich lodowatym niebieskim spojrzeniem. Zatykało ich i wstydzili się za siebie. Cudowne, jak ty nigdy nie okazujesz emocji.

– Bardzo mi się to nie podobało. Było ogromnie nieprzyjemne, ale w każdym razie on umarł i wszystko się skończyło. A teraz... teraz, jak przypuszczam, wszystko zostanie odgrzebane.

– Tak – rzekł Philip Durrant w zamyśleniu. Wyprostował się z wyrazem lekkiego bólu. Żona podeszła do niego szybko.

– Masz skurcz? Pozwól mi tylko poprawić tę poduszkę. No. Tak lepiej?

– Powinnaś zostać pielęgniarką w szpitalu.

– Bynajmniej nie zyczyłabym sobie pielęgnować wielu ludzi. Tylko ciebie.

Było to powiedziane prosto, ale za tymi słowami kryło się głębokie uczucie. Zadzwoił telefon. Mary podniosła słuchawkę.

– Hallo... tak... ja... Ach, to ty... Na boku powiedziała do Philipa:

– To Micky.

– Tak... tak, słyszeliśmy. Ojciec telefonował... Oczywiście... Tak... Tak... Philip mówi, że jeśli prawnikom to wystarczy, to musi być w porządku... Doprawdy, Micky, nie rozumiem, dlaczego jesteś tak zaniepokojony... Nic mi nie wiadomo o tym, że jestem szczególnie tępa... Naprawdę, Micky, uważam, że ty... Hallo?... Hallo?... – zmarszczyła brwi. – Wyłączył się – odłożyła słuchawkę.

– Och, Philip, nie potrafię zrozumieć Micky'ego.

– Co dokładnie powiedział?

– Cóż, po prostu był zdenerwowany. Powiedział, że jestem tępa, nie widząc następstw. Będzie piekło! Tak to określił. Ale dlaczego? Nie rozumiem.

– Napędzili mu stracha, co? – powiedział Philip zamyślony.

– Ale dlaczego?

– Widzisz, on ma rację. To będzie miało następstwa. Mary patrzyła trochę zdezorientowana.

– Myślisz, że odżyje zainteresowanie sprawą? Oczywiście jestem zadowolona, że Jacko został oczyszczony, ale to będzie przykre, kiedy ludzie zaczną o tym znowu mówić.

– Nie chodzi o to, co powiedzą sąsiedzi. Jest coś więcej.

Popatrzyła pytająco.

– Policja się również zainteresuje!

– Policja? – zapytała Mary ostro. – Co oni mają do tego?
 – Kochana dziewczyno, myśl.
 Mary podeszła wolno i usiadła przy nim.
 – Widzisz, to jest znowu nie wyjaśniona zbrodnia – powiedział Philip.
 – Ale oni na pewno nie będą zwracać sobie głowy po takim długim czasie.
 – Ładny przykład myślenia życzeniowego, ale obawiam się, że całkowicie błędny.
 – Ależ z pewnością po tym, jak okazali się tacy głupi i zrobili tak fatalny błąd w sprawie Jacko, nie zechcą tego odgrzebywać.
 – Mogą nie chcieć, ale prawdopodobnie zrobią to! Obowiązek jest obowiązkiem.
 – Och, Philip, jestem pewna, że się mylisz. Będzie trochę gadania, a potem wszystko umrze własną śmiercią. – I nasze życie będzie płynąć szczęśliwie przez długie lata – zakpił Philip.
 – Czemu nie? Potrząsnął głową.
 – To nie jest takie proste... Twój ojciec ma rację. Musimy zebrać się i zrobić naradę. Ściągnąć Marshalla – jak powiedział.
 – Masz zamiar przenieść się do Sunny Point?
 – Dlaczego nie?
 – To niewykonalne. Jesteś inwalidą i...
 – Nie jestem inwalidą – Philip mówił to z irytacją. – Jestem silny i zdrowy. Po prostu zdarzyło się, że nie mogę korzystać z nóg. Mogłbym pojechać do Timbaktu, gdybym miał zapewniony odpowiedni transport.
 – Jestem pewna, że wyjazd do Sunny Point będzie dla ciebie bardzo niedobry. Przy roztrząsaniu na nowo tej przykrew sprawy...
 – Poruszenie tego nie jest moją decyzją.
 – ...I nie widzę, jak moglibyśmy zostawić dom. Ostatnio jest tyle włamań.
 – Weź kogoś, żeby tu spał.
 – Dobrze ci to mówić... jakby to była najłatwiejsza sprawa na świecie.
 – Stara pani Jak-jej-tam może przychodzić codziennie. Przestań być kurą domową, Polly. To ty nie chcesz jechać.
 – Nie chcę.
 – To nie potrwa długo – powiedział Philip uspokajająco. – Myślę, że jednak powinniśmy pojechać. To jest moment, w którym rodzina powinna zaprezentować światu jednolity front. Musimy dowiedzieć się, na czym stoimy.

III

W hotelu w Drymouth Calgary zjadł wcześniej obiad i poszedł do pokoju. Czuł się głęboko poruszony tym, co zaszło w Sunny Point. Spodziewał się, że jego misja będzie nieprzyjemna, i to odbierało mu chęć, by ją wypełnić. Ale cała sprawa stała się przykra i denerwująca w inny sposób, niż tego oczekiwał. Rzucił się na łóżko i paląc papierosa myślał wciąż o swoich przeżyciach.

Najwyraźniejszym obrazem we wspomnieniach była twarz Hester w momencie rozstania. Jej pogardliwe odrzucenie jego potrzeby sprawiedliwości! Co powiedziała? „Nie chodzi o to, kto jest winny, chodzi o niewinność”. A potem: „Czy pan nie widzi, co pan zrobił nam wszystkim?” Ale co on takiego zrobił? Nie rozumiał tego.

A ci inni. Kobieta, którą nazywano Kirsty. (Dlaczego Kirsty? To szkockie imię. Nie była Szkotką – Dunka, może Norweżka?) Dlaczego mówiła tak surowo, tak oskarżające?

Było też coś dziwnego w panu Argyle – jakieś zmieszanie, czujność. Żadnych uwag w rodzaju: „Dzięki Bogu, mój syn był niewinny!”, które na pewno byłyby stosowną reakcją.

I jeszcze ta dziewczyna – sekretarka pana Argyle. Starala się mu pomóc, była życzliwa. Niemniej ona również reagowała zastanawiająco. Przypomniał sobie sposób, w jaki uklękła przy fotelu swego chlebodawcy. Jakby... jakby wyrażała swoje współczucie, pocieszała go. Pocieszała go z jakiego powodu? Że jego syn nie był winny morderstwa? Przy tym na pewno, tak, z całą pewnością, było w tym coś więcej niż uczucie sekretarki – nawet sekretarki pracującej od lat... O co tu chodziło? Dlaczego oni...

Telefon stojący przy łóżku zadzwonił. Podniósł słuchawkę.

– Hallo?

– Doktor Calgary? Ktoś chce z panem mówić.

– Ze mną?

Zdziwił się. O ile mu było wiadomo, nikt nie wiedział, że spędzał noc w Drymouth.

– Kto taki?

Po chwili ciszy telefonista poinformował:

– To pan Argyle.

– Och. Proszę mu powiedzieć... – Calgary powstrzymał się przed powiadomieniem, że zejdzie na dół. Jeżeli z jakiegoś powodu Leo Argyle pojechał za nim do Drymouth i zadał sobie trud ustalenia, gdzie się zatrzymał, to zapewne sprawa była zbyt kłopotliwa, by omawiać ją w zatłoczonym hallu na dole. Odparł więc:

– Proszę zaproponować mu, żeby przyszedł do mego pokoju.

Wstał i spacerował po pokoju, dopóki nie usłyszał pukania do drzwi.

Podszedł i otworzył je.

– Proszę wejść panie Argyle, ja...

Urwał, zmieszany. To nie był Leo Argyle. To był młody człowiek, mający dwadzieścia parę lat, którego przystojną, ciemną twarz macił wyraz gorzkości. Śmiałą, gniewną, zatroskaną twarz.

– Pan się mnie nie spodziewał – zaczął młody człowiek. – Oczekiwał pan mojego ojca. Jestem Michael Argyle.

– Proszę wejść – Calgary zamknął drzwi za gościem. – Jak pan mnie tutaj odnalazł? – zapytał wyciągając do chłopca papierośnicę.

Michael Argyle wziął papierosa i zaśmiał się niezbyt przyjemnie.

– To było łatwe! Dzwoniłem do dużych hoteli, w których mógł pan zamieszkać. Trafiliem za drugim razem.

– A dlaczego chciał się pan widzieć ze mną? Michael Argyle powiedział wolno:

– Chciałem przekonać się, co z pana za gość... – jego oczy przesunęły się po sylwetce doktora, dostrzegając lekko pochylone ramiona, siwiejące włosy, szczupłą, wrażliwą twarz. – Więc jest pan jednym z facetów, którzy wzięli udział w wyprawie Hayesa Bentleya do bieguna. Nie wydaje się pan bardzo wytrzymały.

Arthur Calgary uśmiechnął się lekko.

– Pozory czasem mylą. Byłem wystarczająco mocny. To, czego tam potrzeba, to nie jest wyłącznie siła mięśni. Są inne ważne wymagania: wytrzymałość, cierpliwość, umiejętności techniczne.

– Ile pan ma lat, czterdzieści pięć?

– Trzydzieści osiem.

– Wygląda pan na więcej.

– Chyba tak.

Przez chwilę przenikało go przejmujące uczucie smutku, kiedy uświadomił sobie męską młodość stojącego przed nim chłopca.

– Dlaczego chciał się pan ze mną zobaczyć? – zapytał dość szorstko.

Tamtę popatrzył spode łba.

– To chyba naturalne, nie? Kiedy usłyszałem nowiny, które pan przyniósł. Te nowiny o moim bracie.

Calgary nie odpowiedział. Michael Argyle ciągnął:

– To przyszło odrobinę za późno dla niego, prawda?

– Tak – powiedział Calgary cicho. – Dla niego jest za późno.

– Czemu dusił to pan tak długo? I co z tym całym wstrząsem?

Calgary cierpliwie wyjaśnił mu. Dziwna rzecz, czuł się jakoś pokrzepiony przez niegrzeczność i szorstkość chłopaka. Wreszcie znalazł się ktoś, kogo sprawa brata silnie poruszyła.

– Chodziło o alibi Jacko. Skąd pan wie, że czasy się zgadzały?

– Tego jestem pewny – Calgary mówił stanowczo.

– Mógł pan popełnić błąd. Naukowe typy mają skłonność do mylenia niekiedy takich drobiazków jak miejsca i godziny.

Calgary objawił lekkie rozbawienie.

– Stworzył pan sobie obraz roztargnionego profesora, który nosi skarpetki nie od pary, nie jest pewny daty albo tego, gdzie jest. Drogi młodzieńcze, praca techniczna wymaga wielkiej precyzji, dokładnych liczb, czasów, obliczeń.

Zapewniam pana, że nie ma możliwości, żebym się pomylił. Zabrałem pańskiego brata przed siódmą i wysadziłem go w Drymouth pięć po pół do ósmej.

– Pański zegarek mógł źle chodzić. Albo patrzył pan na zegar samochodowy.

– Mój zegarek i zegar samochodowy były dokładnie zsynchronizowane.

– Jacko mógł wpuścić pana w maliny. Miał pełno pomysłów.

– Nie było żadnych pomysłów. Dlaczego zależy panu tak bardzo na udowodnieniu mi pomyłki?

Z pewną pasją Calgary ciągnął:

– Spodziewałem się, że trudno będzie przekonać władze, iż skazały człowieka niesłusznie. Nie wiedziałem, że jego własna rodzina będzie tak trudna do przekonania!

– A więc stwierdził pan, że trudno nas przekonać?

– Reakcja wydała mi się trochę niezwykła.

Micky spojrzał na niego przenikliwie.

– Nie chcieli panu uwierzyć?

– Przynajmniej tak to wyglądało...

– Nie tylko wyglądało. Tak było. To dosyć naturalne, gdyby pan tylko o tym pomyślał.

– Ale dlaczego? Czemu miałyby to być naturalne? Pańska matka zostaje zabita. Pański brat jest oskarżony i skazany za tę zbrodnię. Teraz wychodzi na jaw, że jest niewinny. Powinien pan się cieszyć, być wdzięczny. To pański własny brat.

– On nie był moim bratem, a ona nie była moją matką.

– Co?

– Nikt panu nie powiedział? Wszyscy zostaliśmy zaadoptowani. Cała grupa.

Mary, moja najstarsza „siostra” w Nowym Jorku. Reszta podczas wojny. Moja „matka” – jak pan ją nazywa – nie mogła mieć własnych dzieci. Stworzyła sobie miłą rodzinę dzięki adopcji. Mary, ja, Tina, Hester, Jacko. Wygodny, luksusowy dom i mnóstwo matczynej miłości na dodatek! Powiedziałbym, że ona w końcu zapomniała, że to nie były jej własne dzieci. Ale miała pecha, kiedy wybierała Jacko, aby był jednym z jej kochanych małych chłopczyków.

– Nie miałem pojęcia – rzekł Calgary.

– Więc niech się pan nie wysila przy mnie z „własną matką” i „własnym bratem”! Jacko był gnidą!

– Ale nie mordercą – odparł Calgary. Mówił z naciskiem. Micky popatrzył na niego i skinął głową.

– Dobra. Pan tak mówi... i pan przy tym obstaje. Jacko jej nie zabił. Świetnie, zatem kto ją zabił? Nie pomyślał pan o tym kimś, prawda? Więc niech pan pomyśli teraz. Niech pan myśli... i wtedy zacznie pan rozumieć, co pan nam zrobił...

Okręcił się na pięcie i wyszedł gwałtownie z pokoju.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Calgary zaczął przepaszajaco:

– To bardzo miło, że zechciał mnie pan przyjąć znowu, panie Marshall.

– Nic takiego – odparł prawnik.

– Jak pan wie, pojechałem do Sunny Point i spotkałem się z rodziną Jacka Argyle.

– Tak jest.

– Słyszał pan już zapewne o mojej wizycie?

– Tak, panie Calgary, ma pan rację.

– Może nie rozumie pan, dlaczego wróciłem znowu do pana... Widzi pan, sprawy nie potoczyły się tak, jak się spodziewałem.

– Nie – odparł prawnik – chyba nie. – Jego głos był suchy i jak zwykle wyprany z emocji, jednak coś w jego brzmieniu zachęciło Calgary’ego do kontynuowania.

– Widzi pan, myślałem, że to będzie koniec całej sprawy. Byłem przygotowany na pewną urazę z ich strony. Choć mój wstrząs mózgu mógł być określony jako wola Boga, jednak ich punkt widzenia można było wybaczyć. Jednocześnie miałem nadzieję zostać nagrodzony wdzięcznością, którą odczują na wieść o tym, że imię Jacka Argyle zostało oczyszczone. Wcale tak nie było.

– Rozumiem.

– Być może przewidywał pan to, co się stało? Kiedy byłem tu przedtem, pański sposób bycia mnie zaskoczył. Czy oczekiwał pan reakcji, z jaką się spotkałem?

– Nie opowiedział mi pan jeszcze, z jaką reakcją się pan spotkał.

Arthur Calgary nachylił się do przodu.

– Sądziłem, że kończę coś, dając – powiedzmy – nowe zakończenie już napisanego rozdziału. Stworzono jednak wrażenie, pokazano mi, że zamiast coś zakończyć, zacząłem coś. Coś zupełnie nowego. Czy według pana jest to ściśle określenie sytuacji?

Pan Marshall pokiwał wolno głową.

– Tak – powiedział – można by to określić w ten sposób. Myślałem – przyznaję – że pan nie zdaje sobie sprawy ze wszystkich implikacji. Nie mogło być inaczej, ponieważ oczywiście nie znał pan tła całej sprawy ani faktów, oprócz tych, które były podane w sądowych sprawozdaniach.

– Nie. Teraz widzę, że nie. Widzę to zbyt wyraźnie. Podniósł głos i ciągnął podniecony.

– To, co oni czuli, to nie była ulga ani wdzięczność. To był lęk. Strach przed tym, co może się wydarzyć. Mam rację?

Marshall powiedział ostrożnie:

– Uważam, że ma pan słuszość. Proszę zauważyć, że nie mówię tylko na podstawie własnej wiedzy.

– A jeżeli tak – ciągnął Calgary – nie mogę wrócić do mojej pracy z satysfakcją, że naprawiłem wszystko, co było możliwe. Wciąż jestem w to uwikłany. Jestem odpowiedzialny za wprowadzenie do życia różnych ludzi nowego czynnika. Nie mogę po prostu umyć rąk.'

Prawnik chrząknął.

– To jest trochę dziwny punkt widzenia, doktorze Calgary.

– Nie sędzę, naprawdę nie. Trzeba przyjmować odpowiedzialność za swoje czyny. I nie tylko za czyny, lecz także za skutki tych czynów. Dokładnie dwa lata temu podwoziłem młodego autostopowicza. Robiąc to, znalazłem się w strumieniu pewnych zdarzeń. Nie sędzę, żebym mógł wyrwać się z tego ciągu.

Prawnik wciąż potrząsał głową. – Więc dobrze – powiedział Arthur Calgary niecierpliwie. – Może pan nazywać to dziwną rzeczą, jeśli pan chce. Ale moje uczucia, moje sumienie, są jeszcze związane z tą sprawą. Chce tylko naprawić szkodę, ponieważ stało się coś, czemu nie mogłem zapobiec. Nie daję rekompensaty. W jakiś sposób zrobiłem krzywdę ludziom, którzy już cierpieli. Jednak wciąż nie rozumiałem dokładnie dlaczego.

– Istotnie – rzekł Marshall powoli – pan nie był w stanie zrozumieć dlaczego. Ponieważ przez ostatnie osiemnaście miesięcy, czy coś koło tego, nie miał pan kontaktu z cywilizacją. Nie czytał pan codziennych gazet, a sprawozdania dotyczące tej rodziny były właśnie tam drukowane. Może nie czytałby ich pan, ale nie mógłby pan ich uniknąć, to znaczy słyszałby pan o nich. Fakty są bardzo proste. Nie są poufne. Stały się już publiczną własnością. Wyjaśnienie leży w nich i jest nieskomplikowane. Jeżeli Jack Argyle nie popełnił zbrodni (a dzięki pańskiej relacji wiadomo, że nie mógł), w takim razie: kto to zrobił? To przypomina nam okoliczności zbrodni. Stało się to między siódmą a pół do ósmej listopadowego wieczoru, w domu, gdzie zmarła kobieta była otoczona przez członków własnej rodziny i domowników. Dom był zamknięty i zaryglowany i jeżeli ktoś wszedł z zewnątrz, musiał zostać przyjęty przez panią Argyle albo otworzyć drzwi własnym kluczem. Inaczej mówiąc, musiał to być ktoś, kogo znała. W pewien sposób przypomina to sprawę Bordenów w Ameryce, w której państwo Borden zostali zarabani siekierą w niedzielę rano. Nikt w domu niczego nie słyszał, nikogo nie widziano w pobliżu domu. Może pan teraz zrozumieć, doktorze Calgary, dlaczego członkowie rodziny byli – jak pan to określił – raczej wzburzeni niż uspokojeni wiadomościami, które pan przyniósł?

Calgary powiedział powoli:

– Woleliby raczej, żeby Jack Argyle był winny?

– O tak – odparł Marshall – zdecydowanie tak. Jeżeli mogę przedstawić to trochę cynicznie, Jack Argyle był znakomitą odpowiedzią na przykry fakt morderstwa w rodzinie. Był dzieckiem sprawiającym problemy, chłopcem o skłonnościach przestępczych, mężczyzną o gwałtownym charakterze. W rodzinnym kręgu można było go usprawiedliwiać i robiono to. Mogli go opłakiwać, współczuć

mu, oświadczać sobie wzajemnie i całemu światu, że to nie była naprawdę jego wina, że psychologowie potrafiliby to wyjaśnić. Tak, to było bardzo, bardzo wygodne.

– A teraz... – Calgary przerwał.

– A teraz – rzekł Marshall – sytuacja jest zupełnie inna. Zupełnie inna. Prawie alarmująca.

– Nowiny, które przyniosłem, były również dla pana niepożądane – powiedział bystro Calgary.

– . Muszę to przyznać. Tak. Muszę przyznać, że byłem zaniepokojony. Sprawa została zamknięta zadowalająco – tak, będę nadal używał tego słowa – a teraz jest ponownie otwarta.

– Oficjalnie? – spytał Calgary. – To znaczy: czy jest otwarta z policyjnego punktu widzenia?

– Och, niewątpliwie. Kiedy Jack Argyle został skazany na podstawie przytłaczających dowodów (przysięgli naradzali się tylko kwadrans), był to koniec sprawy dla policji. Ale teraz, po ogłoszeniu decyzji o pośmiertnym ułaskawieniu, sprawa jest znowu otwarta.

– I policja przeprowadzi nowe śledztwo?

– Z całą pewnością. Oczywiście – dodał pan Marshall, pocierając w zamyśleniu podbródek – z uwagi na szczególnie charakterystyczny charakter sprawy jest wątpliwe, czy po upływie tak długiego czasu będą w stanie dojść do czegoś... Ja osobiście wątpiłbym w to. Mogą wiedzieć, że ktoś w tym domu jest winny. Mogą mieć nawet bardzo trafny pomysł, kto to jest. Niemniej zdobycie przekonującego dowodu nie będzie łatwe.

– Rozumiem. Tak... To właśnie ona miała na myśli.

Prawnik ostro zapytał:

– O kim pan mówi?

– Ta dziewczyna – rzekł Calgary. – Hester Argyle.

– A tak. Młoda Hester. Co panu powiedziała?

– Mówiła o niewinności. Mówiła, że nie chodzi o winę, tylko o niewinność. Teraz rozumiem, o co jej chodziło...

Marshall rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Przypuszczam, że ma pan rację.

– Sądzi tak, jak pan. Uważa, że znowu podejrzenie padnie na rodzinę...

Marshall przerwał mu.

– Trudno powiedzieć, że znowu. Do tej pory nikt nie rzucał podejrzenia na nich. Od początku wszystko wskazywało na Jacka.

Calgary machnął ręką.

– Podejrzenie padło na rodzinę i może to trwać długi czas – może zawsze. Jeśli ktoś z nich jest winny, być może sami nie wiedzą kto. Będą patrzeć na siebie i... zastanawiać się. Tak, to byłoby najgorsze. Sami nie wiedzą, kto z nich...

Zapadła cisza, Marshall patrzył na Calgary'ego spokojnym, pytającym spojrzeniem, ale nie powiedział nic.

– Wie pan, to okropne... – rzekł Calgary.

Na jego szczupłej, wrażliwej twarzy malowało się wzruszenie.

– Tak, to straszne... Żyć rok po roku nie znając prawdy, przyglądając się sobie, podejrzliwie patrząc na powiązania między ludźmi. Zniszczona miłość, utracone zaufanie...

Marshall chrząknął.

– Czy pan nie przejaskrawia?

– Nie – odparł Calgary. – Nie sędzę. Niech mi pan daruje, ale widzę to jaśniej niż pan. Potrafi sobie wyobrazić, co to może oznaczać.

Znowu zapadło milczenie.

– To znaczy – rzekł Calgary – że będzie cierpiał niewinny... a niewinny nie powinien cierpieć. Tylko winowajca. Właśnie dlatego nie potrafisz umyć rąk. Nie mogę odejść, mówiąc: „Zrobiłem właściwą rzecz, naprawiłem szkodę, służyłem sprawiedliwości”, ponieważ, widzi pan, nie przysłużyłem się sprawiedliwości. Nie spowodowałem skazania winowajcy, nie zdjąłem cienia winy z niewinnego.

– Uważam, że pan się za bardzo denerwuje. Ma pan niewątpliwie słuszne założenia, ale nie widzę, co pan właściwie może zrobić w tej sprawie.

– Ja również nie widzę – powiedział Calgary szczerze.

– Ale to znaczy, że muszę próbować. Naprawdę dlatego przyszedłem do pana. Chcę... uważam, że muszę poznać dokładnie całe tło.

– No cóż – powiedział pan Marshall trochę energiczniej. – Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Mogę podać fakty, o które; panu chodzi. Nie jestem w stanie zrobić nic innego. Nigdy nie byłem w zażyłych stosunkach z domownikami. Nasza firma działała dla pani Argyle od wielu lat. Współpracowaliśmy z nią przy zakładaniu różnych trustów i doglądaliśmy strony prawnej interesów. Samą panią Argyle znałem w miarę dobrze, jak również jej męża. Atmosferę Sunny Point, charaktery i usposobienie osób mieszkających tam, znam tylko – jakby można powiedzieć – z drugiej ręki, od pani Argyle.

– Pojmuję to wszystko, ale muszę od czegoś zacząć. O ile wiem, te dzieci nie były jej własnymi dziećmi. Były adoptowane?

– Tak jest. Pani Argyle z domu Rachel Konstam, była jedyną córką Rudolpha Konstama, bardzo bogatego człowieka. Matka jej była Amerykanką i kobietą również bardzo zamożną. Rudolph Konstam interesował się filantropią i wzbudził podobne zainteresowania u córki. Zginął wraz z żoną w katastrofie samolotowej, a Rachel poświęciła swoją wielką fortunę, odziedziczoną po rodzicach, na – jakbym to określił – niejasne przedsięwzięcia filantropijne. Osobiście interesowała się dobroczynnością i część kontraktów załatwiała sama. Właśnie przy takiej okazji spotkała Leo Argyle'a, wykładowcę z Oksfordu, który był bardzo zainteresowany reformami ekonomicznymi i socjalnymi. Żeby zrozumieć panią Argyle, musi pan sobie uprzytomnić, iż wielką tragedią jej życia było to, że nie mogła mieć własnych dzieci. Jak to się zdarza wielu kobietom, ten fakt rzucił cień na całe jej życie. Kiedy po wizytach u wszelkiego rodzaju specjalistów stało się jasne, że nie może mieć nadziei na to, iż zostanie kiedykolwiek matką, musiała znaleźć coś, co przyniosłoby jej ulgę. Adoptowała pierwsze dziecko, pochodzące ze slumsów w Nowym Jorku – obecną panią Durrant. Pani Argyle poświęciła się niemal całkowicie dobroczynności związanej z dziećmi. Po wybuchu wojny w 1939 roku założyła pod patronatem Ministerstwa Zdrowia pewnego rodzaju wojenny dom opieki dla dzieci, nabywając budynek, który pan odwiedził, Sunny Point.

– Wówczas nazywał się Viper's Point.

– Tak. Tak, chyba taka była pierwotna nazwa. I może bardziej odpowiednia niż wybrana przez nią nazwa – Sunny Point. W 1940 roku miała tam od dwunastu do szesnastu podopiecznych, przeważnie takich, którzy mieli niewłaściwych opiekunów, albo takich, którzy nie zostali ewakuowani z własnymi rodzinami. Dla tych dzieci robiono wszystko. Dostały luksusowy dom. Czyniłem jej wymówki, wykazując, że dzieciom będzie trudno po pani latach wojny wrócić do domów z tego luksusowego otoczenia. Nie zwracała na mnie uwagi. Była ogromnie przywiązana do dzieci i ostatecznie wpadła na pomysł, aby oddano jej kilkoro z nich – sieroty lub pochodzące ze szczególnie niezadowolających środowisk. W rezultacie powstała grupa pięciorga dzieci. Mary – obecnie żona Philipa Durranta, Michael – pracujący w Drymouth, Tina – Metyska, Hester i oczywiście Jacko. Rośli doglądani przez państwa Argyle jak przez ojca i matkę. Dostali najlepsze wychowanie, jakie można kupić za pieniądze. Gdyby otoczenie było wszystkim, mogliby zajść daleko. Na pewno mieli wszelkie po temu warunki. Jack – Jacko, jak go nazywano – zawsze nastroczał kłopoty. Kradł pieniądze w szkole i trzeba go było stamtąd zabrać. Już podczas pierwszego roku na uniwersytecie popadł w tarapaty. Dwa razy tylko o włos uniknął wyroku. Zawsze był nieopanowany. Prawdopodobnie wszystko to już pan wie. Dwukrotnie sprzeniewierzenie przez niego pieniędzy zostało zrekompensowane przez państwa Argyle. Dwa razy dano mu pieniądze na prowadzenie interesu. Dwa razy to przedsiębiorstwo upadło. Po jego śmierci pensję wypłacano i nadal się wypłaca wdowie po nim.

Calgary pochylił się do przodu ze zdumieniem.

– Wdowie po nim? Nikt nigdy nie powiedział mi, że był żonaty.

– Czyżby? – prawnik pstryknął palcami z irytacją. – Musiałem to przegapić. Zapomniałem oczywiście, że pan nie czytał sprawozdań w gazetach. Muszę powiedzieć, że nikt z rodziny Argyle'ów nie miał o tym pojęcia. Tuż po jego aresztowaniu żona zjawiła się w Sunny Point w wielkiej biedzie. Pan Argyle był dla niej bardzo dobry. Była to młoda kobieta, pracująca w Drymouth, w Palais de Danse, jako fordanserka. Przypuszczalnie zapomniałem powiedzieć panu o niej,

ponieważ w parę tygodni po śmierci Jacka wyszła ponownie za mąż. Jej obecny mąż jest – zdaje się – elektrykiem w Drymouth.

– Muszę się z nią zobaczyć – oświadczył Calgary. – Ona jest pierwszą osobą, z którą powinienem się spotkać – dodał z wyrzutem.

– Zapewne tak. Dam panu adres. Naprawdę nie wiem, dlaczego nie wspomniałem o niej, kiedy przyszedł pan do mnie pierwszy raz.

Calgary milczał.

– Była takim... czynnikiem bez znaczenia – rzekł prawnik przepraszająco. – Nawet gazety nie zajmowały się nią wiele, nigdy nie odwiedziła swego męża w więzieniu ani nie okazała żadnego zainteresowania...

Calgary był pogrążony w myślach. Teraz zapytał:

– Czy może mi pan powiedzieć dokładnie, kto był w domu tego wieczoru, kiedy pani Argyle została zamordowana?

Marshall rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Leo Argyle oczywiście i najmłodsza córka, Hester. Mary Durrant i jej kaleki mąż przyjechali z wizytą. Ponadto Kirsten Lindstrom, którą prawdopodobnie pan spotkał – jest to szwedzka wykwalifikowana pielęgniarka i masażystka, która pierwotnie pomagała pani Argyle w prowadzeniu jej wojennego domu opieki i od tego czasu została w Sunny Point. Michaela i Tiny nie było – Michael pracuje jako sprzedawca samochodów w Drymouth, a Tina ma pracę w bibliotece w Redmyn i mieszka tam.

Marshall przerwał na moment.

– Była również panna Vaughan, sekretarka pana Argyle. Wyszła z domu, zanim odkryto ciało.

– Widziałem ją także. Wydaje się bardzo przywiązana do pana Argyle.

– Tak, istotnie. Wydaje mi się, że wkrótce mają być ogłoszone zaręczyny.

– Ach!

– Był bardzo samotny po śmierci żony – powiedział prawnik tonem lekkiej nagany.

– Właśnie – rzekł Calgary. Potem dodał:

– A co z motywem?

– Drogi doktorze Calgary, naprawdę nie potrafię spekulować na ten temat.

– Sądzę, że potrafi pan. Sam pan stwierdził, że fakty są możliwe do sprawdzenia.

– Nikt nie odniósł bezpośrednich korzyści pieniężnych. Pani Argyle przystąpiła do szeregu dyskrejonalnych trustów, które są dziś przyjętą formą. Te trusty działały na korzyść wszystkich dzieci. Były zarządzane przez trzech powierników, z których jednym jestem ja, drugim Leo Argyle, a trzecim pewien amerykański prawnik, daleki kuzyn pani Argyle. Ta wielka suma pieniędzy jest zarządzana przez wszystkich trzech powierników i może zostać użyta na korzyść tego z beneficjentów, który jest w największej potrzebie.

– A co z panem Argyle? Czy odniósł korzyść finansową z powodu śmierci żony?

– W niewielkim stopniu. Większość jej majątku przechodzi na fundusz powierniczy. Resztę zostawiła mu, ale nie jest to duża suma.

– A panna Lindstrom?

– Pani Argyle kupiła jej bardzo przyzwoitą rentę kilka lat wcześniej.

Marshall dodał z irytacją:

– Motyw? Nie widzę tam motywu nawet za grosz. Przynajmniej motywu finansowego.

– A w sferze uczuciowej? Może były tam jakieś szczególne tarcia?

– Obawiam się, że tu nie mogę panu pomóc – Marshall mówił kategorycznie. – Nie byłem obserwatorem ich życia rodzinnego.

– A czy jest ktoś, kto mógłby pomóc?

Marshall zastanawiał się chwile. Potem rzekł niechętnie:

– Mógłby pan zobaczyć się z miejscowym lekarzem. Nazywa się... ee... doktor MacMaster. Jest już na emeryturze, ale mieszka w sąsiedztwie. Sprawował medyczny dozór nad wojennym domem opieki. Musi dużo wiedzieć o życiu w Sunny Point. Czy potrafi pan go przekonać, żeby opowiedział o tym, to pańska sprawa. Ale jeżeli zechce, to myślę, że może okazać się przydatny, choć – proszę wybaczyć, że to mówię – czy uważa pan, że uda się panu coś, co policja może osiągnąć łatwiej?

– Nie wiem – powiedział Calgary. – Prawdopodobnie nie. Wiem jednak, że muszę spróbować. Tak, muszę spróbować.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Brwi komisarza okręgu uniosły się powoli, w daremnym wysiłku osiągnięcia cofniętej linii jego siwych włosów. Podniósł oczy na sufit i opuścił je znowu na papiery na biurku.

– Nie do pojęcia! – powiedział.

Młody człowiek, którego zajęcie polegało na potwierdzaniu wypowiedzi szefa, odparł:

– Tak jest, sir.

– Ładna historia – wymamrotał major Finney. Popukał palcami po blacie. – Jest Huish? – zapytał.

– Tak, sir. Nadinspektor Huish przyszedł pięć minut temu.

– Dobrze. Przyślij go tutaj.

Nadinspektor Huish był wysokim, smutnym mężczyzną. Wrażenie melancholii było tak głębokie, że nikt nie mógł uwierzyć, iż bywa on duszą dziecięcych przyjęć, żartuje i wyciąga grosiki z uszu małych chłopców, ku ich wielkiej uciechu.

Komisarz zaczął:

– Dzień dobry, Huish, mamy tu niezły klops. Co sądzisz o tym?

Nadinspektor Huish westchnął ciężko i usiadł na wskazanym krześle.

– Wygląda na to, że przed dwoma laty popełniliśmy błąd – powiedział. – Ten facet... jak mu tam..

Komisarz zaszeleścił papierami.

– Calgary... nie, Calgary. Jakiś profesor. Może roztargniony typ. Tacy ludzie często myślą pory i takie rzeczy – w jego głosie był odcień błagania, ale Huish nie zareagował.

– O ile rozumiem, jest naukowcem – powiedział. – Więc myślisz, że mamy przyjąć to, co on mówi?

– Cóż – odparł Huish – zdaje się, że sir Reginald to zaakceptował, a nie przypuszczam, żeby coś mogło się stać poza nim.

Był to hołd złożony szefowi prokuratury.

– No nie – powiedział major Finney niedowierzająco.

– Jeżeli on został przekonany, to przypuszczam, że powinniśmy to przyjąć do wiadomości. To oznacza, że musimy otworzyć na nowo sprawę. Przyniosłeś dokumenty związane ze sprawą, o które prosiłem?

– Tak, sir. Mam je tutaj.

Nadinspektor rozłożył na biurku różne papiery.

– Przeglądałeś je?

– Tak, sir. Przejrzałem je wczoraj wieczór. Moje wspomnienia o tym są stosunkowo świeże. Ostatecznie to nie działa się dawno temu.

– No to zaczynajmy, Huish. Gdzie jesteście?

– Zacznijmy od początku, sir. Kłopot polega na tym, że nie było żadnych wątpliwości co do czasu popełnienia zbrodni.

– Nie. Przypadek wydawał się całkiem jasny. Nie sądź, że cię winię, Huish. Zgadzałem się z tobą w stu procentach.

– Nie było nic więcej, o czym moglibyśmy pomyśleć – rzekł Huish zadumany. – Dostaliśmy telefon, że została zabita. Informację, że chłopak był tam, grożąc jej, znaleźliśmy jego odciski na pogrzebaczu i pieniądze. Złapaliśmy go prawie natychmiast i miał przy sobie te pieniądze.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie w tym czasie? Huish zastanowił się.

– Niedobre – odparł. – Za bardzo podskakiwał i był pewny siebie. Kręcił na temat zgodności czasów i swojego alibi. Arogancki. Zna pan ten typ. Mordercy są zwykle aroganccy. Wydaje im się, że są sprytni. Myślą, że to, co zrobili, jest słuszne, nie obchodzą ich, jak to widzą inni. Mylił się uważając, że „wszystko jest w porządku”.

– Tak – zgodził się Finney. – On był złym człowiekiem. Wszystkie jego akta tego dowodzą. Jednak czy byłeś od razu przekonany, że jest zabójcą?

Nadinspektor zastanowił się.

– To nie jest rzecz, której można być pewnym. Powiedziałbym, że był typem, który często kończy jako morderca. Jak Harmon w 1938 roku. Miał za sobą długą historię kradzieży rowerów, wyłudzenia pieniędzy, naciągania starszych kobiet i ostatecznie zabił kobietę, rozpuścił jej ciało w kwasie, mając przy tym wielką uciechę, i zaczął to robić stale. Przyjąłem, że Jacko Argyle był jednym z takich osobników.

– Wydaje się jednak, że myliliśmy się.

– Tak, byliśmy w błędzie. Fatalna historia. Proszę nie zapominać – dodał z nagłym ożywieniem – że on był naprawdę przestępcą. Może nie był mordercą – teraz wiemy, że rzeczywiście nie był – ale jednak był przestępcą.

– No dobrze, człowieku – warknął na niego Finney – kto ją zabił? Powiadasz, że przejrzałeś akta wczoraj wieczór. Kobieta nie trzasnęła się sama pogrzebaczem w tył głowy. Ktoś to zrobił. Kto to był?

Nadinspektor westchnął i odchylił się na krześle.

– Jestem ciekaw, czy kiedykolwiek się dowiemy.

– Trudności jak zwykle, co? |

– Tak, ponieważ trop jest już zimny i będzie można znaleźć niewiele dowodów, a wyobrażam sobie, że nigdy nie było ich za dużo.

– Rzecz w tym, że zrobił to ktoś przebywający w domu, ktoś jej bliski?

– Nie wiem, kto inny mógłby to zrobić – powiedział nadinspektor. – Ktoś przebywający w domu albo ktoś, komu ona otworzyła i kogo wpuściła do środka. Argyle'owie lubią się zamykać. Zabezpieczenia przeciwwłamaniowe na oknach, łańcuchy, dodatkowe zamki w drzwiach frontowych. Parę lat wcześniej mieli włamanie i to uświadomiło im istnienie włamywaczy. Kłopot polega na tym, że w owym czasie nie rozglądaliśmy się gdzie indziej. Dowody przeciwko Jackowi Argyle wydawały się kompletne. Oczywiście teraz możemy się przekonać, że skorzystał na tym morderca.

– Odnosił korzyść z tego, że chłopiec był tam, pokłócił się z matką i groził jej?

– Tak. Wszystko, co ta osoba musiała zrobić, to wejść do pokoju, wziąć pogrzebacz ręką w rękawiczce z miejsca, gdzie Jacko go rzucił, i rąbnąć ją w głowę.

Major Finney rzucił jedno słowo:

– Dlaczego?

Huish pokiwał głową.

– Tak, sir, to właśnie powinniśmy odkryć. To jest jedna z trudności. Brak motywu.

– W tym czasie brak wyraźnego motywu nie był uderzający. Jak większość kobiet mających nieruchomość i własny majątek wchodziła w różne układy, które legalnie pozwalają uniknąć podatku spadkowego. Istniał już fundusz powierniczy, dzieci były zabezpieczone na wypadek jej śmierci. Nie otrzymałyby nic więcej, gdyby umarła. I to nie dlatego, że była nieprzyjemną kobietą, dokuczliwą czy terroryzującą otoczenie. Wydawała hojnie pieniądze na nich przez całe ich życie. Dobre wykształcenie, pokaźne sumy na rozpoczęcie pracy, wysokie kieszonkowe. Miłość, życzliwość, opieka.

– Tak jest, sir – zgodził się nadinspektor. – Pozornie nikt nie miał powodu, aby chcieć się jej pozbyć. Oczywiście... – przerwał.

– No?

– O ile rozumiem, pan Argyle zamierza się ponownie ożenić. Poślubia pannę Gwendę Vaughan, która od dość dawna jest jego sekretarką.

– Tak – zastanowił się major Finney. – Wydaje mi się, że tutaj jest motyw. W tym czasie o tym nie było wiadomo. Powiadasz, że pracuje u niego od dawna. Myślisz, że w czasie gdy popełniono morderstwo, było coś między nimi?

– Wątpię w to, sir. To są sprawy, o których w wiosce zaraz zaczyna się mówić. Nie sądzę, że tam się wiele działo. Nic, co pani Argyle mogłaby odkryć czy brutalnie przerwać.

– Może i nie, ale może on bardzo mocno pragnął ożenić się z panną Vaughan.

– Jest atrakcyjną kobietą – zgodził się Huish. – Może nie olśniewająca, ale przystojna i pociągająca.

– Prawdopodobnie była zajęta nim od lat. Sekretarki chyba zawsze kochają się w swoich szefach.

– Cóż, mielibyśmy motyw dla tych dwojga. Jest tam również pomocnica, Szwedka. Mogła lubić panią Argyle nie tak bardzo, jak to się wydaje. Mogą się zdarzać urazy, prawdziwe lub wymaginowane, sprawy, które ranią. Ona nie korzystała na tej śmierci, ponieważ pani Argyle już kupiła jej bardzo ładną rentę. Wydaje się, że jest miłą, rozsądną kobietą, nie taką, którą można sobie wyobrazić, jak wali kogoś pogrzebaczem w głowę. Nigdy jednak nie wiadomo, prawda? Niech pan wspomni sprawę Lizzie Borden.

– Rzeczywiście – odparł komisarz. – Nigdy nie wiadomo. Ktoś z zewnątrz nie wchodzi w rachubę?

– Nie było niczyjego śladu. Szufłada, w której leżały pieniądze, została wyłamana. Usiłowano bardzo po amatorsku sprawić, żeby pokój wyglądał jak po wizycie włamywacza. Właśnie coś takiego pasowało idealnie do młodego Jacko. – Dziwną sprawą dla mnie są te pieniądze – rzekł komisarz.

– Tak. Bardzo trudno to zrozumieć. Jeden z pięcioletnich banknotów, które Jack miał przy sobie, został wypłacony rano przez bank pani Argyle. Zapisano na nim nazwisko pani Bottleberry. Chłopak utrzymywał, że matka dała mu pieniądze, ale zarówno pan Argyle, jak i Gwenda Vaughan twierdzą stanowczo, że pani Argyle weszła do biblioteki za kwadrans siódma, opowiedziała im o żądaniach Jacko i stwierdziła stanowczo, że odmówiła mu pieniędzy.

– Jest również możliwe – podkreślił komisarz – w związku z tym, o czym wiemy teraz, że Argyle i ta Vaughan kłamią.

– Istnieje taka możliwość... albo... – nadinspektor przerwał.

– Jaka? – zachęcił go Finney.

– Powiedzmy, że ktoś – nazwijmy jego czy ją X – podsłuchiwał kłótnię i groźby Jacko. Przypuśćmy, że ten ktoś dostrzegł w tym okazję. Wziął pieniądze, pobiegł za chłopcem i powiedział, że jego matka mimo wszystko dała mu je i w ten sposób utorował sobie drogę do ślicznie sfabrykowanego oskarżenia. Użył pogrzebacza, którym poprzednio groził Jacko, starannie unikając zamazania odcisków palców.

– Niech to diabli – zaklął komisarz gniewnie. – Nic takiego nie pasuje do tego, co wiemy o tej rodzinie. Kto jeszcze był w domu tego wieczoru oprócz Argyle'a, Gwendy Vaughan, Hester i tej Lindstrom?

– Najstarsza córka, Mary Durrant, i jej mąż przyjechali z wizytą.

– On jest kaleką, prawda? To go wyklucza. A co z Mary Durrant?

– Ona jest bardzo opanowana, sir. Nie można sobie jej wyobrazić podnieconej czy zabijającej kogoś.

– Służba? – dopytywał się major Finney.

– Wyłącznie dochodzący i poszli do domu o szóstej.

– Pozwól mi popatrzeć na zestawienie czasów. Nadinspektor podał mu papier.

– Hm... tak, rozumiem. Za kwadrans siódma pani Argyle była w bibliotece, opowiadając swemu mężowi o groźbach Jacko. Podczas części rozmowy obecna była Gwenda Vaughan. Gwenda poszła do domu tuż po siódmej. Hester widziała matkę żywą dwie czy trzy minuty przed siódmą. Potem nie widziano pani Argyle do pół do ósmej, kiedy to panna Lindstrom odkryła jej ciało. Między siódmą a pół do ósmej było wiele okazji. Hester mogła ją zabić. Gwenda Vaughan, między wyjściem z biblioteki a opuszczeniem domu, również. Panna Lindstrom mogła ją zabić, kiedy „odkryła ciało”. Leo Argyle był sam w bibliotece od dziesięć po siódmej do momentu, gdy panna Lindstrom podniosła alarm. Mógł pójść do bawialni żony i zabić ją w każdej chwili w ciągu tych dwudziestu minut. Mary Durrant, która była na górze, mogła zejść w czasie tej pół godziny i zabić matkę. I – powiedział major Finney z namysłem – sama pani Argyle mogła wpuścić kogoś przez frontowe drzwi, jak według nas wpuściła Jacko. Pan Argyle zeznał – jeśli pamiętasz – że wydawało mu się, iż słyszał dźwięk dzwonka oraz otwarcie i zamknięcie drzwi, ale nie potrafił określić czasu. Założyliśmy, że właśnie wtedy Jacko wrócił i zabił ją.

– On nie potrzebował dzwonić – zauważył Huish. – Miał klucz, jak wszyscy.

– Jest jeszcze jeden brat, prawda?

– Tak, Michael. Pracuje jako sprzedawca samochodów w Drymouth.

– Dobrze by było – powiedział komisarz – dowiedzieć się, co robił tego wieczoru. – Po dwóch latach? – zapytał Huish. – Mało prawdopodobne, żeby ktoś pamiętał.

– Pytano go wtedy?

– O ile wiem, sprawdzał samochód klienta. Nie ma powodu, by go podejrzewać, ale miał klucz, mógł wejść i zamordować ją.

Komisarz westchnął.

– Nie wiem, jak zamierzasz się do tego zabrać, Huish. Nie wiem, czy dojdziemy do czegoś.

– Sam chciałbym wiedzieć, kto ją zabił. Z tego, co się dowiedziałem, wynika, że była wspaniałą kobietą. Robiła wiele dla ludzi. Dla nieszczęśliwych dzieci, dla różnych instytucji dobroczynnych. Była taką osobą, która nie powinna zostać zamordowana. Tak, chciałbym się dowiedzieć. Nawet jeśli nigdy nie uzyskamy wystarczających dowodów dla prokuratury, chciałbym znać prawdę.

– Cóż, życzę ci powodzenia, Huish. Na szczęście nie mamy teraz wiele pracy, ale nie bądź zniechęcony, jeżeli nie dojdiesz do niczego. To jest zimny trop. Tak, bardzo zimny trop.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

I

W kinie zapalono światła. Na ekranie błyskały reklamy. Bileterki roznosiły lemoniade i lody. Calgary przyjrzał się im dokładnie. Pulchna dziewczyna z brązowymi włosami, wysoka ciemna i mała jasnowłosa. Właśnie tę ostatnią przyszedł zobaczyć. Żona Jacko. Wdowa po Jacko, obecnie żona mężczyzny, który nazywał się Joe Clegg. Miała ładną, bezmyślną twarzyczkę pokrytą makijażem, wyskubane brwi, włosy sztywne i zeszcpeczone tanią ondulacją. Arthur Calgary kupił od niej porcję lodów. Miał jej domowy adres i zamierzał tam wpaść, ale chciał najpierw zobaczyć ją w chwili, kiedy nie wiedziała o nim. No tak, to było to. Według wszelkich relacji nie była to synowa, którą pani Argyle widziałaby chętnie. Tak, nie ma wątpliwości, dlaczego Jacko ukrywał swoje małżeństwo.

Westchnął, włożył lody pod fotel, usiadł wygodnie i poczekał do chwili, kiedy zgasły światła i na ekranie pojawił się film. Niebawem wstał i wyszedł z kina.

O jedenastej następnego dnia zjawił się pod wskazanym adresem. Szesnastoletni chłopiec otworzył mu drzwi i powiedział:

– Clegg? Na piętrze.

Calgary wszedł na górę. Zapukał i w drzwiach pojawiła się Maureen Clegg. Bez eleganckiego uniformu i makijażu wydawała się inną dziewczyną. Miała głupiutką, poczciwą twarzyczkę, w której nie było nic interesującego. Popatrzyła na niego podejrzliwie, marszcząc brwi.

– Moje nazwisko Calgary. Otrzymała pani chyba list pana Marshalla na mój temat. – Ach, to pan! Proszę wejść – cofnęła się, wpuszczając go. – Przepraszam za bałagan. Nie miałam jeszcze czasu posprzątać. Zgarnęła z krzesła rzucone nieporządnie ubranie i odsunęła resztki śniadania, zjedzonego już jakiś czas temu. – Proszę usiąść. To szalenie miłe z pana strony, że pan przyszedł.

– Czułem, że przynajmniej to powinienem zrobić. Zaśmiała się z zakłopotaniem, jakby nie rozumiała w pełni, co gość ma na myśli.

– Pan Marshall napisał mi o tym. O tej historii, którą Jacko wymyślił, że była jednak prawdziwa. Że ktoś podwiózł go tego wieczoru do Drymouth. Więc to był pan?

– Tak – odparł Calgary. – To byłem ja.

– Naprawdę nie mogę w to uwierzyć. Rozmawialiśmy o tym wczoraj z Joem. Powiedziałam, że coś takiego mogłoby zdarzyć się w kinie. To już chyba dwa lata?

– Coś koło tego.

– Właśnie takie rzeczy można obejrzeć w kinie i oczywiście człowiek mówi sobie, że to bzdury, że w życiu to się nie zdarza. I właśnie się zdarzyło! To naprawdę emocjonujące, prawda?

– Myślę, że tak to można określić – rzekł Calgary.

Patrzył na nią z niejasnym uczuciem przykrości. Szczebiotała radośnie.

– A biedny, stary Jackie nie żyje i nie może się o tym dowiedzieć. Dostał w więzieniu zapalenia płuc. To pewnie wilgoć czy coś takiego.

Calgary stwierdził, że miała romantyczny obraz więzienia. Wilgotne podziemne cele ze szcurami ogryzającymi więźniom palce u nóg.

– W tym czasie – ciągnęła – śmierć wydawała się dla niego najlepszym wyjściem.

- Tak, przypuszczam, że tak... pewnie musiało tak być.
- Mam na myśli, że on tam siedział zamknięty przez całe lata. Joe powiedział, że lepiej wziąć rozwód, i zaraz to zrobiłam.
- To pani wystąpiła o rozwód?
- Nie jest przyjemnie być związaną z człowiekiem, który idzie na długie lata do więzienia. Poza tym, choć bardzo lubiłam Jackie'go, to nie był wcale solidny facet. Nigdy nie myślałam naprawdę, że nasze małżeństwo się utrzyma.
- Miała już pani wszczętą sprawę rozwodową, kiedy on umarł?
- Niby tak. To znaczy byłam u adwokata. Joe zmusił mnie, żebym poszła. Oczywiście Joe nigdy nie mógł znieść Jackie'go.
- Joe to pani mąż?
- Tak. Pracuje w elektrowni. Dostał dobrą pracę i cenią go tam. Zawsze mi mówił, że Jackie to nic dobrego, ale oczywiście ja byłam głupim dzieciakiem. Jackie miał wielki wpływ na innych.
- Tak mi się wydaje z tego, co o nim słyszałem.
- Cudownie sobie radził z kobietami, naprawdę nie wiem dlaczego. Nie był przystojny. Nazywałam go małpiszczonem. Ale miał swoje sposoby. Ani się pan obejrzał, a już robił pan, co on chciał. Trzeba przyznać, że to się przydało parę razy. Zaraz po ślubie wpadł w tarapaty w garażu, gdzie pracował, w związku z jakąś robotą przy wozie klienta. Nigdy nie zrozumiałam dokładnie, o co chodziło. W każdym razie szef był wściekły jak nie wiem co. Ale Jackie zakręcił się koło żony szefa. Zupełnie stara, musiała mieć prawie pięćdziesiąt lat, ale Jackie pochlebiał jej, skołował ją kompletnie, aż nie wiedziała, jak się nazywa. W końcu była gotowa zrobić dla niego wszystko. Ugłaskała męża i namówiła go, żeby nie oddawał sprawy do sądu, jeśli Jackie zwróci pieniądze. Ale on nie wiedział, skąd pochodziły pieniądze! Dała je jego własna żona. Pękaliśmy ze śmiechu z tej kołomyjki!
- Calgary patrzył na nią z lekką niechęcią.
- To było aż tak śmieszne?
- Myślę, że tak, nie sądzi pan? To dopiero była draka. Taka stara baba, wariująca za Jackiem i wyskrobująca dla niego swoje oszczędności.
- Calgary westchnął. Sprawy nigdy nie wyglądają tak, jak sobie człowiek wyobraża. Z każdym dniem czuł mniejszą sympatię do człowieka, którego imię chciał oczyścić podejmując tyle trudu. Zrozumiał prawie i podzielał punkt widzenia, który tak go zdumiał w Sunny Point.
- Przyszedłem tutaj zobaczyć, czy mógłbym zrobić coś, żeby zrekompensować pani to, co się zdarzyło.
- Maureen Clegg wydawała się lekko zakłopotana.
- To na pewno miło z pana strony, ale czemu miałyby pan coś robić? Nic nam nie brakuje. Joe zarabia dobrze, ja mam swoją pracę. Jestem bileterką w kinie, wie pan?
- Tak, wiem.
- Chcemy w przyszłym miesiącu kupić telewizor – ciągnęła z dumą.
- Jestem bardzo rad – rzekł Calgary – bardziej, niż potrafię to wypowiedzieć, że ta... ta fatalna historia nie pozostawiła jakichś... no, trwałych śladów.
- Stwierdził, że coraz trudniej mu znaleźć właściwe słowa w rozmowie z dziewczyną, która była żoną Jacko. Wszystko brzmiało pompatycznie i sztucznie. Dlaczego nie mógł rozmawiać z nią w naturalny sposób?
- Obawiałem się, że to było ciężkie przeżycie dla pani. Patrzyła na niego szeroko otwartymi niebieskimi oczami, zupełnie nie rozumiejąc, o co mu chodzi.
- W tym czasie to było wstrętne. Wszyscy sąsiedzi plotkowali i nie dawali mi spokoju, choć muszę powiedzieć, że policja była bardzo miła. Rozmawiali ze mną bardzo grzecznie i mówili o wszystkim bardzo uprzejmie.
- Był ciekaw, czy miała jakieś uczucia dla zmarłego mężczyzny.
- Uważała pani, że on to zrobił? – zapytał nagle.
- Ma pan na myśli, czy uważałam, że wykończył swoją matkę?
- Tak. Właśnie to.
- No, tak, oczywiście... cóż, przypuszczałam, że jakoś to zrobił. On rzecz jasna mówił, że nie, ale byłam zdania, że nie można nigdy mu wierzyć, a wyglądało tak, jakby to zrobił. Widzi pan, on potrafił być okropny, jeśli ktoś mu się sprzeciwiał. Wiedziałałam, że był w dołku. Nie mówił mi dużo, tylko skłął

mnie, gdy spytałam go o to. Ale jak wychodził tego dnia, powiedział, że wszystko będzie dobrze. Matka zabuli. Musi to zrobić. Więc oczywiście uwierzyłam mu.

– O ile rozumiem, nigdy nie powiedział rodzinie o waszym małżeństwie. Nie odwiedzała ich pani?

– Nie. Widzi pan, to byli lepsi ludzie, mieli wielki dom i tak dalej. Nie byłabym przez nich akceptowana. Jackie uważał, że lepiej zachować tajemnicę. Poza tym mówił, że jeśli zabierze mnie tam, matka zechce kierować moim życiem, tak samo jak jego. Nie potrafiła się od tego powstrzymać i on miał tego dosyć. Powiedział, że jest dobrze, tak jak jest.

Nie okazywała żadnej urazy, uważała po prostu, że postępowanie jej męża było zupełnie naturalne.

– Sądzę, że przeżyła pani wielki szok, kiedy go aresztowano?

– Cóż, naturalnie. Czy naprawdę potrafiłby zrobić coś takiego? Mówiłam sobie, że nie, ale jednak nie można było uciec przed taką myślą. Jackie zawsze wpadał w okropną wściekłość, kiedy coś go zdenerwowało.

Calgary pochylił się do przodu.

– Powiedzmy to tak. Wcale nie byłaby pani zaskoczona dowiadując się, że pani mąż uderzył swoją matkę pogrzebaczem w głowę i ukradł jej dużą sumę pieniędzy?

– Ależ panie Calgary, proszę mi wybaczyć, ale wyraża pan to w bardzo nieprzyjemny sposób. Nie sądzą, że on zamierzał ją wykończyć. Kiedy odmówiła mu pieniędzy, chwycił pogrzebacz i postraszył ją, a gdy upierała się, stracił panowanie i rąbnął ją. Myślę, że nie chciał jej zabijać. Po prostu miał pecha. Widzi pan, bardzo potrzebował tych pieniędzy. Gdyby ich nie dostał, poszedłby do więzienia.

– Więc pani nie winiła go?

– Oczywiście, że go potępiałam... Nie lubię takiej gwałtowności. I do tego własna matka! To nie było nic przyjemnego. Zaczęłam myśleć, że Joe miał rację mówiąc mi, że nie powinnam zadawać się z Jackiem. Ale wie pan, jak to jest. Dziewczynie zawsze jest trudno podjąć decyzję. Joe był taki solidny. Znałam go od dawna. Jackie był inny. Był wykształcony i wydawał się bardzo bogaty, zawsze szastał pieniędzmi. I – jak panu mówiłam – miał swoje sposoby. Potrafił wykołować każdego. Zawrócił mi w głowie. „Pożałujesz tego, dziewczyno” – tak powiedział Joe. Pomyślałam sobie, że to niedojrzałe winogrona i zazdrość, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Ale na końcu okazało się, że Joe miał rację.

Calgary popatrzył na nią. Zastanawiał się, czy dziewczyna nie rozumiała jeszcze znaczenia całej tej historii.

– W jakim sensie miał rację?

– Wyciągając mnie z tego kłopotu. Byliśmy zawsze uczciwi. Matka wychowała nas bardzo starannie. W domu zawsze było miło i bez awantur. A tu policja aresztuje mego męża! I wszyscy sąsiedzi wiedzą. Było we wszystkich gazetach. „Wiadomości ze Świata” i cała reszta. I wciąż przychodziło mnóstwo reporterów i zadawali pytania. To mnie stawiało w nieprzyjemnej sytuacji.

– Drogie dziecko – powiedział Arthur Calgary – czy teraz zdaje sobie pani sprawę, że on tego nie zrobił?

Przez chwilę na ładnej twarzyczce malowało się jakby oszołomienie.

– Jasne! Zupełnie zapomniałam. Ale to wszystko jedno, to znaczy: poszedł tam, zrobił drakę, straszył ją i tak dalej. Gdyby tego nie zrobił, nie aresztowaliby go, prawda?

– Rzeczywiście.

Być może – pomyślał – to ładne, głupiutkie dziecko ma więcej poczucia rzeczywistości niż ja.

– Oo, to było okropne – ciągnęła Maureen. – Nie wiedziałam, co robić. A potem mamusia poradziła mi, żeby pójść do jego rodziny. Muszą coś dla mnie zrobić. Oprócz tego – mówiła – masz swoje prawa i najlepiej pokaż im, że potrafisz o nie zadbać. Więc poszłam. Otworzyła mi ta ich zagraniczna pomoc i najpierw nie mogłam jej wytłumaczyć. Wyglądało na to, że mi nie wierzy. To niemożliwe – upierała się – to zupełnie niemożliwe, żeby Jacko ożenił się z pania”. To mnie uraziło. „Pobraliśmy się – powiedziałam – i nawet nie w urzędzie. W kościele”. Tego życzyła sobie mamusia! A ona upierała się: „To nieprawda, nie wierzę”. I wtedy przyszedł pan Argyle, i był bardzo miły. Powiedział, żebym nie martwiła się więcej i że wszystko zostanie zrobione, żeby bronić Jackie’go. Zapytał mnie,

jak stoję z pieniędzmi, i przysyłał mi ładną sumkę, regularnie, co tydzień. I robi to nawet teraz. Joemu nie podoba się, że przyjmuję pieniądze, ale powiedziałam mu: „Nie bądź głupi. Oni mogą się bez nich obejść”. Przysłał mi też niezły czek na prezent ślubny, kiedy pobieraliśmy się z Joem. I powiedział, że jest bardzo rad i ma nadzieję, że to małżeństwo będzie szczęśliwsze od poprzedniego. Tak, pan Argyle jest zawsze bardzo miły.

Odwróciła się, słysząc otwarcie drzwi.

– Och, przyszedł Joe.

Joe był jasnowłosym młodym człowiekiem o wąskich wargach. Trochę nachmurzony przyjął wyjaśnienia Maureen.

– Miałem nadzieję, że skończyliśmy z tym, proszę pana. Proszę wybaczyć, że to mówię. Nie jest dobrze odgrzebywać przeszłość. Tak przynajmniej czuję. Maureen miała pecha, tyle można powiedzieć..

– Tak. Rozumiem pański punkt widzenia.

– Oczywiście nigdy nie powinna zadawać się z takim facetem. Wiedziałem, że on jest nic dobrego. Już wcześniej były z nim afery. Dwa razy był pod opieką kuratora. Jak się raz zacznie, potem idzie się dalej. Najpierw sprzeniewierza się pieniądze czy wyłudza od kobiet ich oszczędności, a kończy się morderstwem.

– To jednak nie było morderstwo.

– To pan tak mówi, sir – rzekł Joe Clegg. Wydawał się zupełnie nieprzekonany.

– Jack Argyle ma znakomite alibi na czas, w którym dokonano zbrodni. Był w moim samochodzie i podwoziłem go do Drymouth. Więc widzi pan, panie Clegg, nie mógł jej popełnić.

– Może i nie, sir. Jednak mimo wszystko szkoda to odgrzebywać. W końcu on nie żyje i jest mu wszystko jedno. A to powoduje, że sąsiedzi zaczynają znowu gadać i wymyślają różne rzeczy.

Calgary wstał.

– Cóż, być może pański punkt widzenia jest właściwy. Jest jednak coś takiego jak sprawiedliwość.

– Zawsze uważałem, że angielski proces jest tak rzetelny, jak to tylko możliwe.

– Nawet najlepszy system na świecie popełnia błędy. Sprawiedliwość spoczywa w rękach ludzi, a ludzie są omylni.

Idąc ulicą czuł się bardziej zdenerwowany, niż wydawało mu się to możliwe. Czyżby naprawdę było lepiej, gdybym nigdy nie odzyskał pamięci? Ostatecznie – jak powiedział ten zadowolony z siebie facet – chłopiec nie żyje. Uszedł przed sprawiedliwością, która nie robi błędów. Czy byłby pamiętany jako morderca, czy jako złodziejaszek, to nie robiło mu teraz różnicy.

Nagle ogarnął go gniew. Komuś jednak powinno to zrobić różnicę! Ktoś powinien się ucieszyć! Dlaczego tak nie było? Rozumiem tę dziewczynę. Jacko mógł ją zauroczyć, ale nigdy go nie kochała. Prawdopodobnie nie potrafi kochać nikogo. Ale co z innymi? Jego ojciec, siostra, opiekunka... Powinni się ucieszyć. Powinni poświęcić mu jakąś myśl, zanim zaczęli bać się o siebie... Tak, kogoś powinno to obejmować.

II

– Panna Argyle? Tam, przy drugim biurku.

Calgary obserwował ją chwilę.

Schludna, drobna, bardzo spokojna i kompetentna. Miała na sobie ciemnoniebieską sukienkę z białym kołnierzykiem i mankietami. Granatowoczarne włosy upięła starannie na karku. Skórę miała ciemną, ciemniejszą niż u Angielki i drobniejszą budowę. Była Metyską, którą pani Argyle adoptowała.

Spojrzała na niego ciemnymi, nieprzejrzystymi oczami. To były oczy, które nie mówiły nic.

Głos miała niski i sympatyczny.

– W czym mogę pomóc?

– Panna Argyle? Panna Christina Argyle?

– Tak.

– Moje nazwisko Calgary. Może słyszała pani...

– Tak. Słyszałam o panu. Ojciec mi napisał.

– Bardzo chciałbym porozmawiać z panią.

Rzuciła okiem na zegarek.

– Bibliotekę zamykają za pół godziny. Mógłby pan poczekać?

– Oczywiście. Może wypiłaby pani ze mną filiżankę herbaty?

– Dziękuję.

Zwróciła się do mężczyzny, który podszedł za nim.

– Tak? W czym mogę pomóc?

Calgary odszedł. Krążył po bibliotece badając zawartość półek i zwracając cały czas uwagę na Tinę Argyle. Była wciąż taka sama, chłodna, kompetentna, spokojna. Pół godziny mijało powoli, ale w końcu zadzwonił dzwonek i dziewczyna skinęła na niego.

– Spotkamy się na zewnątrz za parę minut.

Nie pozwoliła mu długo czekać. Nie miała kapelusza, tylko ciężki, ciemny płaszcz. Zapytał, dokąd mają pójść.

– Nie znam dobrze Redmyn – wyjaśnił.

– Jest tu herbaciarnia w pobliżu katedry. Nienadzwyczajna, ale dlatego mniej zatłoczona.

Niebawem usiedli przy małym stoliku i chuda, znudzona kelnerka przyjęła ich zamówienie wykazując całkowity brak entuzjazmu.

– Nie będzie to dobra herbata – powiedziała Tina przepraszająco – ale pomyślałam, że może wolałby pan trochę prywatności.

– Właśnie tak. Muszę wyjaśnić powody, dla których odszukałem panią. Widzi pani, spotkałem już innych członków pani rodziny, wliczając w to wdowę po Jacku. Jest pani jedyną osobą z rodziny, której jeszcze nie widziałem. Ach, i nie spotkałem jeszcze pani zamężnej siostry.

– Uważa pan za konieczne spotkać się z nami wszystkimi?

Powiedziała to zupełnie grzecznie, ale w jej głosie zabrzmiała pewna obojętność, powodująca, że poczuł się trochę nieprzyjemnie.

– Trudno to uznać za towarzyski obowiązek – rzekł sucho. – I nie jest to zwykła ciekawość. (Czy tak było naprawdę?) Chciałem osobiście wyrazić wszystkim państwu ubolewanie, że nie zdołałem dowieść niewinności waszego brata podczas procesu.

– Rozumiem...

– Jeśli pani lubiła go... czy tak było?

Zastanawiała się chwilę, potem oświadczyła:

– Nie. Nie lubiłam Jacko.

– A jednak słyszę z wielu stron, że posiadał wielki urok.

– Nie wierzyłam mu i nie lubiłam go – oświadczyła wyraźnie, choć bez gniewu.

– I nie miała pani nigdy wątpliwości, czy to on zabił pani matkę?

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłoby istnieć inne wyjaśnienie.

Kelnerka przyniosła herbatę. Chleb i masło były nieświeże, dżem był dziwną, galaretowatą substancją, ciasto bardzo kolorowe i nieapetyczne. Herbata była słaba.

– Wygląda na to – zauważył popijając ją – że moje informacje, oczyszczające pani brata z zarzutu morderstwa, mogą mieć niezbyt przyjemne reperkusje. Mogą przynieść wszystkim nowe kłopoty.

– Ponieważ sprawa zostanie jeszcze raz otwarta?

– Tak. Słyszała już pani o tym?

– Ojciec uważa, że to nieuniknione.

– Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Dlaczego jest panu przykro?

– Nie mogę znieść myśli, że spowodowałem nowe przykrości.

– Czy byłby pan jednak zadowolony milcząc?

– Myśli pani w kategoriach sprawiedliwości?

– Tak. Więc byłby pan zadowolony?

– Oczywiście nie. Sprawiedliwość jest bardzo ważna. Teraz zaczynam się dziwić, że pewne rzeczy są ważniejsze.

– Jakże?

Jego myśli pobiegły do Hester.

– Może takie jak niewinność.

Jej oczy stały się jeszcze bardziej nieprzeniknione. Milczała chwilę.

– Myślę o słowach z Magna Charta: „Żadnemu człowiekowi nie odmówimy sprawiedliwości”.

– Rozumiem – rzekł. – To jest pani odpowiedź.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Doktor MacMaster był starym człowiekiem z krzaczastymi brwiami, przenikliwymi szarymi oczami i mocno zarysowaną szczęką. Odchylił się w swoim wytartym fotelu i przyjrzał się dokładnie gościowi. Widok go zadowolił.

Calgary również odczuł sympatię.

– To bardzo miło, że zechciał mnie pan przyjąć, doktorze MacMaster.

– Nie całkiem tak – odparł doktor. – Nudzę się śmiertelnie, od kiedy zrezygnowałem z praktyki. Młodzi ludzie mojej własnej profesji kazali mi siedzieć tutaj jak kukle i troszczyć się o moje rozklekotane serce, ale nie przychodzi mi to łatwo. Słucham radia, ple-ple-ple, i czasami mojej gospodyni udaje się namówić mnie na oglądanie telewizji, pstryk, pstryk, pstryk. Byłem zajęty człowiekiem, całe życie na nogach. Nie podoba mi się to ciągle siedzenie. Czytanie męczy moje oczy. Więc niech pan nie przeprasza za zabieranie mi czasu.

– Pierwsza rzecz, którą chcę panu wyjaśnić, to dlaczego wciąż jeszcze zajmuję się tym wszystkim. Logicznie rzecz biorąc, zrobiłem, co do mnie należało: opowiedziałem przykrą historię mego wstrząsu mózgu i utraty pamięci, obroniłem reputację tego chłopca. Po tym wszystkim jedyną rozsądną i logiczną rzeczą byłoby pójść sobie i starać się zapomnieć. Czy nie mam racji?

– To zależy – odparł MacMaster. – Coś pana niepokoi? – zapytał po pewnej przerwie.

– Tak – rzekł Calgary. – Wszystko mnie niepokoi. Widzi pan, moje nowiny nie zostały przyjęte tak, jak się spodziewałem. – No cóż, nie ma w tym nic dziwnego. To zdarza się stale. Przygotowujemy sobie wcześniej w myślach obojętnie co: konsultację z innym lekarzem, propozycję małżeństwa z młodą damą, rozmowę z synem przed jego powrotem do szkoły, a kiedy dochodzi do rozmowy, nigdy nie wygląda to tak, jak sobie wyobrażaliśmy. Wykombinował pan to sobie; wszystkie rzeczy, które zamierza pan powiedzieć, i jak zwykle wybrał pan sobie odpowiedzi. I oczywiście za każdym razem okazuje się to pomyłką. Odpowiedzi nigdy nie są takie, jakich się pan spodziewał. Pewnie to pana denerwuje?

– Tak – odparł Calgary.

– A czego pan oczekiwał? Że będą za panem szaleć?

– Oczekiwałem – zastanowił się chwile – że będą mnie winić? Może. Że będą mieli urazę? Bardzo prawdopodobne. Ale spodziewałem się również wdzięczności. MacMaster chrząknął.

– A tu nie ma wdzięczności i nawet nie ma tyle urazy, na ile pan liczył.

– Coś w tym rodzaju.

– To dlatego, że nie znał pan okoliczności, dopóki nie zjawił się pan tutaj. Właściwie po co przyszedł pan do mnie?

– Chciałem dowiedzieć się więcej o tej rodzinie. Znam tylko potwierdzone fakty. Bardzo dobra i pozbawiona egoizmu kobieta, robiąca wszystko dla swoich adoptowanych dzieci, społecznica, wspaniała postać. Z drugiej strony dziecko sprawiające problemy, które zeszło na złą drogę. Młodociany przestępca. To wszystko, co wiem. Nie wiem nic o samej pani Argyle.

– Ma pan zupełną rację – rzekł MacMaster. – Dotyka pan sedna sprawy. Jeżeli się pan zastanowi, właśnie to stanowi najbardziej interesującą część każdego morderstwa. Jaka była osoba zamordowana. Każdy zajmuje się zwykle badaniem umysłu mordercy. Pan prawdopodobnie sądzi, że pani Argyle była kobietą, która nie powinna stać się ofiarą morderstwa.

– Wyobrażam sobie, że wszyscy byli tego zdania.

– Ze strony etycznej – powiedział MacMaster – ma pan rację. Ale wie pan – potarł nos – czy to nie ten Chińczyk utrzymywał, że dobroczynność jest raczej grzechem niż cnotą? Coś w tym jest. Dobroczynność zajmuje się ludźmi. Nakłada im więzy. Wiemy, jaka jest ludzka natura. Wyświadczasz komuś przysługę i jesteś mu życzliwy. Lubisz go. Ale czy facet, któremu wyświadczyłeś przysługę jest życzliwy tobie? Czy lubi cię? Oczywiście powinien, ale czy tak jest?

– No – powiedział doktor po krótkiej przerwie. – Widzi pan, panią Argyle można by nazwać cudowną matką. Przesadziła jednak z dobroczynnością. Nie ma co do tego wątpliwości. Albo chciała to zrobić. Albo stanowczo próbowała.

– To nie były jej własne dzieci – podkreślił Calgary.

– Nie – zgodził się MacMaster. – I tu zaczynają się kłopoty. Niech pan popatrzy na zwyczajną kotkę. Kiedy urodzi kocięta, broni ich zaciekle, usiłuje drapać każdego, kto się do nich zbliży. A potem, po tygodniu, podejmuje znowu własne życie. Odchodzi, troszkę poluje, odpoczywa od swoich młodych. Wciąż jeszcze broni ich przed czymś atakiem, ale nie jest opętana przez cały czas myślą o nich. Bawi się z nimi, a kiedy stają się niegrzeczne, zwraca się przeciw nim i daje im klapsy, daje też do zrozumienia, że czasem chce być zostawiona w spokoju. Zaczyna wracać do normalnego stanu. Kiedy kociaki rosną, troszczy się o nie coraz mniej i zaczyna się oglądać za przystojnymi kocurami z sąsiedztwa. To jest prawidłowy schemat życia żeńskiej istoty. Widywałem wiele dziewcząt i kobiet o silnym instynkcie macierzyńskim, pragnących małżeństwa, ale głównie dlatego – choć nie zdawały sobie z tego sprawy – że pragnęły mieć dziecko. I dziecko zjawiało się; one były usatysfakcjonowane i szczęśliwe. Życie odyskiwało właściwe proporcje. Zaczynały interesować się swoimi mężami, sprawami sąsiadów, krającymi plotkami i naturalnie swoimi dziećmi. Wszystko to zachowywało odpowiednie proporcje. Instynkt macierzyński był, w czysto fizycznym sensie, zaspokojony.

– Pani Argyle miała bardzo silną potrzebę macierzyństwa, ale fizyczna satysfakcja ciąży nie nadeszła. Jej obsesja macierzyństwa nie rozładowała się. Chciała mieć dzieci, dużo dzieci. Nigdy nie miała ich dosyć. Cała jej psychika, dzień i noc, była nastawiona na dzieci. Mąż przestał się liczyć. Był jedynie sympatycznym, abstrakcyjnym tłem. Wszystkim były dzieci. Ich odżywianie, ubranie, zabawy, wszystko, co łączyło się z nimi. Robiono dla nich o wiele za dużo. Jedyna rzecz, której im nie dała, to odrobina zwykłego, przeciętnego zaniedbania. Nie były wypuszczane do ogrodu, żeby bawić się jak wszystkie normalne dzieci w kraju. Musiały mieć gadżety, sztuczne ściany do wspinania się i różne udogodnienia, dom wśród drzew, nad rzeką małą plażę z przywieszonym piasku. Ich jedzenie nie było zwyczajne. Dzieciaki jadły przecierane jarzyny prawie do piątego roku życia, mleko było sterylizowane, woda sprawdzana, kalorie i witaminy obliczane! Proszę pamiętać, że mówię to jako profesjonalista. Pani Argyle nigdy nie była moją pacjentką. Kiedy potrzebowała lekarza, szła do specjalisty z Harley Street. Nie chodziła zresztą często. Była krzepką i zdrową kobietą.

– Jako miejscowy lekarz byłem wzywany do dzieci, choć ona uważała, że zajmuje się nimi trochę niedbale. Powiedziałem jej, żeby pozwalała im jeść jeżyny prosto z krzaka. Że nie zrobią sobie krzywdy, jeśli przemoczą nogi i będą mieć katar, i że to nic złego, jeśli dziecko ma temperaturę 37,2. Nie trzeba się niepokoić, dopóki nie przekroczy 38 stopni. Te dzieci były rozpieszczane i karmione łyżką; biegano koło nich i kochano je, i to nie było dla nich dobre.

– Chce pan powiedzieć – wtrącił Calgary – że to nie wyszło Jacko na dobre?

– Cóż, nie myślałem tylko o Jacko. Jacko od początku miał pewne skłonności. Współczesne określenie to „zwariowany dzieciak”. Jest równie dobre, jak jakiegokolwiek inne określenie. Państwo Argyle zrobili dla niego co tylko można. Widziałem go wiele razy w życiu. Później, kiedy chłopiec zejdzie na złą drogę, rodzice mówią „gdybyśmy byli dla niego bardziej surowi, kiedy był mały” albo „byłem zbyt srogi, gdybym tylko był łagodniejszy”. Nie sądzę, żeby to zmieniło coś w najmniejszym stopniu. Są tacy, którzy błądzą, ponieważ mieli nieszczęśliwe dzieciństwo i naprawdę czuli się niekochani. Są i tacy, którzy popadają w kłopoty, ponieważ wpływa na nich nawet najmniejszy stres. Zaliczam Jacko do tej drugiej grupy.

– Więc nie był pan zaskoczony, kiedy został aresztowany za morderstwo?

– Szczerze mówiąc, byłem zdziwiony. Nie dlatego, że pomysł morderstwa wydałby się mu odrażający. Był młodym człowiekiem bez sumienia. Zaskoczył mnie jednak rodzaj morderstwa. Och, wiem, że miał gwałtowny charakter. Jako dziecko często rzucał się na któregoś z rodzeństwa, uderzał w głowę kawałkiem drewna czy ciężką zabawką. Było to jednak zwykle dziecko mniejsze od niego, a wściekłość nie była tak ślepa, żeby chciał je zranić lub coś mu odebrać. Jacko mógłby uczestniczyć w

morderstwie, kiedy na przykład po dokonanych przez paru chłopców napadzie przychodzi po nich policja i jeden z nich powiada: „Daj mu w łeb, chłopie. Niech ma za swoje. Zastrzel go”. Pragną morderstwa, są gotowi do niego zachęcać, ale nie mają dość silnych nerwów, by popełnić je własnymi rękami. Tak bym właśnie to określił. Teraz wygląda na to – dodał doktor – że miałem rację.

Calgary zapatrzył się na dywan, wydeptany dywan, z ledwie widocznym wzorem.

– Nie wiedziałem – rzekł – w co się pakuję. Nie uświadamiałem sobie, jakie to będzie miało znaczenie dla innych. Nie wiedziałem, że to może... że to musi...

– Tak – zgodził się doktor. – Tak to wygląda, czyż nie? Jakby wpakował się pan dokładnie w sam środek.

– Właśnie o tym chciałem z panem mówić. Na pierwszy rzut oka nie widać, żeby ktoś z nich miał prawdziwy motyw, by ją zabić.

– Na pozór nie. Jednak jeżeli rozejrzy się pan trochę, och, tak, myślę, że znajdzie się mnóstwo powodów, dla których ktoś pragnąłby ją uśmiercić.

– Dlaczego? – zapytał Calgary.

– Jest pan pewien, że to pańska sprawa?

– Uważam, że tak. Nie mogę nic na to poradzić.

– Może czułbym tak samo na pańskim miejscu... Nie wiem. Powiedziałbym, że żadne z nich nie było sobą. Przynajmniej, jak długo ich matka – nazywam ją tak z przyzwyczajenia – jak długo ich matka żyła. Miała coś, co trzymało ich razem.

– W jaki sposób?

– Zaspokajała ich potrzeby finansowe. I to całkiem nieźle. To był wielki dochód. Był dzielony między dzieci w takim stosunku, jaki powiernicy uważali za właściwy. Ale choć pani Argyle była tylko jednym z nich, jak długo żyła, jej życzenia obowiązywały.

– Jest interesujące, jak wszyscy ci młodzi ludzie próbowali uciec. Jak walczyli, by nie przystosować się do modelu, który dla nich stworzyła. Ponieważ stworzyła taki model, i to dobry. Pragnęła dać im odpowiedni dom, dobre wykształcenie, wysokie kieszonkowe i zapewnić start w wybranych przez siebie zawodach. Chciała traktować ich, jakby byli dziećmi jej i Leo Argyle'a. A oni mieli zupełnie inne skłonności, uczucia, uzdolnienia i pragnienia. Młody Michael pracuje teraz jako sprzedawca samochodów. Hester w pewnym stopniu odeszła z domu i wybrała scenę. Zakochała się w bardzo nieodpowiednim typie i absolutnie nie była dobrą aktorką. Wróciła do domu. Musiała przyznać – a zrobiła to niechętnie – że matka miała rację. Natomiast Mary Durrant poślubiła podczas wojny młodego człowieka, przed którym ostrzegała ją matka. Był dzielnym i inteligentnym młodzieńcem, ale zupełnym głupcem w sprawach interesu. Potem zachorował na polio. Został przywieziony na rekonwalescencję do Sunny Point. Pani Argyle nalegała na nich, żeby zostali tam na zawsze. Mąż był chętny, ale Mary rozpaczliwie sprzeciwiała się. Chciała mieć własny dom i męża dla siebie. Niewątpliwie musiałyby ustąpić, gdyby matka żyła.

– Micky, drugi z chłopców, był zawsze młodym człowiekiem pełnym pretensji. Miał głęboki żal do swojej matki za to, że go porzuciła. Doznał tego jako dziecko i nigdy nie przeboleał. Podejrzewam, że w głębi serca zawsze nienawidził swej przybranej matki.

– Jest tam jeszcze ta szwedzka masażystka. Ona nie była podobna do swojej chlebodawczyni. Miała wiele czułości dla dzieci i lubiła pana Argyle. Zaznała wielu dobrodziejstw od pani Argyle i prawdopodobnie usiłowała okazać wdzięczność, ale to się jej nie udawało. Z trudem mogę sobie wyobrazić, że to uczucie niechęci mogło spowodować, by uderzyła swoją dobrodziejkę pogrzebaczem w głowę. Ostatecznie mogła odejść w każdej chwili. Jeżeli chodzi o pana Argyle...

– Właśnie. Co z nim?

– Chce się ponownie ożenić – powiedział MacMaster.

– I życzę mu szczęścia. Bardzo miła młoda kobieta. Serdeczna, życzliwa, dobra towarzyszką i ogromnie w nim zakochana. Pracowała tam od dawna. Co czuła do pani Argyle? Może pan to odgadnąć równie dobrze jak ja. Naturalnie śmierć pani Argyle uprościła wiele spraw. Leo Argyle nie jest typem człowieka, który uciałby sobie romans z sekretarką, mieszkając z żoną. Ani – jak sądzę – nie porzuciłby żony.

– Widziałem ich oboje – rzekł wolno Calgary. – Rozmawiałem z nimi. Nie mogę uwierzyć, żeby ktoreś z nich...

– Wiem. Nie można w to uwierzyć. A jednak ktoś z domowników to zrobił.

- Naprawdę pan tak myśli?
- Nie wiem, co innego można myśleć. Policja jest całkowicie pewna, że nie mógł to być nikt z zewnątrz i prawdopodobnie ma rację.
- Ale kto z nich? - zapytał Calgary.
- MacMaster wzruszył ramionami.
- Po prostu nie wiadomo.
- Nie ma pan żadnego pomysłu przy całej swojej znajomości tej rodziny?
- Gdybym miał, nie powinienem panu mówić. Ostatecznie do czego musiałbym dojść? Jeżeli nie przegapiłem jakiegoś czynnika, żadne z nich nie wydaje mi się mordercą. A jednak nie potrafię nikogo z nich wyeliminować. Nie - dodał powoli.
- Jestem zdania, że nigdy się nie dowiemy. Policja przeprowadzi śledztwo. Będą robić, co tylko możliwe, ale zdobyć dowody po tak długim czasie... - potrząsnął głową.
- Nie, nie sędzę, żebyśmy kiedykolwiek dowiedzieli się prawdy. Zdarzają się podobne wypadki. Czyta się o nich. Pięćdziesiąt - sto lat temu, sprawy, w których jedna z trzech, czterech czy pięciu osób musiała popełnić zbrodnię, ale brakowało dowodów i nikt nie był w stanie rozwiązać sprawy.
- Myśli pan, że w tym wypadku będzie tak samo?
- Cóż, tak uważam... - znowu rzucił bystre spojrzenie na Calgary'ego. - I właśnie to jest straszne, prawda?
- Okropne - odparł Calgary. - Ze względu na niewinnych. Dokładnie to mi powiedziała.
- Kto? Kto powiedział i co?
- Ta dziewczyna: Hester. Powiedziała, że nie potrafię zrozumieć, iż chodzi o niewinność. To co pan mi mówił. Że nigdy nie dowiemy się...
- ...kto jest niewinny? - dokończył za niego doktor.
- Tak, gdybyśmy tylko mogli poznać prawdę. Nawet jeżeli nie dojdzie do aresztowania, procesu i wyroku. Po prostu wiedzieć. Ponieważ w przeciwnym razie... - przerwał.
- W przeciwnym razie?
- Niech pan sam do tego dojdzie... Nie potrzebuję tego mówić, pan to już zrobił.
- Po chwili ciągnął dalej:
- To przypomina mi sprawę Bravo. Już minęło prawie sto lat, a wciąż piszą o niej książki, wymyślając dobre historie o tym, że zrobiła to żona albo pani Cox, albo doktor Gully, a nawet jakoby Charles Bravo zażył truciznę, wbrew orzeczeniu koronera. Wszystko to są teorie możliwe do przyjęcia, ale nigdy nie poznamy prawdy. I tak Florence Bravo, opuszczona przez rodzinę, zmarła samotnie wskutek pijaństwa, a pani Cox, skazana na ostracyzm z trzema synkami, żyła do późnej starości, będąc w przekonaniu większości ludzi morderczynią. Doktor Gully został zrujnowany zawodowo i towarzysko...
- Ktoś był winny... i udało mu się ujść. Inni byli niewinni i im się nie powiodło.
- To się nie może zdarzyć w tym wypadku - powiedział Calgary. - Nic może!

ROZDZIAŁ ÓSMY

I

Hester Argyle przeglądała się w lustrze. W jej spojrzeniu było niewiele próżności, raczej było to badawcze spojrzenie kogoś, kto nigdy naprawdę nie był pewny siebie. Odgarnęła włosy z czoła, przesunęła je na jeden bok i zmarszczyła brwi, widząc rezultat. Gdy w lustrze za nią pojawiła się twarz, zaskoczona drgnęła i odwróciła się lekliwie.

- Ach - rzekła Kirsten Lindstrom. - Boisz się!
- Co chcesz powiedzieć, Kirsty?
- Boisz się mnie. Pomyślałaś, że podejść cicho z tyłu i być może uderzę cię.
- Och, Kirsty, nie bądź niemądra. Nie mogłabym pomyśleć o czymś takim.
- A jednak pomyślałaś - odparła tamta. - I masz rację, myśląc o tym. Rozglądać się za cieniem, wzdrygać się, kiedy zobaczysz coś, czego nie rozumiesz. Ponieważ w domu jest coś, czego się obawiamy. Teraz już wiemy.
- W każdym razie, kochana Kirsty, nie potrzebuję się bać ciebie.

– Skąd wiesz? Czy nie czytałam niedawno w gazecie o kobiecie, która przez całe lata mieszkała z drugą, a potem pewnego dnia nagle ją zabiła? Uduśliła ją. Próbowała wydrapać jej oczy. Dlaczego? Ponieważ – jak powiedziała grzecznie policji – od pewnego czasu wiedziała, że w tamtej mieszka diabeł. Zobaczyła diabła wyglądającego z jej oczu i zrozumiała, że musi być silna i odważna i zabić diabła.

– Och, pamiętam tę historię. Ta kobieta była szalona.

– Tak, ale nie okazywała tego. I dla otoczenia nie wyglądała na szaloną, ponieważ nikt nie wiedział, co się dzieje w jej biednym, pomyłonym umyśle. I dlatego powiadam ci, że nie wiesz, co się dzieje w moim. Może to ja jestem szalona. Może spojrzalam któregoś dnia na twoją matkę i wydało mi się, że jest antychrystem i że muszę ją zabić.

– Ależ Kirsty, to bzdura! Kompletna bzdura. Kirsten westchnęła i usiadła.

– Tak – przyznała. – To nonsens. Lubiłam bardzo twoją matkę. Była zawsze dobra dla mnie. Próbuję jednak ci powiedzieć i chcę, żebyś to zrozumiała, że nie możesz mówić „bzdura” o nikim i niczym. Nie możesz wierzyć mnie ani nikomu innemu.

Hester odwróciła się i spojrzała na Kirsten.

– Widzę, że naprawdę bierzesz to poważnie.

– Bardzo poważnie. Wszyscy musimy być poważni i musimy doprowadzić do wyjaśnienia sprawy. Nie jest dobrą rzeczą udawać, że nic się nie stało. Ten mężczyzna, który przyszedł tu – chciałabym, żeby to się nie stało, ale to się już zdarzyło – był zupełnie pewny, że Jacko nie zamordował i że musiał to zrobić ktoś z nas.

– Nie, Kirsty. To mógłby być ktoś, kto...

– Kto co?

– No, chciał coś ukraść albo miał urazę do mamy z powodu jakiejś dawnej sprawy.

– I sądzisz, że twoja matka by go wpuściła?

– Mogła to zrobić – odparła Hester. – Wiesz, jaka była. Jeśli ktoś przyszedł z jakąś historyjką o nieszczęściu, opowiedział jej o zaniedbanym czy maltretowanym dziecku. Nie wierzysz, że matka pozwoliłaby takiej osobie wejść, że zabrałaby ją do pokoju i wysłuchała, co ma do powiedzenia?

– Wydaje mi się to bardzo nieprawdopodobne. Przynajmniej aby twoja matka siedziała przy stole i pozwoliła. by ten ktoś podniósł pogrzebac i uderzył ją w tył głowy. Nie, ona była spokojna, ufna i znała tego kogoś, kto był w pokoju.

– Nie chcę, Kirsty – krzyknęła Hester. – Och, nie chcę. Przedstawiasz to tak dokładnie, tak prawdziwie.

– Bo to jest prawdziwe. Nie, nie powiem teraz nic więcej, ale ostrzegłam cię, że nawet jak myślisz, że znasz kogoś dobrze, że możesz mu ufać, nie wolno ci być pewną. Więc miej się na baczności. Miej się na baczności przede mną i przed Mary, przed ojcem i przed Gwendą.

– Jak mogę żyć i podejrzewać każdego?

– Jeżeli chcesz mojej rady, lepiej będzie dla ciebie opuścić ten dom.

– Teraz nie mogę.

– Dlaczego? Z powodu tego młodego doktora?

– Nie wiem, o czym mówisz, Kirsty – policzki Hester zarumieniły się.

– Mam na myśli doktora Craiga. To bardzo miły młody człowiek. Zupełnie dobry lekarz, sympatyczny, sumienny. Mogłaś wybrać gorzej. Ale mimo to sadzę, że byłoby lepiej, gdybyś wyjechała.

– Cała sprawa jest idiotyzmem – krzyknęła Hester ze złością. – Bzdura, bzdura, bzdura. Och, jakbym chciała, żeby doktor Calgary nigdy tu nie przyszedł.

– Tak samo ja – powiedziała Kirsten. – Z całego serca.

II

Leo Argyle podpisał ostatni z listów, które Gwenda Vaughan położyła przed nim.

– To jest ostatni? – spytał.

– Tak.

– Nieźle popracowaliśmy dzisiaj.

Gwenda nakleiła znaczki i ułożyła listy w stos.

– Czy nie przyszła już pora na twoją podróż za granicę? – zapytała.

– Podróż?

Głos pana Argyle zabrzmiał niepewnie.

– Tak. Nie pamiętasz, że miałeś pojechać do Rzymu i Sieny?

– A tak, tak, rzeczywiście.

– Miałeś zobaczyć w archiwum te dokumenty, o których pisał kardynał Massilini.

– Tak, pamiętam.

– Mam zrobić rezerwację na samolot czy wolisz jechać pociągiem?

Leo popatrzył na nią uśmiechając się lekko, jakby się obudził.

– Bardzo starasz się mnie pozbyć, Gwendo.

– Och nie, kochanie, nie.

Podeszła szybko do niego i uklękła obok.

– Nigdy nie chcę, żebyś mnie opuszczał. Ale... ale myślę, że... że byłoby lepiej, gdybyś wyjechał stąd po... po...

– Po ostatnim tygodniu? Po wizycie doktora Calgary?

– Chciałabym, żeby nigdy nie przyszedł tutaj. Chciałabym, żeby wszystko zostało jak dawniej.

– Z Jacko niesłusznie skazanym za coś, czego nie popełnił?

– Mógł to zrobić – powiedziała Gwenda. – Mógł to zrobić w każdej chwili i myślę, że to czysty przypadek, że tego nie zrobił.

– To dziwne – rzekł Leo w zamyśleniu. – Nigdy naprawdę nie wierzyłem, że to zrobił. Oczywiście musiałbym to udowodnić, ale wydawało mi się to nieprawdopodobne.

– Dlaczego? Zawsze miał okropne usposobienie.

– Tak. O tak. Atakował inne dzieci. Zwykle słabsze niż on sam. Nigdy naprawdę nie uważałem, że mógł napaść na Rachel.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ bał się jej – odparł Leo. – Miała wielki autorytet. Jacko czuł to, podobnie jak inni.

– Chyba nie myślisz, że to wła.– nie dlatego... to znaczy...

Leo popatrzył na nią pytająco. Coś w jego spojrzeniu wywołało rumieniec na jej policzkach. Odwróciła się, podeszła do ognia i uklękła przed nim, z rękami w blasku płomieni. Tak – pomyślała – Rachel miała wielki autorytet. Taka zadowolona, taka pewna siebie, królowa pszczół, rządząca nami wszystkimi. Czy to nie dosyć, żeby ktoś zechciał złapać pogrzebacz i uciszyć ją natychmiast i na wieki? Rachel zawsze miała rację, zawsze wiedziała najlepiej, zawsze miała swój sposób na wszystko.

Podniosła się gwałtownie.

– Leo – powiedziała – nie moglibyśmy wziąć ślubu natychmiast, zamiast czekać do marca?

Leo popatrzył na nią. Chwilę panowała cisza.

– Nie, Gwendo, nie sędzę, że to dobry plan.

– Dlaczego nie?

– Uważam, że szkoda wpadać w kabałę.

– Co masz na myśli?

Podeszła do niego. Znowu uklękła przy nim.

– Leo, co ty myślisz? Musisz mi powiedzieć.

– Moja droga, uważam, że nie powinniśmy prosić się o kłopoty.

– Ale weźmiemy ślub w marcu, tak jak było zaplanowane?

– Mam nadzieję, że tak...

– Mówisz tak, jakbyś nic był tego pewien... Leo, czy już ci nie zależy?

– Och, moja kochana – położył ręce na jej ramionach. – Oczywiście, że mi zależy. Jesteś dla mnie wszystkim.

– No więc – rzekła Gwenda niecierpliwie.

– Nie – podniósł się. – Jeszcze nie. Musimy poczekać. Musimy być pewni.

– Pewni czego? Nie odpowiedział.

– Chyba nie myślisz... – zająknęła się.

– Nic nie myślę.

Otworzyły się drzwi i weszła Kirsten z tacą, którą postawiła na biurku,

– Pańska herbata, panie Argyle. Mam przynieść drugą filiżankę dla ciebie, Gwendo, czy zejdziesz do jadalni?

– Przyjdę do jadalni. Wezmę te listy. Powinny zostać wysłane.

Trochę niepewnymi rękami wzięła listy, które Leo podpisał, i wyszła z nimi z pokoju. Kirsten popatrzyła za nią, potem zwróciła się do pana Argyle.

– Co pan jej powiedział? Co ją tak przestraszyło?

– Nic – odparł Leo znużonym głosem. – Zupełnie nic.

Kirsten Lindstrom wzruszyła ramionami. Potem bez słowa wyszła z pokoju. Można było jednak wyczuć jej nie okazywaną, nie wypowiedzianą krytykę. Leo westchnął, odchylił się w fotelu. Poczul się bardzo zmęczony. Nalał sobie herbaty, ale nie pił jej. Zamiast tego siedział w fotelu, zapatrzony niewidzącym spojrzeniem w przeszłość.

Klub towarzyski na East End w Londynie... Tam właśnie spotkał pierwszy raz Rachel Konstam. Pamięć przywołała dokładny jej obraz. Krępa dziewczyna, średniego wzrostu, była ubrana – choć tego wówczas nie umiał ocenić – w bardzo kosztowne stroje, ale nosiła je bez gustu. Okrągłolica dziewczyna, poważna, serdeczna, pełna zapału i naiwności, które mu się podobały. Tak wiele jest do zrobienia, tak wiele warto zrobić! Wyrzucała słowa z zapałem, trochę bezładnie i zapałał do niej ciepłym uczuciem. On sam czuł podobnie, choć z wrodzoną ironią powątpiewał, czy praca warta wykonania przynosi zawsze tak pomyślny rezultat, jak powinna. Rachel jednak nie miała wątpliwości. Jeżeli zrobiłeś to czy owo, jeżeli taka czy inna instytucja została ufundowana, pozytywne wyniki muszą nastąpić automatycznie.

Nigdy nie liczyła się – jak teraz widział – z naturą ludzką. Ludzi postrzegała zawsze jako sprawy, jako problemy do rozwiązania. Nie dostrzegała, że każda istota ludzka jest inna, reaguje odmiennie, ma swoje szczególne idiosynkrazje. Powiedział jej zatem, żeby nie spodziewała się zbyt wiele. Ona jednak zawsze oczekiwała zbyt wiele i odrzucała jego zarzuty. Oczekiwała zbyt wiele, więc zawsze spotykało ją rozczarowanie. Szybko zakochał się w niej i został mile zaskoczony odkrywając, że jest córką bogatych rodziców.

Zaplanowali wspólną drogę na podstawie wzniesłego myślenia, a nie ustalenia prostego sposobu na życie. Teraz widział jasno, co głównie pociągało go w niej. Było to jej ciepłe serce. Tylko że – i to było tragedią – to ciepło jej serca nie było naprawdę przeznaczone dla niego. Była w nim zakochana, to prawda. Ale to, czego pragnęła od niego i od życia, to były dzieci. A dzieci nie przychodziły.

Odwiedzali lekarzy, powszechnie znanych lekarzy i ich podejrzanych kolegów, nawet znachorów i w końcu Rachel została zmuszona do przyjęcia ostatecznego wyroku. Nigdy nie będzie miała własnych dzieci. Współczuł jej, ogromnie współczuł i zgodził się chętnie na jej propozycję zaadoptowania dziecka. Zetknęli się z odpowiednią instytucją, kiedy podczas wizyty w Nowym Jorku ich samochód potracił dziecko wybiegające z domu w jednej z biedniejszych dzielnic.

Rachel wyskoczyła z samochodu i uklękła przy dziecku, które było jedynie potłuczone, nie zranione: piękne dziecko, jasnowłose i niebieskookie. Rachel uparła się, by zabrać je do szpitala i sprawdzić, czy na pewno nie doznało jakiegoś obrażenia. Spotkała się z krewnymi dziewczynki, niechlujną ciotką i jej pijanym mężem. Było jasne, że nie żywią żadnych uczuć do dziecka, które musieli wziąć, kiedy zmarli jego rodzice. Rachel zaproponowała, żeby dziecko zostało u nich parę dni, a kobieta zgodziła się skwapliwie.

– Nie mogłabym zadbać o nią tutaj tak jak należy – powiedziała.

Tak więc Mary została zabrana do ich mieszkania w hotelu. Dziecko wyraźnie było zachwycone miękkim łóżkiem i luksusową łazienką. Rachel kupiła jej nowe ubranie. Potem przyszedł moment, w którym Mary oznajmiła:

– Nie chcę iść do domu. Chcę tu zostać z wami. Rachel popatrzyła na niego z tęsknotą. Jak tylko zostali sami, powiedziała:

– Zatrzymajmy ją. To da się załatwić bez trudu. Adoptujemy ją. Będzie naszym własnym dzieckiem. Ta kobieta będzie zadowolona mogąc się jej pozbyć.

Zgodził się dosyć łatwo. Dziewczynka wyglądała na spokojną, grzeczną, posłuszną. Najwyraźniej nie miała uczuć dla ciotki i wuja, u których mieszkała. Jeżeli to miało uszczęśliwić Rachel, to dobrze. Skonsultowali się z prawnikami,

podpisano papiery i odtąd Mary O'Shaughnessy stała się Mary Argyle i popłynęła z nimi do Europy. Sądził, że wreszcie biedna Rachel będzie szczęśliwa. I była. Szczęśliwa w podniecony, gorączkowy wręcz sposób, kochająca Mary do szaleństwa, kupująca jej kosztowne zabawki. Mary przyjmowała to spokojnie i miło. A jednak – pomyślał Leo – było w tej sytuacji coś, co go zawsze trochę niepokoiło. Łatwe przystosowanie dziecka. Brak jakiegokolwiek tęsknoty za domem i rodziną. Prawdziwe uczucie – miał nadzieję – powinno przyjść później. Na razie nie widział żadnych objawów. Przyjmowanie wszelkiego dobra, zadowolenie, radość z zaspokojenia potrzeb. Ale miłość do nowej matki? Nie, tego nie dostrzegał.

Po jakimś czasie Leo stwierdził, że jakoś zszedł w życiu Rachel na dalszy plan. Była z natury matką, nie żoną. Teraz, kiedy zdobyła Mary, jej instynkt macierzyński został nie tyle zaspokojony, co pobudzony. Jedno dziecko już nie wystarczało.

Wszystkie jej przedsięwzięcia były teraz związane z dziećmi, interesowała się sierocińcami, fundacjami dla kalekich dzieci, dziećmi opóźnionymi w rozwoju, z porażeniem spastycznym, ze schorzeniami ortopedycznymi – zawsze dziećmi. To było godne podziwu. Czuł, że było godne podziwu, ale stało się to istotą jej życia. Powoli zaczął oddawać się własnej działalności, zagłębiać się w historyczne tło ekonomii, którą się zawsze interesował. Wycofywał się coraz częściej do swojej biblioteki. Zajął się badaniami, pisaniem krótkich monografii. Jego żona, zajęta, poważna, szczęśliwa, prowadziła dom i rozszerzała swoją działalność. On był grzeczny i uległy. Zachęcał ją. „Bardzo dobry pomysł, moja droga”. „Tak, na pewno zacząłbym to”. Czasami wtracał słowo ostrzeżenia. „Myślę, że powinnaś sprawdzić sytuację bardzo starannie, zanim zaangażujesz się w to. Nie musisz tracić głowy”.

Ona nadal radziła się go, ale czasem miało to charakter formalny. Powoli stawała się coraz bardziej autorytarna. Wiedziała, co było słuszne, wiedziała, co było najlepsze. Uprzejmie powstrzymywał swoją krytykę i przestrogi.

Pomyślał, że Rachel nie potrzebuje jego pomocy ani jego miłości. Była zajęta, szczęśliwa, przerażająco energiczna.

Poza poczuciem krzywdy nie mógł się oprzeć dziwnemu jakby współczuciu dla niej. Jakby wiedział, że obrona przez nią ścieżka mogła być niebezpieczna.

Po wybuchu wojny w 1939 roku działalność pani Argyle natychmiast podwoiła się. Wpadła na myśl założenia wojennego domu opieki dla dzieci z londyńskich slumsów i weszła w kontakt z wpływowymi osobistościami. Minister zdrowia okazał się chętny do współpracy, a ona znalazła odpowiedni dom. Świeżo wybudowany, nowoczesny budynek w odległej części Anglii, prawdopodobnie nie narażonej na bomby. Mogła tam pomieścić osiemnaścioro dzieci od dwóch do siedmiu lat. Dzieci pochodziły nie tylko z ubogich domów, ale również z nieodpowiednich rodzin. Były sierotami lub nieślubnymi dziećmi, których matki nie zamierzały dać się ewakuować i były znudzone opieką nad potomstwem. Pochodziły też z domów, w których bito je i zaniedbywano. Troje czy czworo z nich było kalekami. Dla leczenia ortopedycznego zaangażowała oprócz służby szwedzką masażystkę i dwie wykwalifikowane szpitalne pielęgniarki. Cały dom był nie tylko wygodny, ale nawet luksusowy. Raz jeden zaprotestował.

– Nie możesz zapominać, Rachel, że te dzieci będą musiały wrócić do warunków, z których je wzięliśmy. Nie powinnaś im tego utrudniać.

– Nic nie jest za dobre dla tych biednych maleństw. Nic!

– Tak, ale one będą musiały wrócić, pamiętaj – upierał się.

Machnęła ręką.

– To nie musi być konieczne. Może... zobaczymy jeszcze w przyszłości. Wojna wkrótce przyniosła zmiany. Pielęgniarki szpitalne, niespokojne, że zajmują się zupełnie zdrowymi dziećmi, kiedy ich praca potrzebna jest gdzie indziej, zmieniały się często. W końcu została tylko Kirsten Lindstrom i jedna starsza siostra. Brakowało też służby i Kirsten stała się ratunkiem również pod tym względem. Pracowała z wielkim poświęceniem i bezinteresownością.

A Rachel była zapracowana i szczęśliwa. Od czasu do czasu zdarzały się jednak momenty kłopotliwe. Ten dzień, kiedy Rachel zaskoczyło zachowanie małego chłopca, Micky'ego, który tracił na wadze i nie miał apetytu. Wezwany doktor nie znalazł nic złego, ale zasugerował pani Argyle, że chłopiec może tęsknić za domem. Odrzuciła ten pomysł.

– To niemożliwe! Nie wie pan, z jakiego domu on pochodzi. Był bity, zaniedbywany. To musiało być dla niego piekło.

– Mimo wszystko – odparł doktor MacMaster – nie byłbym zaskoczony. To była jego matka. Trzeba pozwolić mu mówić.

I pewnego dnia Micky zaczął mówić. Szlochając w łóżku, krzyczał odpychając Rachel piąstkami.

– Ja chcę do domu. Chcę do domu, do naszej mamusi i do naszego Ernien.

Rachel była zdenerwowana i nie wierzyła własnym uszom.

– On nie może chcieć powrotu do matki. Nie obchodził jej ani trochę. Tłukła go, jak tylko była pijana.

A on odpowiedział łagodnie:

– Występujesz przeciwko naturze, Rachel. Ona jest jego matką i chłopiec ją kocha.

– Nie była żadną matką!

– To jej krew. On to czuje. Nic nie możesz zmienić.

– Teraz powinien widzieć we mnie swoją matkę.

Biedna Rachel – pomyślał Leo. Biedna Rachel, która potrafiła kupić tak wiele rzeczy... Nie dla siebie, dla niechcianych dzieci, którym pragnęła dać miłość, opiekę, dom. Wszystko to umiała kupić, oprócz ich miłości do siebie.

Potem wojna się skończyła. Dzieci zaczęły wracać do Londynu na żądanie rodziców albo krewnych. Jednak nie wszystkie. Kilko z nich pozostało i właśnie wtedy Rachel zdecydowała.

– Wiesz, Leo, one są teraz jak nasze własne dzieci. To jest moment, w którym możemy stworzyć prawdziwą własną rodzinę. Czwooro – pięcioro tych dzieci zostanie z nami. Adoptujemy je, zabezpieczymy i staną się naprawdę naszymi dziećmi.

Czuł jakąś mglistą niepewność, której nie rozumiał. Nie miał nic przeciwko tym dzieciom, ale wyczuwał instynktownie fałsz. Mylne założenie, że można łatwo stworzyć sobie własną rodzinę sztucznymi środkami.

– Nie sądzisz – zapytał – że to trochę ryzykowne?

– Ryzykowne? I co z tego? Warto to zrobić.

Tak, przypuszczał, że warto było to zrobić, ale nie był równie pewny jak ona. Do tego czasu odszedł daleko, w jakiś własny, chłodny, mglisty kraj, więc nie sprzeciwiał się. Powiedział, jak to mówił wiele razy:

– Zrobisz, jak zechcesz, Rachel.

Była przepełniona triumfem, szczęściem, robiła plany, radziła się prawników, załatwiając sprawy w zwykły, rzeczowy sposób. I tak zdobyła rodzinę. Mary, najstarsza córka, przywieziona z Nowego Jorku; Micky, chłopiec, który płał przez wiele nocy, dopóki sen go nie zmorzył, tęskniąc do mieszkania w ruderze i do swojej zaniedbanej, niedobrej matki; Tina, ciemna, pełna wdzięku Metyska, córka prostytutki i hinduskiego marynarza; Hester, której młoda irlandzka matka urodziwszy nieślubne dziecko chciała zacząć życie od nowa. I Jacko, miły chłopiec o twarzy małpki, którego błazeństwa zmuszały wszystkich do śmiechu, umiejący zawsze wykręcić się od kary i wyczarować trochę dodatkowych słodczy nawet od wzbudzającej posłuch panny Lindstrom. Jacko, którego ojciec odsiadywał wyrok w więzieniu, a matka odeszła z jakimś innym mężczyzną.

Tak, to było warte zachodu: wziąć te dzieci, dać im dom, miłość, ojca i matkę. Rachel miała prawo triumfować. Tylko że to nie wyszło całkiem tak, jak przypuszczała... Ponieważ te dzieci nie były tymi, które on i Rachel mieliby razem. Nie płynęła w nich ani krew pracowitych, uczciwych przodków Rachel, ani nie było w nich pędu i ambicji, dzięki którym mniej szacowni członkowie jej rodziny zdobywali bezpieczne miejsce w społeczeństwie, ani zapamiętanej dobrotliwości i prawości jego własnego ojca, dziadka i babki, ani intelektualnej błyskotliwości dziadków z drugiej strony.

Co tylko można było dla nich zrobić, zostało zrobione. Można było zrobić bardzo wiele, ale nie wszystko. Istniało ziarno słabości, które przynieśli z sobą do domu opieki, i to ziarno pod wpływem nacisku mogło zaowocować.

Najpełniejszy przykład stanowił Jacko. Jacko, uroczy, zwinnie Jacko, z wesołymi psikusami, umiejący owinać każdego wokół palca, był z natury typem przestępczym. Ujawniło się to bardzo wcześnie w dziecięcych kradzieżach, w kłamstwach; wszystko kładziono na karb jego pierwotnego złego wychowania. Rachel uważała, że to można naprawić. To się nigdy nie udało.

W szkole uczył się źle. Wyrzucono go z uniwersytetu i od tego czasu zaczęła się seria bolesnych incydentów, po których wraz z Rachel robili co się dało, próbowali zapewnić chłopca o swojej miłości i zaufaniu, próbowali znaleźć mu pracę, która by mu odpowiadała, w której mógłby osiągnąć sukces, gdyby się postarał. Może – pomyślał Leo – byli dla niego zbyt łagodni. Ale nie. Czy się było łagodnym, czy ostrym, w przypadku Jacko koniec był zawsze taki sam. Musiał mieć to, czego żądał. – Jeśli nie załatwił tego legalnymi środkami, sięgał po wszelkie inne. Nie był dość sprytny, by odnieść sukces w przestępstwie, nawet w drobnych wykroczeniach. I w końcu, ostatniego dnia, przybył załamany, zagrożony więzieniem, gniewnie żądając pieniędzy i grożąc. Odszedł krzycząc, że wróci i żeby lepiej przygotowała mu pieniądze – bo!...

I stało się – Rachel nie żyła. Jak odległa wydawała mu się przeszłość. Wszystkie te lata wojny, z rosnącymi dziećmi. A on sam? Także daleki, bezbarwny. Było tak, jakby cała energia i chęć życia została pożarta przez Rachel, a on został słaby i zmęczony, potrzebujący – och, jak bardzo – ciepła i miłości.

Nawet teraz nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy uświadomił sobie, jak blisko niego są te rzeczy. Tuż pod ręką... Nie oferowane mu, ale istniały. `

Gwenda... Znakomita sekretarka, pracująca dla niego, zawsze chętna i życzliwa. Było w niej coś, co przypominało mu Rachel z okresu, kiedy się poznali. To samo ciepło, entuzjazm, ta sama serdeczność. Tylko że w przypadku Gwendy to ciepło, entuzjazm i serdeczność były przeznaczone dla niego. Nie dla hipotetycznych dzieci, które pewnego dnia mogły się zjawić, tylko dla niego. To było jak ogrzanie rąk przy ogniu... Rąk, które były zimne i zeszywniałe w bezruchu. Kiedy przekonał się pierwszy raz, że zależy jej na nim? Trudno powiedzieć. Nie było to nagłe objawienie.

Pewnego dnia zrozumiał, że ją kocha.

I że jak długo Rachel żyje, nigdy się nie pobiorą.

Leo westchnął, wyprostował się i wypił swoją lodowatą herbatę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zaledwie dziesięć minut po wyjściu Calgary'ego u doktora MacMastera zjawił się drugi gość. Tym razem był to gość dobrze znany i został powitany serdecznie.

– Ach, Don, miło cię zobaczyć. Wejdz i opowiedz, co ci leży na sercu. Widzę, że coś cię martwi. Zawsze wtedy marszczysz czoło w taki szczególny sposób.

Doktor Donald Craig uśmiechnął się ponuro. Był to przystojny, poważny młody człowiek, traktujący siebie i swoją pracę bardzo serio. Stary doktor bardzo lubił swego młodego następcę, choć bywały chwile, kiedy pragnął, by Donald Craig miał większe poczucie humoru.

Craig odmówił zaproponowanego mu drinka i przystąpił do rzeczy.

– Jestem bardzo niespokojny. Mac.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o brak witamin – rzekł MacMaster. Z jego punktu widzenia brak witamin był dobrym kawałem. To wzięło się od pewnego weterynarza, który wykazał młodemu Craigowi, że kot należący do leczonego przez niego dziecka cierpi na zaawansowaną grzybicę.

– To nie ma nic wspólnego z pacjentami. Chodzi o moje prywatne sprawy.

Wyraz twarzy MacMastera zmienił się natychmiast.

– Przykro mi, mój chłopcze. Bardzo mi przykro. Masz złe wiadomości?

Młody człowiek potrząsnął głową.

– Nie o to chodzi. To... słuchaj, Mac, muszę pomówić z kimś o tym, a ty ich znasz, mieszkasz tu od lat, wiesz o nich wszystko. A ja muszę wiedzieć również. Muszę wiedzieć, na czym stoję, na co natrafiłem.

Krzaczaste brwi doktora uniosły się wolno.

– Posłuchajmy o kłopotcie.

– Chodzi o Argyle'ów. Wiesz – przypuszczam, iż wszyscy wiedzą – że Hester Argyle i ja...

Stary doktor przytaknął.

– Mała umowa – powiedział z aprobatą – takiego staroświeckiego terminu używano kiedyś i był bardzo stosowny.

– Jestem w niej strasznie zakochany – rzekł Donald po prostu. – I sędzę... och, jestem pewny... że ona też. A teraz zdarzyło się to wszystko.

Błysk zrozumienia przemknął przez twarz MacMastera.

– A tak! Ułaskawienie Jacka Argyle. Ułaskawienie, które przyszło za późno dla niego.

– Tak. To sprawia, że czuję – wiem, że to bardzo źle, ale nie mogę na to nic poradzić – że byłoby lepiej, gdyby... gdyby ten nowy dowód nigdy nie wyszedł na jaw.

– Nie jesteś jedynym, który to tak widzi. To samo – o ile się orientuję – myśli komisarz policji, rodzina Argyle'ów, aż do faceta, który wróciwszy z Antarktydy dostarczył tego dowodu, włącznie.

Dodał:

– On był tu dziś po południu.

Donald Craig wydawał się zaskoczony.

– Naprawdę? Powiedział coś?

– A co miałby powiedzieć?

– Czy ma jakiś pomysł, kto...

Doktor powoli potrząsała głową.

– Nie. Nie ma pojęcia. Skąd mógłby wiedzieć spadając tu z nieba i widząc ich wszystkich pierwszy raz? Wychodził na to – ciągnął – że nikt nie ma pojęcia.

– Nie. Przypuszczam, że nikt.

– Co cię tak bardzo niepokoi, Don?

Donald nabrał głęboko tchu.

– Tego wieczoru, kiedy był tam ten Calgary, zadzwoniła do mnie Hester. Po godzinach przyjęć mieliśmy pojechać do Drymouth na odczyt na temat zbrodniczych postaci u Szekspira.

– Bardzo stosowny temat – wtrącił MacMaster.

– I wtedy właśnie zadzwoniła. Powiedziała, że nie przyjdzie. Że otrzymali bardzo niepokojące wiadomości.

– Ach. Wiadomości od doktora Calgary.

– Tak. Chociaż nie wspomniała wtedy jego nazwiska. Była bardzo zdenerwowana. To brzmiało... nawet nie potrafię ci wyjaśnić jak.

– Irlandzka krew – skomentował stary doktor.

– Była jednocześnie zraniona i przestraszona. Och, nie umiem tego wyjaśnić.

– A czego się spodziewałeś? Ona nie ma jeszcze dwudziestu lat.

– Ale dlaczego była taka zdenerwowana? Mówię ci.

Mac, ona panicznie boi się czegoś.

– Hm, sędzę, że to możliwe.

– Myślisz... co właściwie myślisz?

– Bardziej sensowne będzie zapytać, co myślisz ty. Młody człowiek powiedział z goryczą:

– Gdybym nie był lekarzem, takie rzeczy pewnie nie przyszłyby mi do głowy. Byłaby moją dziewczyną, a moja dziewczyna nie potrafi zrobić nic złego. Ale w tej sytuacji...

– Mów dalej. Lepiej będzie, jak to zrzucisz z serca.

– Widzisz, wiem coś, co się dzieje w umyśle Hester. Ona... ona jest ofiarą uczucia zagrożenia w dzieciństwie.

– Rozumiem. Tak to się dzisiaj określa.

– Nie miała czasu, aby się właściwie zintegrować. W czasie, kiedy popełniono morderstwo, cierpiała z powodu zupełnie normalnego uczucia niedojrzałej, młodej kobiety, urażenia autorytetu, i próbowała uciec przed nadmierną miłością, która spowodowała tak wiele zła. Pragnęła zbuntować się, odejść. Opowiedziała mi to wszystko sama. Uciekła i przyłączyła się do czwartorzędnej objazdowej trupy teatralnej. W tych okolicznościach matka zachowała się rozsądnie. Zaproponowała Hester, żeby pojechała do Londynu, zapisała się do Królewskiej Akademii Dramatycznej i studiowała aktorstwo, jeśli ma na to ochotę. Ale to nie było to, o co chodziło Hester. To odejście na scenę było tylko gestem. Nie chciała się uczyć, żeby występować w teatrze i traktować ten zawód poważnie. Chciała tylko pokazać, że potrafi radzić sobie sama. W każdym razie Argyle'owie nie usiłowali jej zmuszać. Dali jej bardzo przyzwoitą pensję.

– Co było z ich strony bardzo mądre.

– Potem wdała się w głupi romans z członkiem tego zespołu, mężczyzną w średnim wieku. W końcu sama stwierdziła, że to dla niej nie jest dobre. Pani Argyle przyjechała i poradziła sobie z nim, a Hester wróciła do domu.

– Dostała nauczki, jak mówiono w moich czasach. Oczywiście nikt tego nie lubi. Hester to się nie spodobało.

Donald Craig ciągnął zatroskany:

– Jest wciąż pełna tłumionej urazy, co gorsza, przyznaje, wprawdzie nie otwarcie, że matka miała absolutną rację: nie była dobrą aktorką, a mężczyzną, którego obdarzyła uczuciem, nie zasługiwał na nie. I to, że naprawdę nigdy jej na nim nie zależało. ..Matka wie lepiej”. To zawsze tak irytuje młodych.

– Tak – odparł MacMaster. – To, że nigdy o tym nie myślała, to był błąd biednej pani Argyle. Fakt, że ona prawie zawsze miała rację że wiedziała najlepiej. Gdyby była jedną z kobiet, które zaciągają długie, gubią klucze. spóźniają się na pociągi i robią różne głupstwa, wskutek których inni ludzie muszą im pomagać, cała rodzina byłaby dla niej znacznie miłsza. Smutne i okrutne, ale takie jest życie. Nie była dość sprytną kobietą, żeby osiągnąć swój cel przebiegłością. Była zadowolona z siebie. Uradowana własną siłą i rozumem i absolutnie pewna siebie. To bardzo trudna rzecz do zniesienia, kiedy jesteś młody.

– Wiem – rzekł Donald. – Zdaję sobie z tego sprawę. Właśnie z tego powodu wiem, co czuje... i zastanawiam się... – przerwał.

– Lepiej powiedz to, Don. Boisz się, że to twoja Hester usłyszała kłótnie między matką a Jacko i ta kłótnia musiała doprowadzić ją – będącą w stanie buntu przeciw autorytetom, zarozumiałości matki i jej wszechwiedzy – do tego, że weszła do pokoju, wzięła pogrzebacz i zabiła ją. Tak?

Młody człowiek żałośnie pokiwał głową.

– Tak naprawdę, to nie wierzę w to, ale... ale czuję... czuję, że to mogło się zdarzyć. Nie wierzę, żeby Hester miała zachwianą równowagę, uważam, że jest niedojrzała jak na swój wiek, niepewna siebie, podatna na zaburzenia psychiczne. Patrzyłem na domowników i nie widzę wśród nich nikogo, kto byłby zdolny do takiego czynu, aż dochodzę do Hester. I wtedy... wtedy nie jestem pewny.

– Rozumiem – powiedział MacMaster. – Tak, rozumiem.

– Nie winie jej naprawdę – wtrącił szybko Donald.

– Nie sądzę, żeby biedne dziecko wiedziało naprawdę, co robi. Nie nazwałbym tego morderstwem. To był tylko akt emocjonalnej przekory, buntu, tęsknoty za wolnością, przekonanie, że nigdy nie będzie wolna, dopóki nie usunie matki.

– To ostatnie jest prawdopodobnie dosyć prawdziwe – rzekł MacMaster. – Jest to tylko rodzaj motywu, i to raczej osobliwy. W oczach prawa wygląda słabo. Pragnienie wolności. Uwolnienie się od wpływu silniejszej osobowości. Ponieważ żadne z nich nie dziedziczy po śmierci pani Argyle dużej sumy pieniędzy, prawo nie zechce uznać tego za motyw. Jednak nawet finansowa kontrola była głównie w rękach pani Argyle dzięki jej wpływowi na fundusz powierniczy. O tak, jej śmierć mogłaby być wyzwoleniem dla wszystkich. Nie tylko dla Hester, chłopcze. Pozwoliłaby Leo poślubić inną kobietę. Umożliwiłaby Mary zajmować się mężem w sposób, jaki jej odpowiada, a Micky’emu żyć własnym życiem i nie troszczyć się za co. Nawet ta mała, tajemnicza Tina, siedząca w bibliotece, może pragnąć wolności.

– Musiałem przyjść porozmawiać z tobą. Musiałem dowiedzieć się, co myślisz, czy uważasz, że... że to może być prawda?

– O Hester?

– Tak.

– Sądzę, że to możliwe. Nie wiem, czy tak jest.

– Uważasz, że mogło się tak zdarzyć, jak mówię?

– Tak. To, co sobie wyobraziłeś, nie jest naciągane i ma elementy prawdopodobieństwa. Ale to nie oznacza pewności, Doonaldzie.

Młody człowiek wstrząsnął się.

– To musi być pewne, Mac. To jedyna rzecz, którą uważam za konieczną. Muszę wiedzieć. Zajmę się nią.

– Dobrze, że nadinspektor Huish nie może cię usłyszeć – zauważył sucho MacMaster.

– Jestem z reguły prawomyślnym obywatelem, ale wiesz dobrze, sam, jak oni traktują zeznanie psychiatry w sądzie. W moim przekonaniu był to nieszczęśliwy wypadek, a nie morderstwo z premedytacją, a nawet nie zabójstwo.

– Jesteś w niej zakochany.

– Pamiętaj, że mówię ci to wszystko poufnie.

– Wiem.

– Wszystko co mówię, to że jeśli Hester się przyzna i będę już wiedział, będziemy żyli razem. Ale musi mi powiedzieć. Nie chcę iść przez życie nie wiedząc.

– Masz na myśli, że nie chcesz iść przez życie w cieniu rzucanym przez tę sprawę?

– A ty chciałbyś na moim miejscu?

– Nie wiem. W swoim czasie, gdyby zdarzyło się to mnie i kochałbym dziewczynę, prawdopodobnie przyjąłbym, że jest niewinna.

– To nie jest tak bardzo sprawa winy czy niewinności, jak tego, że muszę wiedzieć.

– A gdyby zabiła matkę, jesteś przygotowany na to, by poślubić ją i żyć przez długie lata szczęśliwie, jak się to mówi?

– Tak.

– Nie wierz w to! – powiedział MacMaster. – Będziesz się zastanawiał, czy gorzki smak twojej kawy pochodzi tylko od kawy, i myślał, że pogrzebacz przy palenisku jest trochę za ciężki. A ona będzie wiedziała, o czym myślisz. To się nie uda...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Jestem pewny, panie Marshall, że zdaje pan sobie, sprawę z powodów zaproszenia pana na tę konferencję.

– Oczywiście – odparł pan Marshall. – Gdyby pan nie zaproponował tego, sam zasugerowałbym przyjście. Zawiadomienie było we wszystkich gazetach porannych i nie ma wątpliwości, że spowoduje to wzrost zainteresowania tą sprawą ze strony prasy.

– Mieliśmy już kilka telefonów z prośbą o wywiad – wtrąciła Mary Durrant.

– Właśnie, tylko tego można było oczekiwać. Radziłbym państwu powstrzymać się od wszelkich komentarzy. Naturalnie jesteście szczęśliwi i wdzięczni, ale wolicie nie dyskutować na temat sprawy.

– Nadinspektor Huish, który w owym czasie zajmował się sprawą, pytał, czy może przyjść jutro rano i przeprowadzić z nami rozmowę – rzekł Leo.

– Tak. Obawiam się, że ponowne otwarcie sprawy spowoduje różne rozmowy, choć naprawdę nie sędzę, żeby policja miała wiele nadziei na uzyskanie jakiegoś istotnego rezultatu. Ostatecznie minęły dwa lata i wszystko, co ludzie mogli pamiętać w tym czasie – myślę o ludziach z wioski – zostało już zapomniane. Szkoda, ale nie można na to nic poradzić.

– Cała sprawa wydaje się zupełnie jasna – powiedziała Mary Durrant. – Dom był zabezpieczony przed włamaniem, ale każdy mógł zwrócić się do matki z jakąś specjalną sprawą albo udawać przyjaciela jej przyjaciół i nie wątpię, że taka osoba zostałaby wpuszczona do domu. Tak, uważam, że zdarzyło się właśnie coś takiego. Ojcu wydawało się, że usłyszał dźwięk dzwonka tuż po siódmej. Marshall zwrócił się pytająco do pana Argyle. – Myślę, że mogę tak powiedzieć – rzekł Leo. – Oczywiście teraz nie pamiętam tego dokładnie, ale w tym czasie miałem wrażenie, że słyszałem dzwonek. Byłem gotów zejść, kiedy usłyszałem otwarcie i zamknięcie drzwi. Nie było słyhać głosów, nie miałem też wrażenia, że ktoś usiłuje wejść siłą albo zachowuje się niestosownie. To bym zapewne usłyszał.

– Tak jest, tak jest – zgodził się pan Marshall. – Tak, sędzę, że właśnie tak się musiało zdarzyć. Niestety, wiemy zbyt dobrze, że wielu podejrzanych uzyskuje wstęp do domu dzięki bajkom o nędzy i kradnie pieniądze. Tak, myślę, że musimy się zgodzić na takie właśnie wyjaśnienie. Mówił trochę zanadto przekonująco. Równocześnie rozglądał się uważnie po zgromadzonych i nadawał każdemu z nich etykietkę w swoim skrupulatnym umyśle. Mary Durrant, przystojna, pozbawiona wyobraźni, spokojna, nawet trochę nieobecna, wyraźnie pewna siebie. Za nią, w swoim fotelu na kółkach, jej mąż. Inteligentny facet ten Philip Durrant –

pomyślał sobie Marshall. Człowiek, który mógł dokonać wiele i zejść daleko, ale nie dokonał tego z powodu swoich nietrafnych decyzji w sprawach interesów. Marshall zauważył, że nie przyjmuje wszystkiego tak chłodno jak jego żona. Zauważył, lepiej niż ktokolwiek, implikacje całej sprawy. Oczywiście Mary Durrant nie musiała wcale być taka chłodna, jak się to wydawało. Zarówno jako dziewczyna, jak i będąc kobietą umiała ukrywać uczucia.

Ponieważ Philip Durrant poruszył się w fotelu, a jego inteligentne oczy patrzyły na prawnika z lekką kpina, Mary Durrant odwróciła się gwałtownie. Pełne uwielbienia spojrzenie, jakie rzuciła mężowi, zaskoczyło prawnika. Wiedział oczywiście, że Mary była oddaną żoną, ale dotychczas uważał ją za chłodną, beznamiętne stworzenie, pozbawione silnych uczuć, był więc zdziwiony nagłym odkryciem. Zatem takie były jej uczucia dla tego faceta? Co do Philipa Durranta był niepewny. Obawia się przyszłości – pomyślał Marshall. Równie dobrze mógł to być on.

Naprzeciw Marshalla siedział Micky. Młody, przystojny, zgorzkniały. Dlaczego jest taki zgorzkniały? – pomyślał prawnik. Przecież zrobiono dla niego wszystko. Dlaczego ma spojrzenie człowieka, który jest stale przeciw całemu światu? Obok niego siedziała Tina, wyglądająca jak elegancki, czarny kot. Bardzo ciemna, o miękim głosie, wielkich, czarnych oczach i wężowych, wdzięcznych ruchach. Spokojna, ale może za tym spokojem kryły się emocje? Zajmowała się pracą zaproponowaną jej przez panią Argyle, jako bibliotekarka w bibliotece hrabstwa. Miała mieszkanie w Redmyn, a na weekendy przyjeżdżała do domu. Najwyraźniej potulny i zadowolony członek rodziny. Ale kto wie? W każdym razie była poza domem albo powinna być. Nie było jej tutaj tego wieczora. Choć przecież Redmyn było odległe tylko o dwadzieścia pięć mil. Dotychczas Tina i Micky byli wykluczeni.

Marshall rzucił szybkie spojrzenie na Kirsten Lindstrom, obserwującą go wojowniczo. Przypuśćmy, że to ona wpadła w szal i zaatakowała swoją pracodawczynię. To by go wcale nie zdziwiło. Kiedy od lat jest się prawnikiem, nic nie może człowieka zdziwić. Zamknięta w sobie stara panna. Zawistna, zazdrosna, mająca prawdziwe lub urojone urazy pielęgniarki. Och, tak, mówiono o tym. I jak bardzo wygodna byłaby – pomyślał pan Marshall dosyć niestosownie. Tak, bardzo wygodna. Cudzoziemka. Nie należy do rodziny. Ale czy Kirsten Lindstrom mogłaby rozmyślnie zrobić Jacko, czy usłyszała kłótnię i wykorzystała ją? Trudno było w to uwierzyć, ponieważ Kirsten uwielbiała Jacko. Zawsze była oddana wszystkim dzieciom. Nie, nie mógł w to uwierzyć. Szkoda, ponieważ... naprawdę nie powinien pozwolić myślom iść po tej linii.

Jego spojrzenie przeniosło się na Leo Argyle'a i Gwendę Vaughan. Ich zaręczyny nie zostały ogłoszone, i dobrze. Mądra decyzja. Robiono na ten temat wiele aluzji. Oczywiście lokalnie sprawa była ogólnie znana i bez wątpienia policja wiedziała o tym. Z punktu widzenia policji było to właściwe wyjście z sytuacji. Niezliczone precedensy. Żona, mąż i inna kobieta. Tylko że – tak czy inaczej – Marshall nie wierzył, jakoby Leo Argyle zatłukł swoją żonę. Nie, naprawdę nie potrafił w to uwierzyć. Ostatecznie znał Leo Argyle'a od wielu lat i miał o nim najlepszą opinię. Intelktualista. Człowiek o ciepłych uczuciach, nałogowy czytelnik, mający spojrzenie na świat filozofa, pełne rezerwy. To nie był człowiek, który morduje żonę pogrzebaczem. Oczywiście, kiedy człowiek w pewnym wieku zakocha się... ale nie! To są głupstwa z gazet. Przyjemnie czyta się takie historyjki w niedzielę wszędzie na Wyspach Brytyjskich. Ale doprawdy nie można sobie wyobrazić, że Leo...

A co z kobietą? Nie wiedział wiele o Gwendzie. Zauważył pełne wargi i dojrzałą figurę. Była zakochana w Leo. Prawdopodobnie od długiego czasu. Był ciekaw, co z rozwodem. Co by czuła pani Argyle na myśl o rozwodzie? Naprawdę nie miał pojęcia, ale nie sądził, żeby ta myśl odpowiadała panu Argyle, który był starszo wiekiem typem. Nie sądził, że Gwenda była jego kochanką, co czyniłoby bardziej prawdopodobną myśl, że jeśli Gwenda widziała szansę usunięcia pani Argyle, to podejrzenie nie padłoby na nią... – przerwał snucie myśli. Czy poświęciłaby Jacko bez wyrzutów sumienia? Nie sądził, żeby lubiła Jacko. Urok Jacko nie przemawiał do niej. A kobiety – pan Marshall wiedział o tym zbyt dobrze – bywały bezlitosne. Zatem nie można było wyeliminować Gwendy Vaughan. Było bardzo wątpliwe, że po takim okresie policja znajdzie jakieś dowody. Nie

widział, jakie dowody mogły się znaleźć przeciw niej. Była tego dnia w domu, siedziała w bibliotece z Leo, powiedziała mu dobranoc i zeszła po schodach. Nikt nie mógł powiedzieć, czy weszła po drodze do pani Argyle, wzięła pogrzebacz i podeszła z tyłu do niczego nie podejrzewającej kobiety, pochylonej nad papierami na biurku. A potem, kiedy pani Argyle padła bez krzyku, Gwenda musiała tylko rzucić pogrzebacz, wyjść frontowymi drzwiami i udać się jak zawsze do domu. Nie mógł dostrzec żadnej możliwości, by policja lub ktoś inny zdołali jeszcze coś wykryć, jeżeli to ona była winna.

Jego oczy powędrowały do Hester. Ładne dziecko. Nie, nie ładne, naprawdę piękne. Jest piękna w jakiś dziwny i niepokojący sposób. Chciałby wiedzieć, kim byli jej rodzice. Otacza ją atmosfera samowoli i dzikości. Tak, w związku z nią można by użyć słowa „rozpacz”. Dlaczego miałyby być zrozpaczona? Uciekła głupio, żeby pójść na scenę., i miała niemądry romans z nieodpowiednim człowiekiem. Potem znalazła powód, żeby wrócić do domu z panią Argyle i znowu zamieszkać tutaj. Niemniej Hester nie można było wykluczyć, ponieważ nigdy nie było wiadomo, co naprawdę dzieje się w jej umyśle. Nie wiadomo, co chwila rozpaczy mogła z nią zrobić. Ale policja też nie mogła wiedzieć.

Rzeczywiście – pomyślał pan Marshall – wydawało się bardzo mało prawdopodobne, że policja – nawet jeśli domyśli się, kto jest odpowiedzialny za zbrodnię – potrafi coś z tym począć. Tak więc cała sytuacja wydawała się zadowalająca. Zadowolająca? – wzdrygnął się lekko, rozważywszy to słowo. Czy tak było? Czy pat stanowi dobre wyjście z całej tej sytuacji? Zastanawiał się, czy Argyle'owie sami znają prawdę. Doszedł do wniosku, że nie. Nie wiedzą. Oczywiście z wyjątkiem osoby, która wiedziała zbyt dobrze... Nie, oni nie wiedzą, ale czy podejrzewają? Jeśli nie podejrzewali dotąd, wkrótce zaczną, ponieważ nie można się oprzeć ciekawości, próbuje się przypomnieć sobie zdarzenia... Przykre. Tak, tak, bardzo nieprzyjemna sytuacja.

Wszystkie te myśli nie zabrały mu wiele czasu. Pan Marshall ocknął się z krótkiej zadumy, widząc utkwione w sobie oczy Micky'ego, z lekkim błyskiem kpiny.

– Wiec to jest pański werdykt, panie Marshall? – zapytał Micky. – Ktoś z zewnątrz, nieznany intruz, ciemny typ, który morduje, rabuje i znika?

– Wydaje się, że to właśnie zechcemy przyjąć. Micky odchylił się na krześle i roześmiał się.

– Taka jest nasza wersja i będziemy się jej trzymać, co?

– Cóż, Michael, tak właśnie bym radził.

Micky skinął głową.

– Rozumiem. Taka jest pańska rada. Śmiejem powiedzieć, że ma pan rację. Ale sam pan w to nie wierzy, prawda?

Pan Marshall popatrzył na niego bardzo chłodno. Na tym polegał kłopot z ludźmi nie mającymi prawniczego poczucia dyskrecji. Uparcie mówili rzeczy, których lepiej było nie wypowiadać.

– Taka jest moja opinia, ponieważ to się opłaca – nieodwołalność jego tonu mieściła w sobie bezmiar nagany.

Micky rozejrzał się wokół stołu.

– Co wy wszyscy myślicie? – zadał ogólne pytanie. – No, Tina, kochanie, widzisz tylko czubek swego nosa, nie masz jakiegoś pomysłu? Jakiejś nieautoryzowanej wersji – że tak powiem? A ty Mary? Nie mówiłaś wiele.

– Oczywiście zgadzam się z panem Marshalllem – powiedziała Mary dosyć gwałtownie. – Jakie mogłoby być inne wyjaśnienie?

– Philip nie zgadza się z tobą.

Mary odwróciła się szybko do męża, który odezwał się spokojnie:

– Lepiej przymknij się, Micky. Nie jest dobrze mówić za dużo, gdy się jest przyciśniętym do muru. A my wszyscy jesteście w takiej sytuacji.

– Więc nikt nie zamierza wypowiedzieć żadnej opinii? Dobrze. Niech tak będzie. Ale idąc dziś wieczór do łóżek, pomyślcie wszyscy o tym chwileczkę. To może być rozsądne. Mimo wszystko chce się wiedzieć, na czym się stoi. Nie znasz przypadkiem paru drobiazgów, Kirsty? Zwykle tak jest. O ile pamiętam, zawsze wiedziałaś, co się dzieje, choć – muszę przyznać – nigdy nic nie wygadałaś.

– Myślę, Micky, że powinienes trzymać język za zębami – oświadczyła nie bez godności Kirsten. – Pan Marshall ma rację. Niemądrze jest gadać za dużo.

– Moglibyśmy poddać to pod głosowanie – rzeki Micky. – Albo napisać imię na kawałku papieru i wrzucić do kapelusza: Byłoby interesujące zobaczyć, kto dostanie głosy.

Tym razem alt Kirsten zabrzmiał głośniejsz.

– Uspokój się – powiedziała. – Nie bądź głupim, nierozważnym chłopcem, jakim zawsze byłeś. Jesteś teraz dorosły.

– Ja tylko proponowałem, żeby o tym pomyśleć – odparł Micky, zmieszany.

– Będziemy o tym myśleć – rzekła Kirsten. Jej głos dźwięczał goryczą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nad Sunny Point zapadła noc.

Pod jej osłoną siedem osób udało się na spoczynek, ale żadna z nich nie spała dobrze...

Philip Durrant ze względu na swoją zmniejszoną sprawność fizyczną coraz więcej pociechy znajdował w aktywności umysłu. Zawsze był wysoce inteligentnym człowiekiem, teraz stał się świadomy możliwości, jakie otwierały się przed nim dzięki inteligencji. Czasami bawił się przewidywaniem reakcji otoczenia na różne bodźce. To, co mówił i robił, nie było często naturalnym działaniem, lecz akcją wyrachowaną, umotywowaną wyłącznie chęcią obserwowania reakcji. Był to rodzaj gry. Kiedy otrzymywał przewidywaną odpowiedź, zapisywał ją, ponieważ było to jego celem.

W rezultacie tych rozrywek zauważył, że jest bystrym obserwatorem różnic między ludźmi i prawdziwych cech ich osobowości.

Osobowości dotychczas nie interesowały go zbyt. Ludzie, którzy go otaczali, albo ci, których spotykał, podobali mu się lub nie, bawili go albo nudzili. Był zawsze człowiekiem czynu, nie myślicielem. Swoją bujną wyobraźnię ćwiczył w kierunku wymyślenia różnych sposobów robienia pieniędzy. Wszystkie te sposoby wydawały się obiecujące, ale kompletny brak zdolności do robienia interesów powodował, że zawsze obracały się wniwecz. Ludzie jako tacy, aż do tej chwili, byli przez niego widziani, jako pionki w grze. Teraz, kiedy choroba przerwała jego wcześniejszą aktywność, zmuszony został do brania pod uwagę charakteru poszczególnych ludzi.

To zaczęło się w szpitalu, gdzie miłosne życie pielęgniarek, tajemnice wojny i drobne przykrości szpitalnego dnia przyciągnęły jego uwagę, ponieważ nie było tam nic więcej do roboty. Teraz obserwowanie ludzi stało się jego zwyczajem. Ludzie to wszystko, co życie miało mu do zaoferowania. Tylko ludzie. Studiowanie ludzi, odkrywanie prawdy o nich, ocenianie ich. Decydowanie na swój użytek, jakie są pobudki ich działania, i stwierdzanie, że miał rację. To mogło być naprawdę bardzo interesujące...

Tego właśnie wieczoru, siedząc w bibliotece, uświadomił sobie, jak mało wie o rodzinie żony. Jacy byli w rzeczywistości? Co ukrywali w sobie? Nie chodziło o ich powierzchowność, którą znał dobrze.

Dziwne, jak niewiele wiadomo o ludziach. Nawet o własnej żonie.

Popatrzył w zamyśleniu na Mary. Co naprawdę o niej wiedział?

Zakochał się, ponieważ spodobał się mu jej wygląd i chłodny, poważny sposób bycia. Miała także pieniądze, a to nie było dla niego bez znaczenia. Pomyślałby dwa razy przed poślubieniem dziewczyny bez grosza. Wszystko pasowało i ożenił się z nią, i dokuczał jej, i nazywał ją Polly, i bawił się jej niepewnym spojrzeniem, kiedy mówił dowcip, którego nie rozumiała. Ale co naprawdę wiedział o niej? Co myślała i czuła? Wiedział, że kocha go głęboko i namiętnie. Myśląc o jej oddaniu poruszył się niespokojnie, prężąc ramiona, jakby chciał uwolnić je od ciężaru. Taka miłość była bardzo dobra, jeśli dało się przed nią uciec na dziewięć c/y dziesięć godzin dziennie. Powrót do domu był miłą rzeczą. Ale teraz był otulony tą miłością: obserwowano go, opiekowano się. Pieszczono. To wzbudzało tęsknotę za odrobiną zaniedbania... Można znaleźć sposoby ucieczki. Umysłowe sposoby, ponieważ inne nie były możliwe. Można uciec do królestwa fantazji albo spekulacji.

Spekulacje. Kto był na przykład odpowiedzialny za śmierć jego teściowej? Nie lubił teściowej, a ona nie lubiła jego. Nie chciała, żeby Mary wyszła za niego

(był ciekaw, czy życzyłaby sobie, żeby Mary wyszła za kogokolwiek), ale nie była w stanie przeciwdziałać temu. On i Mary zaczęli życie szczęśliwi i niezależni, ale właśnie wtedy sprawy zaczęły się psuć. Najpierw to Południowoamerykańskie Towarzystwo, potem Akcesoria Rowerowe – Spółka z o.o. Były dobrym pomysłem, ale finansowo wypadły źle. A potem strajki kolejowe w Argentynie, które dopełniły klęski. Wszystko zwyczajny pech, ale jakoś czuł, że to wina pani Argyle. Nie chciała, żeby odniósł sukces. Potem przyszła jego choroba. Wyglądało, jakby jedynym dla nich wyjściem było przyjechać tutaj i mieszkać w Sunny Point, gdzie serdeczne przyjęcie było zapewnione. On nie był szczególnie przeciwny. Jaki może być problem w tym, gdzie mieszka mężczyzna będący kaleką, półczłowiek? Ale Mary nie było wszystko jedno.

No cóż, nie było konieczności żyć stale w Sunny Point. Pani Argyle została zabita. Fundusz powierniczy podniósł pensję Mary i znowu mogli mieszkać u siebie.

Nie czuł wielkiego żalu po śmierci pani Argyle. Oczywiście przyjemniej byłoby, gdyby zmarła na zapalenie płuc albo na coś podobnego we własnym łóżku. Morderstwo wraz z całym rozgłosem i krzyzącymi nagłówkami to okropna rzecz. Jednak – ponieważ morderstwa się zdarzają – to było zupełnie udane morderstwo. Sprawca miał najwidoczniej obluzowaną jakąś śrubkę w sposób określany przyzwyczajonym w psychiatrycznym żargonie. Nie był to rodzony brat Mary. Jedno z „adoptowanych dzieci”, których dziedziczne skłonności często są złe. Teraz jednak sprawy nie wyglądają dobrze. Jutro przyjdzie nadinspektor Huish i będzie zadawał pytania swoim łagodnym głosem. Może powinno się pomyśleć nad odpowiedziami... Mary szcztokowała swoje długie włosy przed lustrem. Coś w jej chłodnym dystansie drażniło go.

– Masz już przygotowaną historię na jutro, Polly? Zwróciła na niego zdziwione oczy.

– Przychodzi nadinspektor Huish. Będzie znowu pytał o wszystkie twoje czynności, wieczorem 9 listopada.

– Wiem. To było tak dawno. Trudno sobie przypomnieć.

– Ale jemu wolno, Polly. Wolno. Ma to wszystko zapisane w ślicznym policyjnym notesiku.

– Naprawdę? Trzymają takie rzeczy?

– Prawdopodobnie trzymają wszystko w trzech egzemplarzach przez dziesięć lat. Cóż, twoje czynności były bardzo proste. Nie było żadnych. Ty i ja siedzieliśmy w tym pokoju. I gdybym był tobą, nie wspominałbym, że wychodziłaś stąd między siódmą a siódmą trzydzieści.

– Ale ja poszłam tylko do łazienki. Mimo wszystko – rzekła Mary rozsądnie – każdy musi pójść do łazienki.

– Wtedy nie wspomniałaś mu o tym. Pamiętam.

– Pewnie zapomniałam.

– Sądzę, że to instynkt samozachowawczy... W każdym razie pamiętam, że cię poparłem. Siedzieliśmy tu razem, grając w pikietę od szóstej trzydzieści do chwili, gdy Kirsty podniosła alarm. To jest nasza historia i trzymajmy się jej.

– Dobrze, kochanie – jej głos brzmiał pogodnie i obojętnie.

Pomyślał sobie, że żona chyba nie ma wyobraźni. Czy nie. widzi, że jesteśmy w trudnej sytuacji? Pochylił się do przodu.

– Wiesz, to ciekawe... Nie interesuje cię, kto ją zabił? Wiemy wszyscy – Micky ma zupełną rację – że to był ktoś z nas. Nie chciałabyś wiedzieć kto?

– To nie byłeś ty ani ja.

– I to wszystko, co cię obchodzi? Polly, jesteś cudowna!

Zaczerwieniła się lekko.

– Nie pojmuję, co w tym dziwnego.

– Tak, rozumiem cię... Cóż, ja jestem inny. Jestem ciekawy.

– Nie sądzą, że dowiemy się kiedykolwiek. I nie sądzą, że policja się dowie.

– Może nie. Będą na pewno mieli diabła mało materiału, żeby dojść do czegoś. Ale my jesteśmy w innej sytuacji niż policja.

– Co masz na myśli, Philipie?

– Po prostu mamy trochę wiedzy „od wewnątrz”. Znamy naszą gromadkę od środka – znamy nieźle ich pobudki. W każdym razie ty powinnaś posiadać tę wiedzę.

Wyrosłaś z nimi. Posłuchajmy twoich poglądów. Kto był według ciebie sprawcą?

- Nie mam pojęcia.
- Więc zgadnij.
- Raczej nie chciałabym wiedzieć, kto to zrobił – powiedziała ostro Mary. – Nie chcę nawet myśleć o tym.
- Struś – rzucił jej mąż.
- Szczerze mówiąc, nie widzę powodu, żeby zgadywać. Znacznie lepiej nie wiedzieć. Wtedy możemy żyć jak zwykle.
- O nie, nie możemy. Mylisz się, dziewczyno. Rozkład już się zaczął.
- Co chcesz powiedzieć?
- Weźmy chłopaka Hester: poważnego, młodego doktora Donalda. Miły facet, poważny, zatroskany. Naprawdę nie sądzi, że ona to zrobiła, ale nie jest pewien, że nie zrobiła! Więc patrzy na nią z obawą, kiedy przypuszcza, że ona tego nie widzi. Ale ona zauważa wszystko dobrze. Więc o to chodzi! Może zrobiła to – wiesz to lepiej niż ja – ale jeśli nie, jakie piekło przechodzi ze swoim chłopakiem? Powstrzymuje się, żeby nie powiedzieć: „Ja tego nie zrobiłam”. Ale chciałaby powiedzieć właśnie to.
- Doprawdy, Philip, wymyślasz różne rzeczy.
- Nie potrafisz wyobrazić sobie niczego, Polly. Potem weź tego biednego, starego Leo. Dzwony weselne na ślub z Gwendą odsuwają się w dal. Ta dziewczyna okropnie się tym denerwuje. Nie zauważyłaś?
- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego ojciec w tym wieku chce się znowu żenić.
- On to rozumie bardzo dobrze! Ale rozumie także, że każda wzmianka o romansie z Gwendą da im obojgu znakomity motyw do morderstwa. Okropne!
- To fantastyczna rzecz wyobrazić sobie choć przez moment, że ojciec zamordował mamę! Takie rzeczy się nie zdarzają.
- Owszem, zdarzają się. Czytaj gazety.
- Nie zdarzają się wśród takich ludzi jak my.
- Morderstwo to nie snobizm. Poza tym jest Micky. Coś go gryzie. To dziwny, zgorzkniały chłopiec. Tina wydaje się czysta, spokojna, niezakłamaną. Ale ma twarz małej pokerzystki. Jest też biedna, stara Kirsty...
- Twarz Mary ożywiła się lekko.
- To mogłoby być wytłumaczenie!
- Kirsty?
- Tak. Mimo wszystko jest cudzoziemką. I – zdaje się – przez ostatni rok czy dwa miewała fatalne bóle głowy... Wydaje się bardziej prawdopodobne, że ona zabiła, a nie ktoś z nas.
- Biedaczka – rzekł Philip. – Nie widzisz, że to właśnie sobie wmawia? Że my wszyscy dogadaliśmy się, że to ona? Dla wygody. Ponieważ ona nie jest członkiem rodziny. Nie widziałaś dziś wieczór, jaka była zdenerwowana? I ona jest w takiej samej sytuacji jak Hester. Co może powiedzieć czy zrobić? Powiedzieć nam: „Nie zabiłam mojej przyjaciółki i chlebodawczyni?” Jaką wagę może mieć takie stwierdzenie? To jeszcze gorsze piekło dla niej niż dla kogoś innego... ponieważ ona jest sama. Musi wspominać każde wypowiedziane słowo, każde gniewne spojrzenie, jakie rzuciła na twoją matkę, myśląc, że zostało zapamiętane i zwróci się przeciwko niej. Nie jest w stanie dowieść swej niewinności.
- Chciałabym, żebyś się uspokoił, Phil. Ostatecznie, co możemy zrobić?
- Tylko próbować odkryć prawdę.
- Ale jak to możliwe?
- Bywają sposoby. Chciałbym spróbować.
- Mary popatrzyła niespokojnie.
- Co za sposoby?
- Och, mówienie różnych rzeczy, obserwowanie, jak ludzie reagują, można też wymyślać rozmaite rzeczy... – przerwał, ale jego umysł pracował – rzeczy, które mogłyby znaczyć coś dla winnej osoby, ale nie dla niewinnej... – znowu zamilkł, zastanawiając się. Popatrzył na nią i powiedział:
- Nie chcesz pomóc niewinnemu. Mary?
- Nie! – To słowo prawie eksplodowało. Podeszła i uklękła przy jego fotelu. – Nie chcę, żebyś się w to mieszał, Phil. Nie zaczynaj mówić różnych rzeczy i zastawiać pułapek. Zostaw to w spokoju. Och, na miłość boską, zostaw to w spokoju!
- Philip uniósł brwi.

– No. no – powiedział. Położył rękę na gładkiej, złotej głowie.

II

Michael Argyle leżał nie śpiąc, wpatrując się w ciemność.

Jego myśli krążyły jak wiewiórka po klatce, wracając w przeszłość. Dlaczego nie mógł pozbyć się tego? Dlaczego musiał wlec przeszłość za sobą przez całe życie? A w ogóle o co chodziło? Dlaczego musiał pamiętać tak wyraźnie wesoły, niechlujny pokój w londyńskim slumsie, a w nim siebie, „naszego Micky’ego”. Niewymuszona, ekscytująca atmosfera! Zabawy na ulicach! Napadanie na innych chłopców! Jego matka z błyszczącą, złotą głową (tania płukanka – pomyślał w swojej dorosłej mądrości), jej nagłe napady furii, kiedy odwracała się i tłukła go (dżin, rzecz jasna!), i dzika wesołość, kiedy była w dobrym nastroju. Uroczyste kolacje złożone z ryby i frytek, po których śpiewała songi – sentymentalne ballady. Czasami szli do kina. Oczywiście zawsze byli wujkowie – tak ich nazywał. Jego własny tatuś odszedł, zanim zdołał go zapamiętać... Ale jego matka nie tolerowała wujka, który kiedyś podniósł na niego rękę. „Zostaw w spokoju naszego Micky’ego” – powiedziała.

A potem przyszło podniecenie wojną. Czekanie na bombowce Hitlera, syreny alarmowe. Wyjście pociski. Spędzanie nocy na stacjach metra. To była uciecha. Cała ulica była tam ze swoimi sandwiczami i butelkami wody sodowej. Pociągi pędziły praktycznie przez całą noc. To było życie! W samym centrum wydarzeń!

A potem przyjechał tu, na wieś. Senne miejsce, gdzie nigdy nic się nie działo.

– Wrócisz, skarbie, kiedy to wszystko minie – powiedziała matka, ale tak lekko, jakby to nie była prawda. Nie zdawała się przejmować jego odejściem. Dlaczego nie wyjechała razem z nim? Mnóstwo dzieciaków z ulicy zostało ewakuowanych ze swoimi mamusiami. Ale jego matka nie chciała. Pojechała na północ (z aktualnym wujkiem – wujkiem Harrym), żeby pracować w fabryce amunicji.

Musi zdać sobie sprawę, mimo wylewnych pożegnań: naprawdę nie zależało jej na nim... Dżin – pomyślał – o to się troszczyła, dżin i wujkowie...

Był więc tutaj, schwytyany, uwięziony, jedzący pozbawione smaku, obce posiłki, chodzący do łóżka o niewiarygodnej szóstej godzinie, po głupiej kolacji, złożonej z mleka i biszkoptów (mleko i biszkopy!), leżący bezsennie, płaczący z głową chowaną pod prześcieradłem, płaczący za mamusią i domem.

To ta kobieta! Ona zabrała go i nie pozwoliła mu odejść. Cała masa ckliwego gadania. Zawsze kazała mu grać w głupie gry. Spodziewała się czegoś od niego. Czegoś, czego nie zamierzał jej dać. Mniejsza z tym. Czekał. Był cierpliwy. Pewnego dnia, pewnego wspaniałego dnia pojedzie do domu. Do domu, do ulic i chłopców, i cudownych czerwonych autobusów, metra i ryb z frytkami, do mchu ulicznego i okolicznych kotów – ciągnął w myślach katalog wspaniałości. Musi czekać. Wojna nie może trwać wiecznie. Tkwi w tym idiotycznym miejscu, podczas gdy na Londyn padają bomby i połowa miasta stoi w ogniu. Jaki blask musi tam być, wałęsają się domy i giną ludzie.

Ujrzał to w myślach we wspaniałych kolorach. Mniejsza z tym. Kiedy wojna się skończy, wróci do mamusi. Będzie zdziwiona widząc, jak urósł.

W ciemności Micky Argyle wypuścił powietrze ze świstem.

Wojna skończyła się. Hitler i Musso zostali pobici... Niektóre dzieci wracały. Niebawem... A potem Ona wróciła z Londynu i powiedziała, że on zostanie w Sunny Point i będzie jej własnym, małym chłopczykiem...

Zapytał:

– Gdzie jest moja mamusia? Trafiła ją bomba?

Gdyby zabiła ją bomba, nie byłoby tak źle. To zdarzało się matkom innych chłopców.

Ale pani Argyle powiedziała: „Nie”. Nie została zabita. Miała ciężką pracę i nie mogła opiekować się dobrze dzieckiem – głodne kawałki, bez znaczenia... Jego mamusia go nie kochała, nie chciała go – musiał zostać tu na zawsze...

Po tym zdarzeniu podkradał się, próbując podsłuchiwać rozmowy, i w końcu usłyszał coś, fragment rozmowy między panią Argyle i jej mężem: „Była tylko

ucieszona, że może się go pozbyć – zupełna obojętność”, i coś o stu funtach. W ten sposób się dowiedział – jego matka sprzedała go za sto funtów...

To upokorzenie, ten ból – nigdy nie minęły. Ona go kupiła! Widział ją mgliście jako uosobienie Potęgi, kogoś, przeciw komu jego nikła siła była bezradna. Ale on wyrośnie, będzie kiedyś silny, będzie mężczyzną. I wtedy ją zabije...

Po tej decyzji poczuł się lepiej.

Później, gdy poszedł do szkoły, nie było tak źle. Nienawidził jednak wakacji – z powodu Niej. Ustalała wszystko, planowała, dawała mu różne prezenty. Wydawała się zdziwiona, ponieważ nie był wylewny. Nienawidził jej pocałunków... A potem znajdował przyjemność w udaremnianiu jej planów co do siebie. Praca w banku! Towarzystwo naftowe! To nie dla niego. Poszedł i znalazł sobie pracę.

Podczas pobytu na uniwersytecie próbował wytropić swoją matkę. Dowiedział się, że zmarła przed paroma laty, zginęła w wypadku samochodowym z mężczyzną, który prowadził po pijanemu...

Więc dlaczego nie zapomniał? Dlaczego nie potrafił się bawić i prowadzić własnego życia? Nic wiedział. A teraz? Co teraz będzie? Ona nie żyła, prawda? Myślała, że kupiła go za nędzne sto funtów. Wydawało się jej, że może kupić wszystko: domy, samochody i... dzieci, ponieważ nie miała własnych. Myślała, że jest Bogiem Wszchemogącym!

Cóż, nie było już jej. Cios pogrzebaczem w głowę i stała się trupem, takim jak inne! (Jak złotowłosa postać zmiądzona w wypadku samochodowym na Great North Road...)

Ona nie żyła, prawda? Dlaczego się zadręczał?

Co się z nim działo? Może chodziło o to, że nie potrafił nienawidzić jej dłużej, bo była martwa?

Więc to jest Śmierć...

Czuł się zagubiony bez swojej nienawiści – zagubiony i pełen lęku.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

I

W swojej nieskazitelnie czystej łazience Kirsten Lindstrom splotła szpakowato-blond włosy w dwa nietwarzowe warkocze i szykowała się do łóżka.

Była niespokojna i pełna obaw.

Policja nie lubiła cudzoziemców. Kirsten mieszkała w Anglii już tak długo, że nie czuła się obca, ale policja nie wiedziała o tym.

Ten doktor Calgary – dlaczego przyszedł i zrobił to?

Sprawiedliwość musiała być wymierzona. Pomyślała o Jacko i powtórzyła sobie, że sprawiedliwość musiała zostać wymierzona.

Przypomniała go sobie jako małego chłopca.

Zawsze, tak, zawsze był kłamcą i oszustem! Ale tak czarującym, tak ujmującym. Każdy mu wybacał. Wszyscy próbowali chronić go przed karą.

Tak świetnie kłamał. To była okropna prawda. Kłamał tak dobrze, że każdy mu wierzył, że nikt nie potrafił mu się oprzeć. Zły, okrutny Jacko.

Doktor Calgary mógł sobie myśleć, że wie, o czym mówi. Doktor Calgary mylił się. Miejsca i czasy, i alibi, coś podobnego! Jacko potrafił z łatwością zaplanować rzeczy tego rodzaju. Nikt naprawdę nie znał Jacko tak dobrze jak ona.

Czy ktokolwiek uwierzyłby jej, gdyby powiedziała, jaki właściwie był Jacko? A teraz – już jutro – co się zdarzy? Przyjdzie policja. A wszyscy są tak nieszczęśliwi, tak podejrzliwi. Patrzą jeden na drugiego... Nie są pewni, w co wierzyć. Kochała ich wszystkich tak mocno... tak mocno. Wiedziała o nich więcej niż ktokolwiek inny. Daleko więcej niż pani Argyle. Bo pani Argyle była zaślepiona przez silną potrzebę macierzyństwa. Byli jej dziećmi i zawsze uważała, że należą do niej. Kirsten postrzegała ich jako jednostki, jako ich samych, z wadami i zaletami. Gdyby miała własne dzieci, być może miałyby poczucie ich posiadania. Nie była jednak wybitnie macierzyńskim typem. Jej główną miłością byłby mąż, którego nigdy nie miała. Trudno jej było zrozumieć takie kobiety jak pani Argyle. Szalejąca za kupą dzieci, które nie były jej własne, i traktująca męża jak powietrze! Dobry człowiek, wspaniały, trudno o lepszego. Zaniedbywany, odsuwany na bok. I pani Argyle, zbyt zajęta swoimi

sprawami, żeby dostrzec, co się dzieje pod jej nosem. Ta sekretarka, przystojna dziewczyna i kobieta w każdym calu. Cóż, nie było za późno dla pana Argyle – a może jest za późno teraz? Teraz, kiedy morderstwo podnosi głowę z grobu, w którym je pogrzebano, czy ci dwoje ośmieliliby się połączyć? Kirsten westchnęła żałośnie. Co się stanic z nimi wszystkimi? Z Mickym, który żywił głęboką, prawie patologiczną urazę do swej przybranej matki. Z Hester, niepewną siebie i gwałtowną. Hester, która szukała spokoju i bezpieczeństwa z tym młodym doktorem, miłym i solidnym. Z Leo i Gwenda, którzy mieli motyw i – jak było widać – sposobność, o czym oboje musieli wiedzieć. Z Tina, gładkim, podobnym do kota stworzeniem. Z samolubną Mary o zimnym sercu, która do swego zamążpójścia nie okazała nikomu uczucia.

Kiedyś – myślała Kirsten – ona sama była pełna uczucia dla swojej pracodawczyni, pełna podziwu. Nie pamiętała dokładnie, kiedy przestała ją lubić, kiedy zaczęła ją osądzać i wynajdywać jej wady. Była tak pewna siebie, łaskawa, tyranizująca otoczenie – rodzaj żywego ucieleśnienia hasła mama wie najlepiej. A nawet nie była matką! Gdyby kiedykolwiek urodziła dziecko, pomogłoby jej to zachować skromność.

Dlaczego jednak myślała wciąż o Rachel Argyle? Rachel Argyle nie żyła.

Musi myśleć o sobie i o innych.

I o tym, co się wydarzy jutro.

II

Mary Durrant obudziła się z uczuciem lęku.

Śniła... śniła, że była dzieckiem, z powrotem w Nowym Jorku.

Dziwne. Od lat nie myślała o tych czasach.

Zdumiewające, że zapamiętała to wszystko. Ile miała lat? Pięć? Sześć?

Śniło się jej, że została zabrana z hotelu do swojego domu. Państwo Argyle odpływali do Anglii i wcale nie wzięli jej ze sobą. Gniew i furia napełniły jej serce, dopóki nie przypomniała sobie, że to tylko sen.

To było cudowne. Zabrana do hotelu, pojechała windą na osiemnaste piętro. Wielkie mieszkanie, wspaniała łazienka – odkrycie rzeczy, które są na świecie dla bogatych. Gdyby mogła mieszkać tutaj, zatrzymać to wszystko na zawsze...

Ostatecznie nie było żadnych trudności. Trzeba było tylko okazać uczucie, co nigdy nie przychodziło jej łatwo, ponieważ z natury nie była uczuciowa, ale z tym sobie poradziła. I stało się, urządziła sobie życie! Bogaty ojciec i matka, ubrania, samochody, statki, samoloty, służba czekająca na nią, kosztowne lalki i zabawki. Czarodziejska bajka stała się prawdą...

Szkoda, że musiały być również inne dzieci. Oczywiście, była wojna. Ale mimo wszystko, czy to musiało się zdarzyć? Ta nienasycona miłość matki! Było w niej coś nienaturalnego. Coś zwierzęcego.

Żywiła zawsze dla przybranej matki lekką pogardę. Była głupia przy wyborze dzieci. Upośledzone! Mające przestępcze skłonności – jak Jacko. Niezrównoważone – jak Hester. Dzikusy podobne do Micky'ego. I Tina, Metyska! Nic dziwnego, że wszystkie poszły złą drogą. Choć naprawdę nie winiła ich za bunt. Sama się zbuntowała. Pamięta, jak spotkała Philipa, młodego, dzielnego pilota. I dezaprobataę matki: „Ach, te pośpieszne małżeństwa. Poczekaj do końca wojny”. Ale ona nie chciała czekać. Miała równie silną wolę jak matka i ojciec poparł ją. Pobrali się, a wojna wkrótce się skończyła.

Chciała mieć Philipa tylko dla siebie – wydostać się z cienia matki. To Przeznaczenie pokonało ją, nie matka. Najpierw fiasko finansowe Philipa, potem straszny cios – Heine-Medina. Jak tylko Philip mógł opuścić szpital, przyjechali do Sunny Point. Wydawało się nieuniknione, że to będzie ich dom. Philip również tak sądził. Stracił wszystkie pieniądze, a jej pensja z funduszu nie była zbyt wielka. Poprosiła o zwiększenie jej, ale odpowiedź brzmiała, że na razie będzie mądrzej mieszkać w Sunny Point. Ona jednak chciała Philipa dla siebie, tylko dla siebie, nie chciała, żeby został ostatnim „dzieckiem” Rachel Argyle. Nie pragnęła własnego dziecka – chciała tylko Philipa.

Samemu Philipowi odpowiadał chyba pomysł życia w Sunny Point.

– Będzie ci łatwiej – powiedział. – Ludzie wciąż przychodzą i wychodzą i jest rozrywka. Oprócz tego zawsze lubię bardzo towarzystwo twojego ojca.

Czemu nie chciał być tylko z nią, tak jak ona pragnęła być tylko z nim? Dlaczego tęsknił za czymś towarzystwem – ojca czy Hester?

Mary czuła ogarniającą ją falę bezsilnej wściekłości. Matka jak zwykle chciała postawić na swoim.

Nie udało się jej... umarła.

A teraz to wszystko zostanie znowu odgrzebane. Dlaczego, och, dlaczego?

I dlaczego Philip był taki nieznośny? Wypytyjący, szukający, mieszający się w nie swoje sprawy? Zastawiający pułapki... Jakiego rodzaju pułapki?

III

Leo Argyle przyglądał się, jak poranek napełnia powoli pokój nikłym, szarawym światłem.

Przemyślał wszystko bardzo starannie.

Było dla niego jasne, co dokładnie będą mieli przeciw niemu i Gwendzie.

Leżąc usiłował spojrzeć na całą sprawę oczami nadinspektora Huisha. Rachel weszła tu i opowiedziała im o Jacko, o jego wściekłości i groźbach. Gwenda taktownie wyszła do sąsiedniego pokoju, a on próbował pocieszyć Rachel. Powiedział jej, że miała rację będąc twarda, że pomaganie Jacko w przeszłości nie wyszło mu na dobre, że musi on przyjąć to, co mu grozi. Wyszła uspokojona.

Wtedy wróciła Gwenda, zebrała listy do nadania na poczcie i spytała, czy mogłaby zrobić jeszcze coś, a jej głos mówił więcej niż słowa. Podziękował jej i odpowiedział, że nie. Życzyła mu dobrej nocy i wyszła z pokoju. Szła korytarzem, schodami w dół, minęła pokój, gdzie Rachel siedziała przy biurku, i opuściła dom, nie widziana przez nikogo...

A on siedział sam w bibliotece i nikt nie mógł stwierdzić, czy wyszedł i udał się do pokoju Rachel. Tak to wyglądało – oboje mieli sposobność.

I motyw, ponieważ już wówczas kochał Gwendę, a ona kochała jego.

I nie było nikogo, kto mógłby dowieść winy lub niewinności ich obojga.

IV

Ćwierć mili dalej Gwenda leżała, ale nie spała. Nie uroniła ani jednej łzy.

Zaciskała ręce myśląc, jak bardzo nienawidziła Rachel Argyle.

A teraz, w ciemnościach, Rachel Argyle mówiła: „Myślałaś, że dostaniesz mego męża, kiedy ja nie żyję. Ale nie dostaniesz. Nigdy nie będziesz miała mego męża”.

V

Hester śniła. Śniła, że była z Donaldem i że opuścił ją nagle na skraju przepaści. Krzyknęła ze strachu i wtedy zobaczyła, że po drugiej stronie stoi Arthur Calgary, wyciągając do niej ręce. Krzyknęła do niego z wyrzutem:

– Dlaczego mi to zrobiłeś?

– Ależ ja przychodzę ci pomóc... – odpowiedział. Obudziła się.

VI

Leżąc spokojnie w łóżku w małej, zapasowej sypialni, Tina oddychała cicho i regularnie, ale sen nie przychodził.

Myślała o pani Argyle bez wdzięczności i bez urazy – po prostu z miłością. Ponieważ pani Argyle dała jej jedzenie i picie, i ciepło, i zabawki, i komfort.

To wszystko nie było takie proste.

Nie byłoby problemu, gdyby zrobił to Jacko...

Ale teraz?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nadinspektor Huish popatrzył na wszystkich uważnie i grzecznie. Kiedy zaczął mówić, zabrzmiało to przeprasząco i przekonywająco.

– Wiem, że musi być bolesne dla państwa przeżywanie tego wszystkiego jeszcze raz. Niestety nie mamy wyboru. Zauważyli państwo zapewne tę notatkę? Była we wszystkich porannych gazetach.

– Ułaskawienie – powiedział Leo.

– Ta frazeologia zawsze działa na ludzi. Anachronizm, podobnie jak większość prawniczej terminologii. Ale znaczenie tego jest zupełnie jasne.

– To oznacza, że popełniliście błąd – rzekł Leo.

– Tak – zgodził się zwyczajnie Huish – popełniliśmy błąd.

Po chwili milczenia dodał:

– Oczywiście to było nieuchronne bez świadectwa doktora Calgary.

Leo zauważył chłodno:

– Mój syn powiedział wam, kiedy aresztowaliście go, że tamtego wieczoru został podwieszony.

– To prawda. Powiedział nam. A my zrobiliśmy wszystko i nie znaleźliśmy potwierdzenia tej historii. Zupełnie rozumiem, panie Argyle, że musi pan być niezwykle rozgoryczony całą sprawą. Nie tłumaczę się i nie przepraszam. Wszystko, co my, oficerowie policji, mamy do zrobienia to zbierać dowody. Dowody zostają przekazane prokuratorowi i on decyduje o wniesieniu sprawy. W tym wypadku podjął taką decyzję. Jeśli to możliwe, poproszę państwa o wyzbycie się swego rozgoryczenia i sprawdzenie na nowo czasów i faktów.

– Na co się to teraz przyda? – odezwała się ostro Hester. – Ktokolwiek to zrobił, jest całe mile stąd i nigdy go nie znajdziecie.

Nadinspektor odwrócił się i spojrzał na nią.

– Może tak jest, a może nie – odparł łagodnie. – Byłaby pani zdziwiona dowiadując się, ile razy łapiemy poszukiwanego człowieka czasami po kilku latach. Sprawia to cierpliwość i to, że nigdy nie rezygnujemy.

Hester odwróciła się, a Gwenda zadrżała lekko, jakby poczuła zimny wiatr. Jej żywa wyobraźnia odczuła groźbę, kryjąca się w spokojnych słowach.

– Teraz, jeśli można – Huish spojrzał oczekująco na Leo – zaczniemy od pana, panie Argyle.

– Co dokładnie chce – pan wiedzieć? Musi pan mieć moje pierwotne zeznanie. Teraz będę prawdopodobnie mniej dokładny. Szczegóły zwykle umykają z pamięci.

– Och, zdajemy sobie z tego sprawę. Jest jednak zawsze szansa, że może wyjść na jaw jakiś drobny fakt, coś przeoczonego w swoim czasie.

– Czy jest możliwe – zapytał Philip – że ktoś może ujrzeć rzeczy we właściwych proporcjach po upływie lat?

– Tak, to możliwe – rzekł Huish, spoglądając na Philipa z pewnym zainteresowaniem.

– Inteligentny facet – pomyślał. – Ciekaw jestem, czy ma jakieś własne pomysły.

– Więc, panie Argyle, gdyby zechciał pan ustalić kolejność zdarzeń. Piliście herbatę?

– Tak. Piliśmy herbatę w jadalni, o piątej, jak zwykle. Byliśmy tam wszyscy, z wyjątkiem państwa Durrant. Pani Durrant zabrała herbatę dla siebie i męża do ich bawialni.

– W tym czasie byłem jeszcze większym kaleką niż teraz – wtrącił Philip. – Wyszedłem właśnie ze szpitala.

– Rozumiem.

Huish zwrócił się do Leo: – Wszyscy to znaczy...

– Moja żona, ja sam, moja córka Hester, panna Vaughan i panna Lindstrom.

– A potem? Proszę opowiedzieć własnymi słowami.

– Po herbacie wróciłem z panną Vaughan tutaj. Pracowaliśmy nad rozdziałem mojej książki o średniowiecznej gospodarce, który poprawiałem. Moja żona poszła do swojego gabinetu, znajdującego się na „parterze”. Była bardzo zajęta kobietą. Przeglądała plany nowego ośrodka sportowego dla dzieci, który zamierzała ofiarować hrabstwu.

– Czy słyszał pan przybycie swego syna, Jacka?

– Nie. To znaczy nie wiedziałem, że to był on. Oboje słyszeliśmy dzwonek do drzwi frontowych. Nie wiedzieliśmy, kto przyszedł.

– A o kim pan pomyślał, panie Argyle?

Leo wydawał się trochę ubawiony.

– W tym momencie byłem w piętnastym stuleciu, nie w dwudziestym. Nie zastanawiałem się wcale. To mógł być każdy i nikt. Na dole była moja żona i panna Lindstrom, i Hester, i być może ktoś z dochodzącej służby. Nikt nie spodziewał się, że ja zareaguję na dzwonek.

– A potem?

– Nic. Aż do przyjscia, znacznie później, mojej żony.

– O ile później?

Leo zmarszczył brwi.

– Teraz naprawdę nie potrafię panu określić. Musiałem panu dać ocenę w swoim czasie. Pół godziny – nie, więcej – może trzy kwadransy.

– Skończyliśmy herbatę tuż po pół do szóstej – rzekła Gwenda. – Myślę, że była za dwadzieścia siódma, kiedy pani Argyle weszła do biblioteki.

– I co powiedziała?

Leo westchnął z niesmakiem.

– Rozmawialiśmy o tym już tyle razy. Mówiła, że był u niej Jacko, że wpadł w kłopoty, że gwałtownie i grubiańsko żądał pieniędzy i wykrzykiwał, że jeśli nie dostanie natychmiast pieniędzy, pójdzie do więzienia. Że odmówiła kategorycznie dania mu nawet grosza. Martwiła się, czy postąpiła słusznie.

– Chciałbym zadać panu pytanie. Dlaczego, jeśli chłopiec żądał pieniędzy, żona nie wezwała pana? Czemu tylko opowiedziała panu o tym? Nie wydało się to panu dziwne?

– Nie.

– Wydaje mi się, że to byłoby naturalne. Nie byliście w złych stosunkach?

– O nie. Po prostu moja żona była przyzwyczajona do podejmowania wszystkich decyzji samodzielnie. Często konsultowała się ze mną uprzednio i zwykle dyskutowaliśmy później o podjętych decyzjach. Rozważaliśmy bardzo poważnie problem Jacko – co należałoby zrobić. Na razie mieliśmy szczególne niepowodzenia w postępowaniu z tym chłopcem. Żona płaciła parokrotnie znaczne sumy pieniędzy, aby uchronić go przed skutkami jego postępowania. Ustaliliśmy, że jeśli zdarzy się coś podobnego jeszcze raz, najlepiej będzie, jak Jacko dostanie nauczki.

– Niemniej żona była zdenerwowana?

– Tak. Była niespokojna. Gdyby był mniej gwałtowny i nie groził, myślę, że mogłaby mu pomóc kolejny raz, ale jego zachowanie utrwaliło tylko jej decyzję.

– Do tego czasu Jacko opuścił dom?

– O tak.

– Widział pan to sam czy powiedziała panu żona?

– Powiedziała mi o tym. Mówiła, że wyszedł przeklinając i grożąc, że wróci i żeby lepiej przygotowała pieniądze dla niego. – Czy był pan – to ważne – zaniepokojony na myśl o jego powrocie?

– Oczywiście, że nie. Byliśmy przyzwyczajeni do rozróbek Jacko.

– Nigdy nie przyszło panu do głowy, że może wrócić i zaatakować ją?

– Nie. Mówiłem to panu poprzednio. Byłem ogłuszony.

– I wydaje się, że miał pan zupełną rację – rzekł Huish miękko. – To nie on ją zaatakował. Pani Argyle opuściła pana... o której?

– To pamiętam. Tuż przed siódmą. Może za siedem siódma.

Huish zwrócił się do Gwendy.

– Pani to potwierdza?

– Tak.

– I przebieg rozmowy również? Może pani coś dodać? Pan Argyle nie zapomniał o czymś?

– Nie słyszałam rozmowy. Po tym, jak pani Argyle powiedziała o żądaniach Jacko, pomyślałam, że lepiej się usunę na wypadek, gdyby czuli się skrępowani rozmową przy mnie. Poszłam tam – wskazała drzwi w głębi biblioteki – do małego pokoju, w którym piszę na maszynie. Wróciłam słysząc, że pani Argyle wyszła.

– I to było za siedem siódma?

– Tuż przed za pięć siódma.

– A potem, panno Vaughan?

– Zapytałam pana Argyle, czy chce kontynuować pracę, ale powiedział, że tok jego myśli został przerwany. Więc poskładałam swoje rzeczy i wyszłam.

– Czas?

– Pięć po siódmej.

- Opuściła pani dom przez frontowe drzwi?
- Tak.
- Gabinet pani Argyle mieścił się na lewo od frontowych drzwi?
- Tak.
- Drzwi były otwarte?
- Nie były zamknięte. Były uchylone mniej więcej na stopę.
- Nie weszła pani, żeby powiedzieć dobranoc pani Argyle?
- Nie. Byłoby głupio przeszkadzać jej w pracy tylko po to, żeby się pożegnać.
- Gdyby pani weszła, mogłaby pani odkryć jej martwe ciało.
- Gwenda wzruszyła ramionami.
- Przypuszczam, że tak... Ale wyobrażam sobie - wszyscy tak myśleliśmy w tym czasie - że została zabita później. Jacko ledwie zdążyłby... - przerwała.
- Pani wciąż jeszcze myśli, że to Jacko ją zabił. Teraz to się zmieniło. Więc mogła leżeć tam martwa?
- Chyba tak.
- Opuściła pani dom i poszła prosto do siebie?
- Tak. Moja gospodyni rozmawiała ze mną, kiedy wróciłam.
- Właśnie. I nie spotkała pani nikogo na drodze w pobliżu domu?
- Nie sędzę... Nie - Gwenda zmarszczyła brwi. - Naprawdę nie przypominam sobie. Było zimno i ciemno, a to jest ślepa uliczka. Nie sędzę, żebym przechodziła koło kogoś, zanim doszłam do Czerwonego Lwa. W okolicy gospody było parę osób.
- Przejeżdżały może jakieś samochody?
- Gwenda wydawała się zaskoczona.
- Och, tak, przypominam sobie samochód. Ochlapał moją spódnicę. Musiałam zmywać błoto, kiedy przyszedłam do domu.
- Jaki to był samochód?
- Nie pamiętam. Tego nie zauważyłam. Przejechał koło mnie tuż przy wejściu na naszą drogę. Mógł jechać do któregoś z domów.
- Huish zwrócił się ponownie do pana Argyle.
- Mówi pan, że słyszał pan dzwonek do drzwi w jakiś czas potem, jak pańska żona opuściła ten pokój?
- Tak mi się wydaje. Nigdy nie byłem całkiem pewny.
- O której to było?
- Nie mam pojęcia. Nie patrzyłem na zegar.
- Nie pomyślał pan, że to mógł wrócić Jacko?
- Nie. Zająłem się znowu pracą.
- Jeszcze jedna sprawa. Nie wiedział pan, że syn jest żonaty?
- Absolutnie nie.
- I żona również nie wiedziała? Nie sądzi pan, że po prostu nie poinformowała pana?
- Jestem zupełnie pewien, że nigdy o tym nie słyszała. Powiedziała mi natychmiast. Był to ogromny szok, kiedy następnego dnia pojawiła się ta kobieta. Ledwie mogłem uwierzyć, gdy panna Lindstrom weszła do tego pokoju, mówiąc: „Na dole jest młoda kobieta - dziewczyna, która twierdzi, że jest żoną Jacko. To nie może być prawda”. Okropnie się zdenerwowała. Prawda, Kirsty?
- Nie mogłam w to uwierzyć. Kazałam jej powtórzyć dwa razy, zanim poszłam do pana Argyle. To wydawało się nieprawdopodobne.
- O ile wiem, był pan dla niej bardzo miły - zwrócił się Huish do pana Argyle.
- Zrobiłem, co było można. Wyszła ponownie za męża, jak pan wie. Jestem bardzo zadowolony. Jej mąż wygląda na miłego, solidnego faceta.
- Huish skinął głową. Zwrócił się teraz do Hester.
- No, panno Argyle, proszę mi powiedzieć, co pani robiła tego dnia, po herbacie.
- Nie pamiętam teraz - powiedziała Hester nadaśana.
- Jak to możliwe? To już dwa lata. Mogłam nie robić nic.
- Jak mi się wydaje, pomogła pani pannie Lindstrom zmywać po herbacie.
- To prawda - wtrąciła Kirsten. - A potem - dodała - poszłaś na górę, do swojej sypialni. Miałaś wyjść później, pamiętasz? Wybierałaś się na amatorskie przedstawienie Czekaając na Godota w teatrze w Drymouth.
- Hester wciąż była naburmuszona i niechętna do współpracy.

- Ma pan wszystko zapisane. Po co międlić to w kółko?
- Ponieważ nigdy nie wiadomo, co może się przydać. A więc, panno Argyle, o której wyszła pani z domu?
- Mniej więcej o siódmej.
- Słyszała pani sprzeczkę między matką a Jackiem?
- Nie słyszałam niczego. Byłam na górze.
- Ale widziała pani matkę przed wyjściem z domu?
- Tak, potrzebowałam trochę pieniędzy. Byłam bez grosza. Przypomniałam sobie, że mam prawie pusty bak w samochodzie. Musiałabym nabrać benzyny w drodze do Drymouth. Więc gdy byłam gotowa do drogi, poszłam do mamy i poprosiłam o trochę pieniędzy - potrzebowałam tylko kilku funtów.
- I matka dała je pani?
- Dostałam pieniądze od Kirsty.
- Huish wydawał się trochę zdziwiony.
- Nie przypominam sobie, żeby to było w pierwotnym zeznaniu.
- To było tak - wyjaśniła Hester buntowniczo. - Weszłam i poprosiłam o trochę gotówki, a Kirsten usłyszała mnie z hallu i zawołała, że ma pieniądze i da mi. Właśnie wychodziła od siebie. A mama powiedziała: „Tak, weź od Kirsty”.
- Szłam właśnie do Instytutu Kobiecego z książkami na konkurs układania bukietów - wtrąciła Kirsten. - Wiedziałam, że pani Argyle jest zajęta i nie chce, żeby jej przeszkadzano.
- Hester odezwała się urażonym tonem.
- Co to za różnica, kto dał mi pieniądze? Chciał pan wiedzieć, kiedy ostatni raz widziałam matkę żywą. Właśnie wtedy. Siedziała przy stole, zagłębiona w planach. Poprosiłam o pieniądze i wtedy Kirsten zawołała, że mi da. Wzięłam je i znowu weszłam do gabinetu, i powiedziałam mamie dobranoc, a ona wyraziła nadzieję, że będę się dobrze bawiła, i prosiła, żebym prowadziła ostrożnie. Zawsze przypominała o tym. Potem poszłam do garażu i wyprowadziłam samochód.
- A panna Lindstrom?
- Och, ona wyszła, jak tylko dała mi pieniądze.
- Kirsten powiedziała szybko:
- Hester minęła mnie jadąc samochodem, w momencie gdy byłam na końcu naszej drogi. Musiała wyruszyć tuż po mnie. Pojechała w górę, do głównej szosy, a ja skręciłam w lewo, do wioski.
- Hester otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, i zamknęła je szybko.
- Huish zastanowił się. Czy panna Lindstrom usiłowała dowieść, że Hester nie miała czasu na popełnienie zbrodni? Czy dziewczyna zamiast spokojnie powiedzieć matce dobranoc, pokłóciła się z nią i zadała cios?
- Zwrócił się do Kirsten:
- A teraz posłuchajmy, co pani pamięta.
- Kobieta była zdenerwowana. Wykręcała niespokojnie palce.
- Piliśmy herbatę. Posprzątałam. Hester pomogła mi i poszła na górę. Potem przyszedł Jacko.
- Słyszała go pani?
- Tak. Wpuściłam go. Oświadczył, że zgubił klucz. Poszedł prosto do matki. Od razu powiedział: „Jestem w tarapatkach. Musisz mnie wyciągnąć”. Więcej nie słyszałam. Wróciłam do kuchni. Trzeba było przygotować coś na kolację.
- Słyszała pani, jak wychodził?
- O tak. Wrzeszczał. Wyszłam z kuchni. Stał na środku hallu wściekły, wykrzykując, że wróci i żeby matka lepiej miała dla niego pieniądze. Bo!... Właśnie tak powiedział: „Bo!...” To była groźba.
- A potem?
- Wyszedł trzaskając drzwiami. Pani Argyle zjawiała się w hallu. Była bardzo blada i zdenerwowana. Zapytała mnie:
- Słyszałaś? Ja na to:
- Ma kłopoty?
- Przytaknęła. Potem poszła do biblioteki, do pana Argyle. Ja nakryłam stół do kolacji i przebrałam się do wyjścia. W Instytucie Kobięcym miał być następnego dnia konkurs układania kwiatów. Obiecałyśmy im parę książek o kompozycjach kwiatowych.
- Zniosła pani książki do Instytutu i wróciła pani - o której?

– Musiało się zbliżyć pół do ósmej. Otworzyłam drzwi swoim kluczem. Weszłam zaraz do pokoju pani Argyle, aby przekazać jej podziękowania i liścik – leżała na biurku, z głową na rękach. Rzucony pogrzebacz, szuflady biurka wyciągnięte. Tu był włamywacz – pomyślałam. Napadł ją. I miałam racje. Teraz wiemy, że miałam rację! To był włamywacz – ktoś z zewnątrz!

– Ktoś, kogo wpuściła sama pani Argyle? – Dlaczego nie? – spytała Kirsten wyzywająco. – Ona była miła, zawsze bardzo życzliwa. I nie bała się ludzi ani rzeczy. Oprócz tego nie była sama w domu. Byli inni: jej mąż, Gwenda, Mary. Wystarczyło, żeby krzyknęła.

– Ale nie krzyknęła – podkreślił Huish.

– Nie. Ponieważ, ktokolwiek to był, musiał opowiedzieć jej wiarygodną historię. Zawsze słuchała. Potem usiadła przy biurku, może szukała książeczki czekowej, bo była zupełnie niepodejrzliwa, a on miał szansę złapać pogrzebacz i uderzyć. Może nawet nie zamierzał jej zabić. Chciał ją ogłuszyć, poszukać pieniędzy i biżuterii i uciec.

– Nie szukał zbyt głęboko, wyrzucił tylko zawartość paru szuflad.

– Może usłyszał jakieś odgłosy w domu albo zawiodły go nerwy. A może stwierdził, że ją zabił. I wtedy szybko, w panice, uciekł.

Pochyliła się do przodu. Jej oczy były przerażone i błagające.

– To musiało tak być, musiało!

Zainteresował go jej upór. Czy była to obawa o siebie? Mogła zabić swoją pracodawczynię, wyciągnąć parę szuflad, żeby uprawdopodobnić wersję o włamywaczu. Badanie lekarskie nie było w stanie określić czasu śmierci ściślej niż między siódmą a siódmą trzydzieści.

– Wygląda na to, że tak musiało być – zgodził się uprzejmie.

Wyrwało się jej lekkie westchnienie ulgi. Usiadła wygodniej. Nadinspektor zwrócił się do Durrantów.

– Żadne z państwa nic nie słyszało?

– Zupełnie nic.

– Wzięłam tacę z herbatą do naszego pokoju – powiedziała Mary. – Jest raczej odizolowany od reszty domu. Byliśmy tam do momentu, w którym usłyszeliśmy, że ktoś krzyczy. To była Kirsten. Znalazła właśnie matkę martwą.

– Pani nie opuszczała pokoju do tej chwili?

– Nie – spojrzała na niego niewinnymi oczami. – Graliśmy w pikietę.

Philip zastanowił się, dlaczego poczuł się trochę zmieszany. Polly zrobiła to, co jej kazał. Może chodziło o perfekcję, chłodne, niespieszne załatwienie sprawy z pełnym przekonaniem.

– Polly, najdroższa, jesteś wspaniałym kłamcą – pomyślał.

– A ja, panie nadinspektorze – powiedział – byłem wówczas i jestem nadal zupełnie niezdolny do jakiegokolwiek wchodzenia i wychodzenia.

– Ale jest pan w znacznie lepszym stanie – odparł Huish pogodnie. – Pewnego dnia znowu zobaczymy pana na nogach.

– Daleko do tego.

Huish spojrzał teraz na dwoje pozostałych członków rodziny, którzy dotąd nie powiedzieli ani słowa. Micky siedział z założonymi rękami i wyrazem lekkiego szyderstwa na twarzy. Tina, drobna i pełna wdzięku, ulokowała się wygodnie w fotelu, a jej wzrok błędził od twarzy do twarzy.

– Nikogo z państwa nie było w domu, o ile wiem – zaczął. – Ale może zechcielibyście odświeżyć moją pamięć i przypomnieć, co robiliście tego wieczoru?

– Pańska pamięć wymaga odświeżenia? – zapytał Micky z wyraźnym szyderstwem. – Mogę powiedzieć swój kawałek. Wyjechałem sprawdzić samochód. Kłopot ze sprzęgłem. Jechałem spory kawał. Z Drymouth na Minchin Hill przez Moor Road i z powrotem przez Ipsley. Niestety samochody są nieme, nie mogą składać zeznań.

Tina wreszcie odwróciła głowę. Patrzyła prosto na Micky'ego. Jej twarz nie wyrażała niczego.

– A pani, panno Argyle? Pracuje pani w bibliotece w Redmyn? – Tak. Jest zamykana o pół do szóstej. Zrobiłam trochę zakupów na High Street. Potem poszłam do domu. Mam mieszkanie – raczej mieszkanko – w Morecombe Mansions. Ugotowałam sobie kolację i spędziłam przyjemny wieczór słuchając płyt.

– Nie wychodziła pani wcale?

Przed jej odpowiedzią była mała pauza. – Nie, nie wychodziłam.

– Jest pani zupełnie pewna?

– Tak. Jestem pewna.

– Ma pani samochód, prawda?

– Tak.

– Ma terkotkę – wtrącił Micky. – Hałas i kłopot.

– Tak, mam terkotkę – powiedziała Tina, poważna i spokojna.

– Gdzie pani ją trzyma?

– Na ulicy. Nie mam garażu. W pobliżu bloku jest boczna uliczka. Wzdłuż niej parkują samochody.

– Więc nie może nam pani pomóc?

Sam nie mógł zrozumieć, dlaczego jest tak uparty.

– Nie sądzę, żebym miała coś do powiedzenia. Micky rzucił na nią szybkie spojrzenie. Huish westchnął.

– Obawiam się, że to nie pomoże panu wiele – rzekł Leo.

– Nigdy nie wiadomo, panie Argyle. Przypuszczam, że zauważył pan najdziwniejszą rzecz w całej sprawie?

– Ja?... Nie jestem pewien, że rozumiem, o co panu chodzi.

– Pieniądze – powiedział Huish. – Pieniądze, które pani Argyle podjęła z banku, razem z pięciofuntowym banknotem, na którym napisano: „Pani Bottleberry, 17 Bangor Road”. Mocnym argumentem oskarżenia było znalezienie przy Jacku Argyle w chwili aresztowania tego banknotu wraz z innymi. Przysięgał, że dostał te pieniądze od matki, ale pani Argyle powiedziała panu i pannie Vaughan, że nie dała Jackowi żadnych pieniędzy – skąd więc miał te pięćdziesiąt funtów? Nie mógł wrócić tutaj – zeznanie doktora Calgary wykazuje to jasno. Kto mu je dał? Pani?

– zwrócił się wprost do Kirsten Lindstrom, która zaczerwieniła się z oburzenia.

– Ja? Oczywiście, że nie. W jaki sposób zdołałabym to zrobić?

– Gdzie były trzymane pieniądze pani Argyle po przyniesieniu z banku?

– Zwykle trzymała je w szufladzie biurka.

– Zamknięte?

Kirsten zastanowiła się.

– Prawdopodobnie zamykała szufladę przed pójściem do łóżka.

Huish popatrzył na Hester.

– Czy wzięła pani z szuflady pieniądze i dała je swojemu bratu?

– Nie wiedziałam nawet, że tam są. I jak mogłabym to zrobić bez wiedzy mamy?

– Mogła to pani zrobić bardzo łatwo, kiedy matka poszła do biblioteki poradzić się ojca – zasugerował Huish.

Był ciekaw, czy uniknie pułapki. Wpadła prosto w nią.

– Ale Jacko już wyszedł. Ja... – przerwała skonsternowana.

– Widzę, że wiedziała pani, kiedy brat wyszedł.

Odparła szybko i gwałtownie.

– Ja... ja wiem to teraz, wtedy nie wiedziałam. Mówiłam, że byłam na górze w swoim pokoju. Nie słyszałam niczego. A w każdym razie nie chciałam dawać Jacko żadnych pieniędzy. – A ja mówię panu – rzekła Kirsten czerwona z oburzenia – że gdybym zamierzała dać mu pieniądze, dałabym mu własne. Nie musiałabym kraść!

– Jestem pewien, że nie – odparł Huish. – Widzi pani jednak, dokąd to nas prowadzi. Pani Argyle, wbrew temu, co powiedziała panu – spojrzał na pana Argyle – musiała dać mu te pieniądze sama.

– Myli się pan, Huish. Moja żona nigdy nie pozwalała sobie na krętactwa.

– Myślę, że tym razem zrobiła to – stwierdziła Gwenda. – Rzeczywiście musiała to zrobić... Jak nadinspektor mówi, jest to jedyne wyjaśnienie.

– Mimo wszystko – rzekł łagodnie Huish – musimy teraz spojrzeć na całą sprawę z innego punktu widzenia. W czasie aresztowania uważaliśmy, że Jacko kłamie. Obecnie odkryliśmy, że mówił prawdę o podwiezieniu przez doktora Calgary, więc przypuszczalnie mówił też prawdę o pieniądzach. Utrzymywał, że dała mu je matka. Zatem pewnie tak było.

Nastąpiła niezręczna cisza.

Huish wstał.

– Cóż, dziękuję państwu. Obawiam się, że ślad całkiem wystygł, ale nigdy nie wiadomo.

Leo odprowadził go do drzwi. Wróciwszy powiedział z westchnieniem:

- No, skończone. Przynajmniej na razie.
 - Na zawsze - rzekła Kirsten. - Nigdy się nie dowiedzą.
 - I co nam z tego przyjdzie? - krzyknęła Hester.
 - Moja droga - ojciec podszedł do niej. - Uspokój się, dziecko. Nie bądź tak napięta. Czas leczy wszystko.
 - Niektórych rzeczy nie. Co my zrobimy? Och! Co my zrobimy?
 - Chodź ze mną Hester - Kirsten położyła rękę na jej ramieniu.
 - Nie chcę nikogo - Hester wybiegła z pokoju. W chwilę później trzasnęły frontowe drzwi.
 - Coś podobnego! To wszystko nie wyjdzie jej na dobre - stwierdziła Kirsten.
 - A jednak nie sądzę, że to prawda - powiedział Philip w zamyśleniu.
 - Co nie jest prawdą? - spytała Gwenda.
 - To, że nigdy nie dowiemy się prawdy... Czuję to przez skórę.
- Na jego twarzy, podobnej do fauna i prawie złośliwej, pojawił się dziwny uśmieszek.
- Philipie, bądź ostrożny - poprosiła Tina.
 - Spojrzał na nią ze zdziwieniem.
 - A cóż ty możesz wiedzieć o tym, mała Tino?
 - Mam nadzieję - oświadczyła Tina wyraźnie i dobitnie - że ja nie wiem nic.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

I

- Nie sądzisz, że udało ci się coś wydobyć? - zapytał komisarz.
- Nic określonego, sir - odparł Huish. - A jednak czas nie został stracony.
- Posłuchajmy.
- Nasze zasadnicze terminy i fakty zgadzają się. Pani Argyle była żywa tuż przed siódmą, rozmawiała z mężem i Gwendą Vaughan, potem widziała ją córka Hester. Trzy osoby nie mogą być w zмовie. Jacko Argyle jest teraz wytłumaczony, więc to oznacza, że mógł zabić ją mąż w każdym momencie między siódmą a pół do ósmej, Gwenda Vaughan, wychodząc z domu pięć po siódmej, Hester chwilę przedtem, Kirsten Lindstrom, kiedy wróciła - tuż przed pół do ósmej. Powiedzmy, że paraliż daje alibi Durrantowi, ale alibi Mary Durrant opiera się na jego słowach. Jeżeli mąż był gotów jej pomóc, mogła zejść na dół między siódmą a pół do ósmej i zabić matkę. Niemniej nie wiem, dlaczego miałyby to zrobić. O ile się orientuję, to prawdziwy motyw zbrodni mają tylko dwie osoby: Leo Argyle i Gwenda Vaughan.
- Myślisz, że jedno z nich - a może oboje?
- Nie sądzę, żeby działali wspólnie. Uważam, że była to zbrodnia popełniona w afekcie, nie z premedytacją. Pani Argyle idzie do biblioteki, opowiada obojgu o groźbach Jacko i żądaniu pieniędzy. Później Leo Argyle schodzi, żeby porozmawiać z nią o synu, a może jeszcze o czymś. Dom jest spokojny, nikogo nie widać. Idzie do gabinetu. Żona jest tam, siedzi przy biurku, tyłem do niego. I leży rzucony pogrzebacz, którym Jacko groził matce. Tacy spokojni, zamknięci w sobie ludzie czasem się załamują. Bierze chusteczkę, żeby nie zostawić odcisków palców, podnosi pogrzebacz, opuszcza na jej głowę i... stało się. Wyciąga parę szuflad, żeby upozorować szukanie pieniędzy. Następnie wraca na górę i czeka, aż ktoś ją znajdzie. Albo przyjmijmy, że to Gwenda Vaughan po drodze zagląda do pokoju i wtedy odczuwa impuls. Jacko Argyle zostanie idealnym kozłem ofiarnym i droga do małżeństwa z Leo jest otwarta.
- Major Finney skinął głową z namysłem.
- Tak. Mogło tak być. I oczywiście byli na tyle ostrożni, żeby nie ogłaszać zaręczyn zbyt szybko. Nie zrobili tego przed skazaniem tego biedaka, Jacko. Tak, to wygląda dosyć prawdopodobnie. Zbrodnie bywają monotonne. Mąż i ta trzecia albo żona i ten trzeci - zawsze ten stary schemat. Ale co możemy z tym zrobić, Huish? Co zdołamy zrobić?
- Nie wiem, sir, co się da z tym zrobić. My możemy być pewni, ale gdzie są dowody? Nie ma nic do przedstawienia w sądzie.
- Rzeczywiście nic. Ale ty jesteś pewny, Huish? W twoim przekonaniu tak było?
- Nie jestem tak pewien, jakbym chciał - powiedział smutno nadinspektor.
- Ach! Dlaczego nie?
- Rodzaj człowieka, jakim on jest - to znaczy pan Argyle.

- Nie jest typem mordercy?
- Może to za dużo powiedziane, raczej nie należy do takich morderców. Jest jeszcze ten chłopiec. Nie wyobrażam sobie Argyle'a rozmyślnie wrabiającego syna.
- Pamiętaj, że to nie był jego syn. Nie musiał się o niego zbytnio troszczyć. Mógł czuć się nawet dotknięty uczuciem, jakim żona obdarzała chłopaka. - To możliwe. Jednak wydaje się, że lubi wszystkie dzieci. Ma dla nich wiele czułości.
- Oczywiście wiedział - rzekł Finney - że nie mogą chłopca powiesić. To jest jednak różnica.
- Może coś w tym jest, sir. Mógł myśleć, że dziesięć lat w więzieniu, do czego w praktyce sprowadza się wyrok dożywotniego więzienia, nie zrobi chłopcu krzywdy.
- A co z tą młodą kobietą - Gwendą Vaughan?
- Jeżeli ona to zrobiła, nie sądzę, żeby miała jakieś wyrzuty sumienia. Kobiety są bezlitosne.
- W każdym razie jesteś częściowo przekonany, że sprawa rozgrywa się między tą parą?
- Częściowo przekonany, tak.
- Nie więcej? - naciskał na niego major.
- Nie. Tam się coś dzieje. Można by powiedzieć: podskórnie.
- Wyjaśnij to, Huish.
- Chciałbym się dowiedzieć, co oni sami myślą o sobie. Jedni o drugich.
- Och, rozumiem cię teraz. Zastanawiasz się, czy oni sami wiedzą, kto to był.
- Tak. Nie potrafię się zdecydować. Czy wszyscy wiedzą? I zgodzili się utrzymać to w tajemnicy? Nie sądzę. Możliwe, że wszyscy mają odmienne pomysły. Jest tam Szwedka - kłębek nerwów. Po prostu na krawędzi wytrzymałości. Może tak być dlatego, że zrobiła to sama. Jest w wieku, w którym kobietom łatwo odbija. Może być przerażona ze względu na siebie albo z uwagi na kogoś innego. Mam wrażenie, może mylnie, że chodzi o drugą osobę.
- O Leo?
- Nie, ona chyba nie martwi się o niego. Sądzę, że to ta młoda, Hester.
- Hester? A jest szansa, że to dna?
- Pozornie nie ma motywu. Jednak jest typem porywczym, nawet lekko niezrównoważonym.
- A ta Lindstrom prawdopodobnie wie znacznie więcej o dziewczynie niż my.
- Tak. Jest tam jeszcze taka mała, ciemna, która pracuje w bibliotece hrabstwa.
- Nie było jej w domu tego wieczoru?
- Nie. Myślę jednak, że coś wie. Może nawet wie, kto to zrobił.
- Domyśla się czy wie?
- Jest zaniepokojona. Nie sądzę, że to wyłącznie domysły.
- Ciągnął dalej.
- Jest jeszcze drugi chłopak, Micky. Też nie było go tam, ale wyjechał samochodem, bez towarzystwa. Powiada, że sprawdzał wóz, jadąc w kierunku wrzosowisk i Minchin Hill. Mamy na to tylko jego słowo. Mógł przyjechać tu, wejść do domu, zabić ją i pojechać dalej. Gwenda Vaughan mówiła coś o samochodzie, który ją minął na początku prywatnej drogi. Stoi tam czternaście domów, więc mógł jechać do jednego z nich. Nikt nie będzie pamiętał tego po dwóch latach, niemniej oznacza to, że wóz mógł należeć do Micky'ego.
- Dlaczego miałyby zabić przybraną matkę?
- Nie znamy żadnego powodu, ale jakiś mógł istnieć.
- Kto może go znać?
- Oni wszyscy - rzekł Huish. - Ale nie powiedzą nam. Przynajmniej świadomie.
- Dostrzegam twoje diabelskie intencje. Nad kim zamierzasz popracować?
- Myślę, że nad tą Lindstrom. Gdybym umiał złamać jej obronę. Mam także nadzieję odkryć, czy ona sama żywiła urazę do pani Argyle. Jest jeszcze ten sparaliżowany facet. Philip Durrant - dodał. - A co z nim?
- Widzę, że zaczyna mieć jakieś pomysły. Nie sądzę, żeby chciał się nimi podzielić ze mną, ale podejrzewam, w jaki sposób rozumuje. To inteligentny człowiek i - rzekłbym - dobry obserwator. Mógł zauważyć parę ciekawych drobiazgów.

II

– Chodź, Tina, zaczerpniemy trochę powietrza.
 – Powietrza? – Tina popatrzyła na Micky’ego niepewnie. – Jest przecież tak zimno – wstrząsnęła się.
 – Ty zdaje się nie cierpisz świeżego powietrza, Tino. Dlatego możesz siedzieć w zamknięciu w bibliotece całymi dniami.
 Tina uśmiechnęła się.
 – Nie mam nic przeciw zamknięciu w zimie. W bibliotece jest bardzo przyjemnie i ciepło. Micky spojrział na nią.
 – I siedzisz tam wygodnie, jak mały kotek zwinięty przed kominkiem. Chodź Tino, chcę z tobą porozmawiać. Chcę złapać trochę powietrza w płuca, zapomnieć o tej cholernej sprawie z policją.
 Tina wstała z krzesła w leniwy, pełen wdzięku sposób, istotnie przypominając kotka, do którego porównał ją Micky.
 W hallu owinęła się tweedowym płaszczem z futrzanym kołnierzem i wyszli.
 – Nie zamierzasz nawet włożyć płaszcza, Micky?
 – Nie. Nigdy nie jest mi zimno.
 – Brr – Tina zadrżała. – Nienawidzę tego kraju w zimie. Chciałabym wyjechać za granicę. Być gdzieś, gdzie zawsze świeci słońce, powietrze jest wilgotne, łagodne i ciepłe.

– Właśnie zaproponowano mi pracę w Zatoce Perskiej – rzekł Micky. – W jednym z towarzystw naftowych. Zajęcie ma polegać na opiekowaniu się transportem samochodowym.
 – Jedziesz?
 – Nie, nie zamierzam.. Co w tym dobrego?
 Okrażyli dom i ruszyli krętą ścieżką między drzewami, prowadzącą do plaży nad rzeką. W połowie drogi stała mała altana, dająca schronienie przed wiatrem. Nie usiedli zaraz, tylko stali przed nią, podziwiając widok za rzeką.
 – Pięknie tutaj, prawda? – zapytał Micky.
 Tina przyglądała się bez zainteresowania.
 – Tak – odparła. – Zapewne.
 – Ale tak naprawdę nie wiesz? – spytał patrząc na nią ciepło. – Nie masz poczucia piękna, Tino. Nigdy nie miałaś.
 – Nie przypominam sobie, żebyś ty, przez wszystkie lata, kiedy mieszkaliśmy tutaj, cieszył się pięknem tego miejsca. Zawsze byłeś rozdrażniony i pragnąłeś wrócić do Londynu.
 – To było coś innego. Nie należałem do tego miejsca. – I o to chodzi. Nie należysz nigdzie.
 – Nie należę nigdzie – rzekł Micky trochę nieprzytomnie. – Może to i prawda. Mój Boże, Tina, co za przerażająca myśl. Pamiętasz tę starą piosenkę? Śpiewała ją nam Kirsten. Coś o gołąbce. „O piękna gołąbko, o słodka gołąbko, gołąbko o białej piersi”. Pamiętasz?
 Tina potrząsnęła głową.
 – Może śpiewała ją tobie, ale ja nie pamiętam. Micky ciągnął dalej, na pół mówiąc, na pół nucąc: „O najdroższa dziewczyno, nie ma mnie tu. Nie mam miejsca ani domu. Nie mieszkam na morzu ani na lądzie. Tylko w sercu twoim”. Spojrzął na Tinę. – To mogłaby być prawda.
 Tina położyła drobną rękę na jego ramieniu.
 – Chodź, Micky, usiadźmy tutaj. Nie ma tu wiatru. Nie będzie tak zimno. Kiedy usłuchał jej, ciągnęła:
 – Musisz być zawsze taki nieszczęśliwy?
 – Dziewczyno, nie jesteś w stanie niczego zrozumieć. – Rozumiem sporo. Dlaczego nie możesz zapomnieć o niej?
 – O kim? O czym ty mówisz?
 – O twojej matce.
 – Zapomnieć o niej! – powiedział Micky z goryczą. – Jakby była jakaś możliwość po tym ranku, po tych wszystkich pytaniach. Jeżeli ktoś został zamordowany, nie pozwolą ci „zapomnieć o niej”!

- Nie miałam na myśli tej sprawy. Chodziło mi o twoją prawdziwą matkę.
- Dlaczego miałbym myśleć o niej? Nienawidziłem jej od czasu, kiedy miałem sześć lat.
- Ale stale o niej myślałeś.
- Powiedziałem ci kiedyś o tym?
- Czasami wie się o takich rzeczach.
- Micky odwrócił się i popatrzył na nią.
- Jesteś takim spokojnym, łagodnym stworzonkiem, Tino. Jak czarny kotek. Chciałbym pogłaskać twoje futerko. Dobra kicia. Śliczna, mała kicia! - pogładził rękaw jej płaszczka.
- Tina, siedząc spokojnie, uśmiechnęła się do niego, kiedy to robił.
- Czy nienawidziłaś jej, Tino? Wszyscy inni nienawidzili jej.
- To bardzo nieładnie - powiedziała Tina.
- Potrząsnęła głową i ciągnęła energicznie:
- Pomyśl, co ci dała, wszystkim wam. Dom, serdeczność, życzliwość, dobre jedzenie, zabawki, ludzi, którzy opiekowali się tobą i chronili cię...
- Tak, tak - odparł Micky niecierpliwie. - Spodeczki ze śmietanką i dużo głaskania. To wszystko, czego potrzebujesz, mała kiciu?
- Byłam jej wdzięczna - rzekła Tina. - Żadne z was nie czuło wdzięczności.
- Nie rozumiesz, Tino, że człowiek nie może być wdzięczny dlatego, że tak trzeba? To jeszcze gorsze czuć się zobowiązanym do wdzięczności. Nie chciałem znaleźć się tu. Nie pragnąłem tego luksusowego otoczenia. Nie chciałem, żeby mnie zabrano z mojego własnego domu.
- Mogli cię zbombardować. Mogłeś nawet zostać zabity.
- No i co z tego? Nie musiałbym zginąć. Ale zostałbym zabity u siebie, otoczony moją rodziną. W miejscu, do którego należałem. Więc widzisz. Wróciliśmy znowu do tego. Nie ma nic gorszego, niż być wyobcowanym. Ale ty, mała kotko, troszczysz się jedynie o rzeczy materialne.
- Może i jest w tym prawda. Może właśnie dlatego nie lubiłam was. Nie rozumiałam tej dziwnej urazy, jaką zdawałeś się zawsze odczuwać. Było mi łatwo być wdzięczną, ponieważ nigdy nie chciałam być sobą. Nie chciałam być tym, czym byłam. Pragnęłam uciec od siebie, zostać kimś innym. A ona zrobiła mnie inną osobą. Stałam się Christiną Argyle, posiadającą dom i miłość. Bezpieczeństwo. Pewność. Kochałam mamę, ponieważ dała mi te wszystkie rzeczy.
- A co z twoją własną matką? Nie myślałaś nigdy o niej?
- Po co? Ledwie ją pamiętałam. Kiedy przyszedłam tu, miałam zaledwie trzy lata. U niej byłam zawsze przestraszona, przerażona. Te wszystkie głośne kłótnie z marynarzami. Teraz, kiedy jestem dostatecznie dorosła, by rozumieć, sądę, że musiała być prawie stale pijana - Tina mówiła obojętnie. - Nie myślałam o niej ani nie wspominałam jej. Moją matką była pani Argyle. To jest mój dom.
- To takie proste dla ciebie, Tino.
- A czemu jest trudne dla ciebie? Ponieważ stworzyłeś to sobie. To nie pani Argyle nienawidziłaś, tylko swojej własnej matki. Wiem, że to, co mówię, jest prawdą. I jeśli zabiłaś panią Argyle, a mogłeś to zrobić, to chciałeś zabić własną matkę.
- Tina! O czym, u diabła, mówisz?
- A teraz - ciągnęła Tina spokojnie - nie masz już nikogo, kogo mógłbyś nienawidzić. I to sprawia, że jesteś zupełnie samotny. Ale musisz nauczyć się żyć bez nienawiści. Może to być trudne, ale musisz tego dokonać.
- Nie wiem, o czym mówisz. Co chcesz powiedzieć przez to, że mogłem ją zabić? Wiesz dobrze, że tego dnia nie było mnie w pobliżu domu. Sprawdzałem samochód klienta na Moor Road, przy Minching Hill.
- Naprawdę? - spytała Tina.
- Wstała i przesunęła się naprzód, stając w punkcie widokowym, skąd mogli widzieć płynącą niżej rzekę.
- Do czego chcesz dojść, Tino? - Micky poszedł za nią.
- Tina wskazała na plażę.
- Kim są ci ludzie tam w dole? Micky rzucił przelotne spojrzenie.
- Chyba Hester i ten jej doktor - odparł. - Ale Tino, co miałaś na myśli? Na miłość boską, nie stawaj na samej krawędzi.
- Dlaczego - czy chcesz mnie zepchnąć? Dałbyś radę. Jestem bardzo drobna.

Micky powiedział ochryple:

– Czemu mówisz, że mogłem być tutaj tamtego wieczoru?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i zaczęła iść ścieżką w stronę domu.

– Tina!

Tina odrzekła spokojnym, cichym głosem:

– Martwię się, Micky. Bardzo się martwię o Hester i Dona Craiga.

– Mniejsza o Hester i jej przyjaciela.

– Ale ja martwię się o nich. Obawiam się, że Hester jest bardzo nieszczęśliwa.

– Nie rozmawiamy o nich.

– Ja o nich mówię. Dla nich to ma znaczenie.

– Ty wierzysz cały czas, Tino, że byłem tutaj tego wieczoru, gdy matka została zabita?

Tina nie odpowiedziała.

– Wtedy nic nie mówiłaś.

– Po co miałabym mówić? Nie było potrzeby. Było jasne, że zabił ją Jacko.

– A teraz jest równie jasne, że Jacko jej nie zabił?

Tina skinęła głową.

– A więc? – spytał Micky. – Więc?

Nie odpowiedziała mu, tylko nadal szła ścieżką do domu.

III

Na małej plaży przy punkcie widokowym Hester rozgarniała piasek czubkiem buta.

– Nie wiem, o czym tu można rozmawiać – rzekła. – Musisz pomówić o tym.

– Nie wiem. Dlaczego... Omawianie pewnych spraw nigdy nie wychodzi na dobre. – Mogłabyś w końcu powiedzieć mi, co zaszło tego ranka.

– Nic – odparła Hester.

– Co to znaczy: nic? Przyszła policja, prawda?

– O tak, przyszli.

– Zadawali zatem wam wszystkim pytania?

– Tak. Zadawali.

– Jakie pytania?

– Zwyczajne. Naprawdę takie same jak przedtem. Gdzie byliśmy i co robiliśmy, i kiedy ostatni raz widzieliśmy matkę żywą. Słuchaj, Don, nie chcę mówić więcej na ten temat. To już minęło.

– Ale to nie minęło, najdroższa. W tym rzecz.

– Nie rozumiem, dlaczego musisz robić tyle szumu. Ty nie jesteś w to zamieszany.

– Chcę ci pomóc, kochanie. Nie rozumiesz tego?

– Gadanie o tym nie pomaga mi. Po prostu chcę zapomnieć. Gdybyś pomógł mi zapomnieć, to byłoby co innego.

– Hester, najdroższa, niedobrze jest uciekać przed problemami. Musisz stanąć z nimi twarzą w twarz.

– Stałam z nimi twarzą w twarz – jak to mówisz – cały ranek.

– Hester, kocham cię, wiesz o tym?

– Przypuszczam, że tak.

– Co masz na myśli mówiąc „przypuszczam”?

– Wciąż się kręcisz wokół tego tematu.

– Ale ja muszę to robić.

– Nie wiem czemu. Nie jesteś policjantem.

– Kto był ostatnią osobą, która widziała matkę żywą?

– Ja – odparła Hester.

– Wiem. To było tuż przed siódmą, zanim wyszłaś, żeby spotkać się ze mną.

– Tuż przed wyjazdem do Drymouth, do teatru.

– Tak. Ja byłem w teatrze, prawda?

– Oczywiście, że byłeś.

– Wiedziałaś już wtedy, że cię kocham?

– Nie byłam pewna. Nie byłam wtedy nawet pewna, że ja zaczynam cię kochać.

– Nie miałaś powodu, nawet najmniejszego powodu, żeby usunąć matkę.

– Nie, prawdziwego powodu nie miałam.

– Co rozumiesz przez słowo „prawdziwego”?

– Często myślałam o zabiciu jej – powiedziała Hester rzeczowym tonem. – Czasami – dodała – śniłam o tym, że ją zabijam.

– W jaki sposób zabijałaś ją we śnie?

Na chwilę Don Craig przestał być kochankiem, a stał się zainteresowanym sprawą młodym lekarzem.

– Czasami strzelałam do niej – oświadczyła Hester pogodnie – a czasem rozbijałam jej głowę.

Doktor Craig jęknął.

– To były tylko sny. Często miewam straszne sny.

– Słuchaj, Hester – młody człowiek ujął jej rękę. – Musisz powiedzieć mi prawdę. Musisz mi zaufać.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Prawdę, Hester. Chcę prawdy. Kocham cię i stanę obok ciebie. Jeżeli zabiłaś ją, myślę, że potrafię znaleźć powody. Nie sądzę, żeby to była twoja wina. Pojmujesz? Na pewno nigdy nie pójde na policję. To zostanie tylko między tobą i mną. Nikt więcej nie będzie cierpiał. Cała sprawa umrze z braku dowodów. Muszę jednak znać prawdę – powiedział te słowa z naciskiem.

Hester patrzyła na niego. Jej oczy były szeroko otwarte, ale prawie niewidzące.

– Co mam ci powiedzieć? – spytała.

– Chcę, żebyś mi powiedziała prawdę.

– Uważasz, że znasz już prawdę, co? Uważasz, że ją zabiłam. – Hester, kochanie, nie patrz tak na mnie – wziął ją za ramiona i potrząsnął nią delikatnie. – Jestem lekarzem. Znam przyczyny, kryjące się za tymi sprawami. Wiem, że ludzie nie zawsze są odpowiedzialni za swoje czyny. Znam ciebie, wiem, że jesteś słodka, urocza i w zasadzie w porządku. Pomogę ci. Zajmę się tobą. Pobierzemy się, potem będziemy szczęśliwi. Nigdy nie będziesz się czuła zagubiona, niepotrzebna, tyranizowana. To, co robimy, wynika często z powodów niezrozumiałych dla innych ludzi.

– To bardzo podobne do tego, co mówiliśmy o Jacko.

– Mniejsza o Jacko. Myślę o tobie. Tak bardzo cię kocham, Hester, ale muszę znać prawdę.

– Prawdę?

Leniwy, drwiący uśmiech rozszerzył jej usta.

– Proszę cię, kochanie.

Hester odwróciła się i spojrzała w górę.

– Gwenda mnie woła. Pora na lunch.

– Hester!

– Uwierzyłbyś mi, gdybym cię zapewniła, że nie zabiłam jej?

– Oczywiście, że... że uwierzyłbym.

– Nie sądzę – powiedziała Hester.

Odwróciła się od niego gwałtownie i zaczęła biec ścieżką. Zrobił ruch, jakby chciał pobiec za nią, ale zaniechał tego.

– Do diabła – rzekł. – Do diabła!

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Nie chcę jeszcze jechać do domu – powiedział Philip Durrant z gniewnym rozżaleniem.

– Ależ, Philipie, nie ma tu po co zostawać dłużej. Sądziłam, że pojedziemy spotkać się z panem Marshalllem i poczekamy na policyjne przesłuchanie. Teraz nic nas nie zatrzymuje.

– Myślę, że twój ojciec będzie szczęśliwy, jeśli zatrzymamy się trochę. Lubi mieć kogoś do grania w szachy wieczorami. Daję słowo, jest czarodziejem szachów. Sądziłem, że gram nieźle, ale nigdy nie mogę go pobić.

– Ojciec może znaleźć kogoś innego do gry w szachy.

– Co – gwizdnie na kogoś z Kobiecego Instytutu?

– W każdym razie powinniśmy jechać do domu. Jutro jest dzień pani Carden, dzień czyszczenia mosiądzów.

– Polly, żona doskonała! – zaśmiał się Philip. – Tak czy owak pani Jakaśtam może sobie czyścić mosiadze bez ciebie, prawda? A jeśli nie może, pošlij jej telegram, żeby pozwoliła próchnieć im jeszcze tydzień.

– Nie rozumiesz, Philipie, trudności związanych z prowadzeniem domu.

– Nie widzę żadnych trudności, chyba że ty je stwarzasz. W każdym razie ja zostaję tutaj.

– Och, Philip – powiedziała Mary z irytacją – nienawidzę tego domu.

– Ależ dlaczego?

– Tu jest tak ponuro, tak nieprzyjemnie i w dodatku wszystko zdarzyło się tu. To morderstwo i tak dalej.

– Słuchaj, Polly, nie opowiadaj mi, że jesteś kłębkim nerwów z powodu tych zdarzeń. Jestem pewien, że mogłabyś popełnić morderstwo bez mrugnięcia okiem. Nie, ty chcesz do domu, ponieważ chcesz zobaczyć mosiadze i odkurzać mieszkanie, i upewnić się, że mole nie dobrały się do twego futra...

– Mole nie dostają się do futer w zimie.

– Wiesz, co mam na myśli, Polly. Ogólną ideę. Popatrz jednak, z mojego punktu widzenia jest tu znacznie bardziej interesująco.

– Bardziej interesująco, niż być we własnym domu? – w głosie Mary brzmiało zaskoczenie i uraza.

Philip rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Przepraszam, kochanie. Nie ma nic przyjemniejszego niż nasz dom i urządziłaś go naprawdę ślicznie. Wygodny, czysty, czarujący. Widzisz, byłoby zupełnie inaczej, gdybym... gdybym był taki jak dawniej. Mam na myśli, że miałbym przez cały dzień mnóstwo pracy. Siedziałbym po uszy w projektach. I byłoby wspaniale wracać do ciebie i do naszego domu i rozmawiać o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu dnia. Ale widzisz, wszystko jest inaczej.

– Och, wiem, że jest inaczej. Nie myśl, że kiedykolwiek zapomnę o tym. Martwię się. Martwię się okropnie.

– Wiem – odparł Philip z zaciśniętymi zębami. – Za bardzo się przejmujesz, Mary. Tak bardzo, że czasem czuję się jeszcze gorzej. Wszystko, czego mi trzeba, to rozrywka i – podniósł rękę – nie, nie mów mi, że mogę mieć rozrywkę bawiąc się układankami i gadżetami do terapii zajęciowej, przyjmowaniem ludzi i czytaniem książek bez końca. Czasami rozpaczliwie pragnę wbić w coś zęby! A tu, w tym domu, jest coś, w co mógłbym się wgryźć.

– Philip – Mary złapała oddech – wciąż jeszcze pleciesz o tych... o tych twoich pomysłach?

– Zabawa w Polowanie na Mordercę? – spytał Philip.

– Kto zabił? Tak, Polly, nie mylisz się zbyt. Uparcie chcę wiedzieć, kto to zrobi!

– Ale czemu? I skąd możesz się dowiedzieć? Jeżeli ktoś włamał się albo znalazł drzwi otwarte...

– Wciąż gadanie o przybyszu z zewnątrz? – spytał Philip. – To nie wytrzymuje krytyki. Stary Marshall robi dobrą minę do złej gry. Rzeczywiście pomaga nam zachować twarz. Nikt nie wierzy w tę piękną teorię. Nie jest prawdziwa.

– Więc jeśli to nie jest prawda – przerwała mu Mary – jeśli to nie jest prawda, jeśli to był, jak twierdzisz, ktoś z nas – to ja nie chcę wiedzieć. Po co nam ta wiedza? Czy nie jest sto razy lepiej nie wiedzieć?

Philip Durrant popatrzył na nią badawczo.

– Chowasz głowę w piasek, co, Polly? Nie jesteś z natury ciekawa?

– Mówię ci, że nie chcę wiedzieć! Uważam, że to wszystko jest straszne. Chcę zapomnieć i nie myśleć o tym.

– Nie troszczyłaś się o matkę na tyle, żeby obchodziło cię, kto ją zabił?

– Co dobrego przyjdzie z tej wiadomości? Przez dwa lata zupełnie wystarczało nam, że zabił ją Jacko.

– Tak – rzekł Philip. – W ten śliczny sposób wszyscy byliśmy usatysfakcjonowani.

Żona spojrzała na niego niepewnie.

– Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

– Nie widzisz, Polly, że to jest dla mnie wyzwanie? Wyzwanie dla mojej inteligencji? Nie chodzi o to, że odczułem bardzo silnie śmierć twojej matki ani że ją szczególnie lubiłem. Bynajmniej. Robiła, co mogła, żeby powstrzymać cię

przed wyjściem za mnie, ale nie żywiłem do niej urazy, ponieważ udało mi się zdobyć ciebie. Czy nie tak, dziewczyno? Nie, to nie jest żądza zemsty, nie jest nawet potrzeba sprawiedliwości. Sądzę, że to głównie ciekawość, choć może istnieje też lepsza przyczyna. – To taka sprawa, do której nie powinieneś wścibiać nosa – rzekła Mary. – Nic dobrego nie wyjdzie z twojego węszenia. Och, Philip, proszę, proszę, nie rób tego. Jedźmy do domu i zapomnijmy o tym.

– Cóż, potrafisz mnie wywieźć, dokąd zechcesz, prawda? Ale ja chcę tu zostać. Nie możesz zrobić dla mnie czasem tego, co ja chce?

– Chce, żebyś miał wszystko na świecie, czego pragniesz.

– Nie myślisz tego naprawdę, kochanie. Chcesz tylko troszczyć się o mnie jak o niemowlę i wiedzieć, co jest najlepsze dla mnie każdego dnia i na wszelkie sposoby – roześmiał się.

– Nigdy nie wiem, kiedy mówisz poważnie – powiedziała Mary niepewnie.

– A poza ciekawością, ktoś powinien odkryć prawdę.

– Dlaczego? Co komu z tego przyjdzie? Jeszcze ktoś zostanie wsadzony do więzienia. Uważam, że to okropny pomysł.

– Nie całkiem rozumiesz – rzekł Philip. – Nie powiedziałem, że chciałbym oddać mordercę (kimkolwiek on jest) w ręce policji. Nie sądzą, że chciałbym tego. To zależy rzecz jasna od okoliczności. Prawdopodobnie nie byłoby żadnego pożytku z mojego zwrócenia się do policji, ponieważ pewnie nie byłoby żadnego prawdziwego dowodu.

– Więc jeżeli nie ma prawdziwego dowodu – spytała Mary – jak zamierzasz coś odkryć?

– Istnieje wiele sposobów odkrywania takich rzeczy, poznawania ich z całą pewnością i dokładnie. I sądzą, że to stanie się konieczne. Sprawy w tym domu nie idą dobrze, a wkrótce mogą się pogorszyć.

– Co masz na myśli?

– Nie zauważyłaś niczego. Polly? Co z twoim ojcem i Gwendą Vaughan?

– Co takiego? Dlaczego ojciec chce ożenić się znowu w tym wieku...

– Potrafię to zrozumieć. Mimo wszystko miał dosyć przykre doświadczenia w małżeństwie. Teraz ma szansę na prawdziwe szczęście. Jesienne szczęście, jeśli wolisz, ale może je osiągnąć. Albo – powiedzmy – mógł. Sprawy między nimi nie zmiierzają teraz ku niczemu dobremu. .

– Przypuszczam, że cała ta historia...

– Właśnie. Cała ta historia. Rozdziela ich z każdym dniem coraz bardziej. Mogą być tego dwa powody. Podejrzewanie lub wina.

– Podejrzewanie... kogo?

– No, powiedzmy, wzajemne. Albo też podejrzenie z jednej strony i świadomość winy z drugiej, i vice versa, jak wolisz.

– Nie, Philip, kołujesz mnie. Nagle Mary ożywiła się lekko:

– Myślisz więc, że to Gwenda? Może masz rację. Och, to byłoby błogosławieństwo.

– Biedna Gwenda. Uważasz tak, ponieważ ona jest spoza rodziny?

– Tak – potwierdziła Mary. – To nie byłby nikt z nas.

– I tylko to cię obchodzi? Jak to wpłynie na nas?

– Oczywiście.

– Oczywiście, oczywiście – rzekł Philip z gniewem. – Kłopot z tobą, Polly, polega na tym, że nie masz wyobraźni. Nie potrafisz postawić się na miejscu innej osoby.

– Po co miałabym to robić? – spytała Mary.

– Tak, po co? – powtórzył Philip. – Gdybym był szczery, powiedziałbym, że dla zabicia czasu. Potrafię się jednak postawić na miejscu twojego ojca albo Gwendy. Jeżeli są niewinni, jakie piekło muszą przechodzić. Jakie piekło dla Gwendy nagle być trzymaną na dystans. Wiedzieć w głębi serca, że nie będzie mogła poślubić mężczyzny którego przecież kocha. A potem postaw się w sytuacji ojca. Nie potrafi przestać myśleć, że kobieta, którą kocha, miała sposobność popełnienia morderstwa i miała też motyw. Ma nadzieję, że ona tego nie zrobiła, myśli, że nie zrobiła, ale nie ma pewności. I – co więcej – nigdy nie będzie pewny.

– W jego wieku... – zaczęła Mary.

– Och, w jego wieku, w jego wieku – zniecierpliwiał się Philip. – Nie zdajesz sobie sprawy, że to jest gorsze dla mężczyzny w tym wieku? To ostatnia miłość w jego życiu. Wątpliwe, żeby jeszcze miał inną. Taka miłość jest głęboka. A patrząc z innego punktu widzenia, może Leo wyszedł z mgieł i cieni zamkniętego świata, w którym prowadził życie tak długo. Może to on zabił żonę? Można odczuwać prawie współczucie dla biedaka, prawda? To nie znaczy – dodał w zadumie – że naprawdę widzę oczami duszy jego, robiącego coś takiego. Ale niewątpliwie policja właśnie tak to sobie wyobraża. A teraz. Polly, słucham twojej opinii. Kto to zrobił według ciebie?

– Skąd mam wiedzieć?

– Cóż, możliwe, że nie wiesz. Mogłabyś mieć jednak dobry pomysł, gdybyś się zastanowiła.

– Mówię ci, że odmawiam kategorycznie myślenia o tej sprawie.

– Ciekaw jestem, dlaczego... Czy to awersja? A może dlatego, że już wiesz? Może w twoim spokojnym, chłodnym umyśle jesteś zupełnie pewna... Tak pewna, że nie chcesz zastanawiać się nad tym, nie chcesz powiedzieć nawet mnie? Czy to Hester masz na myśli?

– Dlaczego, na miłość boską, Hester miałyby zabijać mamę?

– Nie ma prawdziwych powodów? – rzekł Philip zadumany. – Cóż, czyta się o takich wypadkach. Syn lub córka, troskliwie wychowywani, rozpieszczani... i nagle zdarza się drobna rzecz. Kochający rodzice nie chcą wybulić na kino czy kupić nowej pary butów albo każą wrócić z randki do dziesiątej godziny. To może nie być nic ważnego, ale wydaje się kończyć uprzednio ułożony łańcuch zdarzeń i nagle młody człowiek dostaje szału, chwyta młotek, siekierę czy pogrzebacz i to jest koniec. Zawsze trudno to wyjaśnić, ale to się zdarza. Jest to kulminacja długiego okresu tłumienia buntu. To jest szablon, który pasuje do Hester. Jeżeli chodzi o nią, kłopot polega na tym, że nikt nie wie, co się dzieje w tej ładnej główce. Jest słaba i dlatego czuje się urażona. A twoja matka była taką osobą, która uświadamiała jej tę słabość. Tak – powiedział Philip nachylając się do przodu z ożywieniem – uważam, że można by z tego wykombinować niezłą sprawę dla Hester.

– Och, przestań mówić o tym! – krzyknęła Mary.

– Och, przestanę – odparł Philip. – Gadanie nie doprowadzi mnie do niczego. A może? Ostatecznie każdy decyduje w myśli, jaki mógłby być schemat morderstwa i przykłada ten schemat do różnych ludzi, związanych ze sprawą. A potem, kiedy już odkryjesz, jak to musiało być zrobione, zaczynasz zastawiać swoje małe pułapki i patrzeć, czy ludzie wpadają w nie.

– W domu były tylko cztery osoby. Mówisz tak, jakby było pół tuzina albo jeszcze więcej. Zgadzam się z tobą, że ojciec nie mógłby zapewne tego zrobić i że to absurd myśleć, iż Hester mogła mieć prawdziwy powód do popełnienia takiego czynu. Zostaje więc Kirsty albo Gwenda.

– Którą z nich wolisz? – zapytał Philip z lekką złośliwością w głosie.

– Naprawdę nie umiem wyobrazić sobie Kirsty robiącej coś takiego. Zawsze była taka cierpliwa i łagodna. Całkowicie oddana matce. Przypuszczam, że mogłaby nagle zwariować. Słyszy się o takich wypadkach, ale ona nigdy nie wydawała się dziwna.

– Nie. Powiedziałbym, że Kirsty jest bardzo normalną kobietą, taką, która chciałaby mieć normalne kobiece życie. W pewien sposób jest tym samym typem co Gwenda, tylko Gwenda jest przystojna i atrakcyjna, a biedna, stara Kirsty wygląda tak zwyczajnie jak bułeczka z rodzynkami. Nie sędzę, żeby jakiś mężczyzna spojrział na nią dwa razy. Ale ona musi ich lubić. Na pewno chciała zakochać się i wyjść za męża. To okropna rzecz urodzić się kobietą, a przy tym kobietą pospolitą i nieładną, zwłaszcza jeżeli nie jest to wyrównane przez szczególne uzdolnienia lub rozum. Prawdę mówiąc, została tu za długo. Powinna była wyjechać po wojnie i uprawiać dalej swój zawód masażystki. Mogła poderwać jakiegoś zamożnego, starszego pacjenta.

– Jesteś taki jak wszyscy mężczyźni. Wydaje ci się, że kobiety myślą tylko o zamążpójściu.

Philip uśmiechnął się szeroko.

– Wciąż uważam, że dla wszystkich kobiet to jest najważniejsze. Przy okazji, Tina nie ma żadnych chłopaków?

– O ile wiem, nie. Ale ona nie mówi dużo o sobie.

– Jest spokojna, cichą myszką, prawda? Nie jest zbyt ładna, ale pełna wdzięku. Zastanawiam się, co wie o tej sprawie.

– Nie sądzę, żeby coś wiedziała.

– Naprawdę? – spytał Philip. – A ja myślę, że tak.

– Och, wymyślasz sobie różne rzeczy.

– Niczego nie wymyślam. Wiesz, co powiedziała? Że ma nadzieję, iż nie wie o niczym. Dziwny sposób wyrażania się. Założyłbym się, że ona coś wie.

– Co takiego?

– Może to jest coś, co się wiąże ze sprawą, ale sama nie wie, czego to dotyczy. Mam nadzieję wydostać to z niej.

– Philip!

– To nieładnie, Polly. Mam cel w życiu. Wy tłumaczyłem sobie, że w publicznym interesie leży, żebym się zabrał do tego. Od czego zacznę? Myślę, że od Kirsty. To nieskomplikowane stworzenie.

– Chcę – och, jak bardzo chcę, żebyś zostawił ten zwariowany pomysł i żebyśmy pojechali do domu. Byliśmy tacy szczęśliwi. Wszystko szło tak dobrze... – jej głos załamał się, kiedy się odwróciła.

– Polly! – Philip był zaniepokojony. – Naprawdę tak myślisz? Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś tak bardzo zdenerwowana.

Mary obróciła się nagle i z nadzieją zajrzała mu w oczy.

– Więc wrócisz do domu i zapomnisz o tym wszystkim?

– Nie mogę o tym zapomnieć – rzekł Philip. – Chciałbym tylko nadal kombinować, zgadywać i myśleć. W każdym razie, Mary, zostanemy tu do końca tygodnia, a potem... zobaczymy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Nie masz nic przeciw temu, żebym trochę tu został, tatusiu? – zapytał Micky.

– Na pewno nie. Jestem uradowany. Czy z twoją firmą wszystko w porządku?

– Tak – odparł Micky. – Zadzwoiłem do nich. Nie muszę wracać do końca tygodnia. Zachowali się bardzo przyzwoicie. Tina też zostanie przez weekend – dodał.

Podszedł do okna, wyjrzał, przeszedł przez pokój z rękami w kieszeniach, patrząc na półki z książkami. Odezwał się urywanym, zakłopotanym głosem.

– Wiesz, tatusiu, doceniam wszystko, co zrobiliście dla mnie. Tylko że ostatnio przekonałem się... przekonałem się, jak bardzo byłem zawsze niewdzięczny.

– Nigdy nie istniała kwestia wdzięczności – rzekł Leo. – Jesteś moim synem, Micky, zawsze cię uważałem za syna.

– Masz dziwny sposób traktowania syna. Nigdy nie usiłowałeś narzucać mi swojej woli.

Leo uśmiechnął się swoim słabym, dalekim uśmiechem.

– Naprawdę uważasz, że to jedyna funkcja ojca? Rządzić swoimi dziećmi?

– Nie – odparł Micky – chyba nie – ciągnął pośpiesznie. – Byłem cholernym głupcem. Tak. Cholernym głupcem. To jest na swój sposób komiczne. Wiesz, co chciałbym robić, co zamierzam zrobić? Wziąć pracę w towarzystwie naftowym w Zatoce Perskiej. Właśnie do tego namawiała mnie mama – towarzystwo naftowe. Ale mnie się ani śniło! Pofrunąłem na własną rękę.

– Byłeś w takim wieku, kiedy chce się wybierać samemu i nienawidziłeś myśli, że ktokolwiek mógłby decydować za ciebie. Zawsze byłeś taki, Micky. Jeżeli chcieliśmy kupić ci czerwony sweter, ty upierałeś się, że chcesz niebieski, ale prawdopodobnie cały czas marzyłeś o czerwonym.

– To prawda – powiedział Micky śmiejąc się. – Zawsze byłem niezadowolony.

– Tylko młody. Po prostu bawiłeś się. Obawiałeś się uzdy, siodła, kontroli. Wszyscy to czujemy w pewnym okresie swego życia, ale na koniec przytomniejemy.

– Tak, chyba tak.

– Jestem bardzo zadowolony, że masz taki pomysł. Nie sądzę, że praca sprzedawcy samochodów jest dla ciebie wystarczająca. Nie jest zła, ale nie ma przyszłości.

– Lubię samochody – rzekł Micky. – Lubię wydobywać z nich to, co najlepsze. Potrafię porozmawiać o nich, kiedy muszę. Gadu, gadu, te wszystkie uprzejme kawałki, ale to, do diabła, nie sprawia radości. Ta praca jest związana z transportem samochodowym. Kontrolowanie napraw samochodowych. Dosyć ważne stanowisko.

– Wiesz, że w każdej chwili mógłbyś finansować się sam, kupić sobie takie przedsiębiorstwo, jakie uważałbyś za odpowiednie. Wiesz o funduszu powierniczym. Jestem uprawniony do zaaprobowania każdej potrzebnej sumy pod warunkiem, że szczegóły przedsięwzięcia są znane i możliwe do przyjęcia. Moglibyśmy zasięgnąć opinii eksperta w tej sprawie. Ale pieniądze są gotowe, jeśli zechcesz.

– Dziękuję, tatusiu, ale nie chciałbym cię naciągać.

– To nie jest kwestia naciągania, Micky, to są twoje pieniądze. Ostatecznie zapisane tobie, we wspólnocie z innymi. Wszystko, co ja mam, to moc dysponowania: kiedy i jak. To nie są moje pieniądze i ja nie daję ich tobie. Są twoje. – Naprawdę to pieniądze mamy.

– Trust został założony wiele lat temu.

– Nie chcę ich! Nie chcę ich dotknąć! Nie potrafiłbym! W tej sytuacji nie mógłbym – zacerwienił się nagle, spotkawszy spojrzenie ojca. Powiedział niepewnie:

– Niezapełnie to chciałem powiedzieć.

– Dlaczego nie możesz ich dotknąć? – spytał Leo. – Zaadoptowaliśmy ciebie. To znaczy, że wzięliśmy na siebie pełną odpowiedzialność finansową i inną. Umowa mówiła, że wychowamy cię jako naszego syna i stosownie wyposażymy.

– Chciałbym stanąć na własnych nogach – powtórzył Micky.

– Tak. Rozumiem cię... Dobrze zatem, ale pamiętaj,

Micky, gdybyś zmienił zdanie, pieniądze czekają.

– Dzięki, tatusiu. To dobrze, że mnie zrozumiałeś. Albo – jeśli mnie nie rozumiałeś – że pozwalasz mi iść własną drogą. Chciałbym wyjaśnić to lepiej. Widzisz, nie chcę korzyści przez... nie potrafię korzystać z... och, cholera, zbyt trudno mówić o tym.

Rozległo się stukanie do drzwi, prawie łomot.

– To pewnie Philip – rzekł Leo Argyle. – Otwórz mu, Micky.

Micky otworzył drzwi i Philip kierując inwalidzkim wózkiem wtoczył się do pokoju. Powitał ich obu wesołym uśmiechem.

– Jest pan zajęty? – zwrócił się do Leo. – Jeżeli tak, będę siedział cicho i tylko pomyszkuję wśród książek.

– Nie – odparł Leo. – Dziś rano nie mam nic do roboty.

– Nie ma Gwendy? – spytał Philip.

– Zadzwoń, że boli ją głowa i nie może dziś przyjść – odparł Leo obojętnie.

– Rozumiem.

– Pójdę i poszukam Tiny – rzekł Micky. – Namówię ją na spacer. Ta dziewczyna nienawidzi świeżego powietrza.

Wyszedł z pokoju lekkim, sprężystym krokiem.

– Wydaje mi się, że Micky zmienił się ostatnio – zauważył Philip. – Nie gniewa się na świat tak bardzo jak zwykle.

– Dorasta. Zabrało mu to dosyć dużo czasu.

– Wybrał dziwny czas na to, by się rozchmurzyć. Wczorajsze posiedzenie z policją nie było zbyt zachęcające, nie sądzi pan?

– To bolesne, rzecz jasna, że cała sprawa zostaje na nowo otwarta.

– Czy powiedziałby pan – rzekł Philip przesuwając się wzdłuż półek i wyjmując niedbale pojedyncze tomy – że taki chłopak jak Micky ma sumienie?

– To dziwne pytanie, Philip.

– Naprawdę nie. Zastanawiałem się nad nim. To jest podobne do braku słuchu muzycznego. Niektórzy ludzie nie potrafią żałować za winy, odczuwać skruchy czy ubolewać nad swymi czynami. Jacko nie umiał.

– Nie. On nie potrafił.

– I zastanawiałem się nad Mickym – Philip przerwał i po chwili kontynuował obojętnym głosem:

– Czy mogę panu zadać pytanie? Jak wiele wie pan o przeszłości swoich adoptowanych dzieci?

– Dlaczego chcesz wiedzieć, Philipie?

– Zwykła ciekawość. Człowiek chciałby wiedzieć, ile się dziedziczy.

Leo nie odpowiedział. Philip obserwował go z żywym zainteresowaniem.— Może niepokoję pana tymi pytaniami.

– Cóż – rzekł Leo wstając. – Ostatecznie dlaczego nie miałbyś zapytać? Jesteś członkiem rodziny. Te pytania są w tym momencie, nie można ukryć, bardzo stosowne. Nasza rodzina nie była adoptowana w normalnym sensie tego słowa. Mary, twoja żona, została formalnie i prawnie przysposobiona, ale inni znaleźli się u nas w bardziej nieoficjalny sposób. Jacko był sierotą i został nam przekazany przez starą babkę. Zginęła potem w czasie wojny, i on został. To było proste. Micky był nieślubnym dzieckiem. Jego matka interesowała się wyłącznie mężczyznami. Chciała sto funtów i dostała je. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co się stało z matką Tiny. Nie pisała do dziecka, nie zażądała po wojnie, by je oddać i nie można było natrafić na jej ślad.

– A Hester?

– Była również nieślubnym dzieckiem. Jej matka była młodą irlandzką pielęgniarką. Wyszła za mąż za amerykańskiego żołnierza wkrótce po przyjeździe Hester do nas. Błagała nas, byśmy zatrzymali dziecko. Nie zamierzała mówić mężowi o malej. Po zakończeniu wojny wyjechała z mężem do Stanów i więcej o niej nie słyszeliśmy.

– Wszystko to tragiczne historie. Same niechciane biedactwa.

– Tak – rzekł Leo. – Dlatego właśnie Rachel darzyła je tak żarliwym uczuciem. Postanowiła sprawić, żeby czuły się chciane, dać im prawdziwy dom, być dla nich prawdziwą matką.

– To była piękna rzecz – powiedział Philip.

– Tylko że to nie wyszło tak, jak miała nadzieję. Pogląd, że więzy krwi nie są problemem, był jej artykułem wiary. A jednak więzy krwi istnieją. To widzi się zwykle we własnych dzieciach, jakieś dziwactwa charakteru, pewien sposób odczuwania, które można rozpoznać i zrozumieć bez ubierania ich w słowa. Nie można mieć takich więzów z dziećmi adoptowanymi. Nie posiada się instynktownej wiedzy o tym, co się dzieje w ich umysłach. Osądza siebie oczywiście według siebie, według własnych myśli i uczuć, ale mądrze jest uznać, że ich myśli i uczucia mogą znacznie odbiegać od naszych własnych.

– Pan rozumiał to, zdaje się, od początku.

– Ostrzegałem Rachel przed tym, ale rzecz jasna ona nie wierzyła. Nie chciała w to wierzyć. Chciała, żeby to były jej własne dzieci.

– Według mnie Tina zawsze była skryta – rzekł Philip. – Może dlatego, że połowa jej nie jest biała. Wie pan, kto był jej ojcem?

– To był jakiś marynarz, być może Hindus. Matka – dodał Leo sucho – nie była w stanie powiedzieć.

– Nigdy nie wiadomo, jak ona zareaguje albo co myśli. Mówi tak niewiele. Co wie o tej historii, o której nie mówi?

Zobaczył, że ręka, którą Leo przewracał papiery, zatrzymała się.

– Dlaczego uważasz, że ona nie mówi wszystkiego, co wie?

– Zaraz, zaraz, to chyba jest oczywiste?

– Nie jest oczywiste dla mnie – oświadczył Leo.

– Ona coś wie. Może coś, co mogłoby zaszkodzić jakiejś osobie?

– Sądzę, że zapomniałeś, co mówiłem na temat niemądrych spekulacji dotyczących tej sprawy. Łatwo można wyobrazić sobie za wiele.

– Czy pan mnie ostrzega?

– Czy to naprawdę twoja sprawa?

– Chce pan powiedzieć, że nie jestem policjantem?

– Tak, właśnie to miałem na myśli. Policja wypełnia swój obowiązek. Muszą przeprowadzić śledztwo.

– A pan nie chce wnikać w tę sprawę?

– Być może lękam się, co mógłbym odkryć.

Ręka Philipa zacisnęła się z emocji na poręczu fotela. Powiedział łagodnie:

– Może wie pan, kto to zrobił? Wie pan?

– Nie.

Gwałtowność i żywość odpowiedzi Leo zaskoczyła Philipa.

– Nie – powtórzył Leo kładąc ręce na biurku. Nie był już kruchym, słabym, zamkniętym w sobie człowiekiem, jakiego Philip znał tak dobrze. – Nie wiem, kto to zrobił! Słyszysz? Nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia. I nie chcę... nie chcę wiedzieć.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

– Hester, kochanie, co robisz? – zapytał Philip. Posuwał się w swoim fotelu korytarzem. W połowie drogi zobaczył Hester wyglądającą przez okno. Drgnęła i odwróciła głowę.

– Ach, to ty.

– Obserwujesz świat czy planujesz samobójstwo? Popatrzyła na niego wyzywająco.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy!

– Najwyraźniej myślałaś o tym – rzekł Philip. – Ale szczerze mówiąc, jeżeli chcesz kontemplować coś takiego, to akurat to okno nie jest dobre. Jest za nisko. Pomyśl, jak przykro byłoby złamać rękę lub nogę zamiast miłosiernej niepamięci, której jesteś spragniona.

– Micky zwykle zląził po magnolii, właśnie z tego okna. To była jego sekretna droga. Mama nic nie wiedziała.

– Rodzice nigdy nie wiedzą o takich rzeczach. Można o tym napisać książkę. Ale jeżeli obmyślasz samobójstwo, najlepsze miejsce, żeby skoczyć, jest obok letniego domku.

– Tam, gdzie jest występ nad rzeką? Tak, można by się roztrzaskać na skałach!

– Kłopot z tobą polega na tym, że jesteś tak melodramatyczna. Większość ludzi jest zupełnie zadowolona otwierając gaz w piekarniku i zażywając ogromną ilość pigułek nasennych.

– Jestem zadowolona, że tu jesteś – powiedziała Hester niespodziewanie. – Tobie nie przeszkadza rozmowa o morderstwie?

– Cóż, teraz nie mam wiele do roboty. Chodź do mego pokoju, pogadamy. Widząc jej wahanie ciągnął:

– Mary jest na dole, poszła przygotować przepyszne poranne paskudztwo własnymi białymi rączkami.

– Mary nie rozumie tego.

– Nie – zgodził się Philip. – Mary nie pojęłaby tego absolutnie.

Philip jechał korytarzem, a Hester szła obok.

– A ty rozumiesz. Dlaczego?

– Cóż, przyszedł czas na myślenie o tych sprawach... Kiedy zachorowałem i dowiedziałem się, że zostanę kaleką na całe życie...

– Tak, to musiało być okropne. Okropne! Byłeś pilotem. Latałeś.

– Wysoko nad światem, jak latający dywan – zgodził się Philip.

– Ogromnie mi przykro. Naprawdę. Powinam pomyśleć o tym i być bardziej współczująca.

– Dzięki Bogu nie byłaś. Mimo wszystko ta faza już minęła. Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego. Jest coś, Hester, czego w tej chwili nie doceniasz. Ale dojdiesz do tego. Chyba że wcześniej zrobisz coś nieprzemysłanego i bardzo głupiego. A teraz opowiedz mi wszystko. Na czym polega kłopot? Pewnie pokłóciłaś się ze swoim chłopcem, tym namaszczonym lekarzem. Tak?

– To nie była kłótnia. To było coś znacznie gorszego.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił Philip.

– Nie, nie będzie; Już nigdy.

– Jesteś przesadna w swoich określeniach. Wszystko jest dla ciebie białe lub czarne. Nie ma półtonów.

– A cóż mogę na to poradzić? Zawsze byłam taka. Wszystko, co próbowałam zrobić czy osiągnąć, nie udawało się. Chciałam prowadzić własne życie, coś robić, zostać kimś. Nic z tego nie wyszło. Nie byłam dobra w niczym. Od kiedy skończyłam czternaście lat, często myślałam, żeby się zabić.

Philip przyglądał się jej z zainteresowaniem. Powiedział spokojnym, rzeczowym tonem:

– Oczywiście, ludzie między czternastym a dziewiętnastym rokiem życia często popełniają samobójstwa. To jest wiek, w którym różne sprawy tracą proporcje.

Uczniowie zabijają się, ponieważ wydaje im się, że nie przejdą przez egzaminy, dziewczęta z powodu zakazu pójścia do kina z nieodpowiednim chłopcem. To okres, w którym wszystko ukazuje się we wspaniałych kolorach. Radość i rozpacz. Przygnębienie i nieporównywalne szczęście. Wyrasta się z tego. W twoim wypadku cały problem polega na tym, że dorastasz dłużej niż większość ludzi.

– Mama miała zawsze rację co do wszystkich rzeczy, których mi zabraniała, a które ja chciałam robić. Miała rację, a ja myliłam się. Nie mogłam tego znieść, po prostu nie mogłam! Pomyślałam więc, że muszę być dzielna. Muszę działać na własną rękę. Muszę się sprawdzić. I to wszystko okazało się pomyłką. Nie byłam dobra na scenie.

– Jasne, że nie. Nie masz w sobie żadnej dyscypliny. Nie potrafisz się zaprezentować, jak się mawia w tych kręgach. Jesteś za bardzo zajęta dramatyzowaniem swojej osoby. Robisz to nawet teraz.

– A potem pomyślałam, że muszę przeżyć prawdziwy romans. Nie głupią dziewczęcą przygodę. To był starszy człowiek. Był żonaty i miał bardzo nieszczęśliwe życie.

– Typowa sytuacja. I on niewątpliwie wykorzystał to.

– Sądziłam, że to będzie wielka namiętność. Nie śmiejesz się ze mnie? – przerwała patrząc podejrzliwie na Philipa.

– Nie śmieję się z ciebie, Hester. Potrafię zrozumieć, że to musiało być dla ciebie piekło. – To nie była wielka namiętność – powiedziała Hester z goryczą. – To był tani romansik. Nic z tego, co opowiadał mi o swoim życiu i żonie, nie było prawdą. Ja... ja po prostu mu się narzucałam. Byłam idiotką, małą kretynką.

– Czasami pewne rzeczy trzeba poznawać z doświadczenia. Żadne z tych przeżyć nie zrobiło ci krzywdy. Prawdopodobnie pomogły ci dorosnąć. Albo pomogłyby ci, gdybyś na to pozwoliła.

– Mama była zawsze tak... tak kompetentna w każdej sprawie – powiedziała Hester tonem urazy. – Przyjechała, ustaliła wszystko i zaproponowała mi, żebym – jeśli chcę grać – poszła do szkoły dramatycznej i robiła to dobrze. Ale ja nie chciałam naprawdę grać i wiedziałam już, że nie jestem dobra. Więc wróciłam do domu. Co mogłam zrobić?

– Prawdopodobnie całą kupę rzeczy. Ale powrót był najłatwiejszy.

– O tak. Jak dobrze to rozumiesz. Widzisz, jestem okropnie słaba. Zawsze chcę robić łatwe rzeczy. A jeśli buntuję się przeciw temu, to w głupi sposób i nic z tego nie wychodzi.

– Nie jesteś pewna siebie, prawda? – spytał Philip łagodnie.

– Może to dlatego, że jestem tylko adoptowanym dzieckiem. Nie wiedziałam o tym aż do szesnastego roku życia. Wiedziałam, że inni zostali adoptowani, więc pewnego dnia spytałam i odkryłam, że ja też. Poczułam się strasznie, jakbym nie należała nigdzie.

– Okropna jesteś przez to dramatyzowanie samej siebie.

– Ona nie była moją matką. Nigdy nie rozumiała niczego, co ja czułam. Patrzyła na mnie pobłażliwie i życzliwie i wszystko za mnie planowała. Och! Nienawidziłam jej. To obrzydliwe z mojej strony, ale nienawidziłam jej!

– Wyobraź sobie, że większość dziewcząt przechodzi krótki okres nienawiści do własnych matek. Naprawdę nie ma w tym nic niezwykłego.

– Nienawidziłam jej, ponieważ miała rację. To okropne, kiedy ludzie mają zawsze rację. To powoduje, że człowiek czuje coraz bardziej, że nie nadaje się do niczego. Och, Philip, wszystko jest beznadziejne. Co mam robić? I co potrafię zrobić?

– Wyjść za mąż za tego twojego przyjemnego młodego człowieka i ustatkować się. Być dobrą żoneczką praktykującego lekarza. A może to nie jest dla ciebie wystarczająco wspaniałe?

– On teraz nie chce ożenić się ze mną – oświadczyła Hester ponuro.

– Jesteś pewna? Powiedział ci to? A może tylko wyobraziłeś to sobie?

– On myśli, że zabiłam mamę.

– Och – rzekł Philip i milczał chwilę. – A zabiłaś? – zapytał.

Obróciła, się nagle do niego.

– Dlaczego mnie pytasz? Dlaczego?

– Pomyślałam, że byłoby interesujące dowiedzieć się. Wszystko w rodzinie, że tak powiem. Nie po to, żeby przekazać władzom.

– Gdybym ją zabiła, sądzisz, że powiedziałabym ci?
 – Mądrzej byłoby nie mówić – zgodził się Philip.
 – On mi powiedział, że ją zabiłam. Powiedział, że jeśli się przyznam, jeśli mu się zwierzę, to wszystko będzie dobrze, pobierzemy się, będzie o mnie dbał. Że... że nie pozwoli, żeby to stało między nami.
 Philip gwizdnał.
 – No no no – powiedział.
 – I co w tym dobrego? Co by mi przyszło z mówienia mu, że nie zabiłam matki? On nie uwierzyłby mi, prawda?
 – Powinien uwierzyć.
 – Nie zabiłam jej. Rozumiesz? Nie zabiłam jej. Nie, nie, nie – przerwała. – To brzmi nieprzekonywająco.
 – Prawda często brzmi nieprzekonywająco – dodał jej odwagi Philip.
 – Nie wiemy. Nikt nie wie. Patrzymy jedno na drugie. Mary patrzy na mnie. I Kirsten. Jest taka miła dla mnie i taka opiekuńcza. Też uważa, że to ja. Jaka mam szansę? To właśnie to, rozumiesz? Jaka mam szansę? Byłoby dużo, dużo lepiej pójść na punkt widokowy i rzucić się...
 – Na miłość boską, Hester, nie bądź głupia. Są inne rzeczy do zrobienia.
 – Jakie inne rzeczy! Jak mogą być? Straciłam wszystko. Jak mogę tak żyć dzień po dniu? – popatrzyła na Philipa. – Myślisz, że jestem szalona, nieznównowazona. No, dobrze, może zabiłam ją. Może dręczą mnie wyrzuty sumienia. Może nie potrafię zapomnieć: tutaj – dramatycznym gestem położyła rękę na sercu.
 – Nie bądź idiotką – powiedział Philip. Wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie.
 Hester prawie opadła na jego fotel. Pocałował ją.
 – To, czego ci trzeba, to mąż, moja mała. Nie ten uroczy młody dureń, Donald Craig, z głową pełną psychiatrycznego żargonu. Jesteś głupia, idiotka i... skończenie urocza, Hester.
 Drzwi otworzyły się. Stała w nich nagle Mary Durrant. Hester wyprostowała się, a Philip uśmiechnął się do żony z zakłopotaniem.
 – Właśnie pocieszałem Hester, Polly.
 – Och – powiedziała Mary.
 Weszła, ostrożnie stawiając tacę na małym stoliku. Potem podwiozła stolik do Philipa. Nie patrzyła na Hester. Dziewczyna spoglądała niepewnie to na męża, to na żonę.
 – Cóż, może lepiej pójdę i... pójdę i... – nie dokończyła. Wyszła z pokoju, zamykając drzwi.
 – Hester jest w złym stanie – odezwał się Philip. – Zamierza popełnić samobójstwo. Próbowałem jej to wyperswadować – dodał.
 Mary nie odpowiedziała.
 Wyciągnął do niej rękę. Odsunęła się.
 – Polly, rozgniewałem cię? Jesteś bardzo zła?
 Nie odpowiedziała.
 – Pewnie dlatego, że ją pocałowałem? Polly nie miej do mnie żalu o jeden głupi pocałunek. Była taka śliczna i taka głupia i chciałem okazać się dobrym kumplem i poflirtować trochę. Chodź, Polly, pocałuj mnie. Pocałuj mnie i bądźmy przyjaciółmi.
 – Twoja zupa będzie zimna, jeśli jej nie wypijesz.
 Mary przeszła do sypialni i zamknęła drzwi.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Na dole czeka na pana młoda dama, sir.
 – Młoda dama? – Calgary wydawał się zdziwiony. Nie potrafił domyślić się, kto go odwiedził. Popatrzył na pracę, która zaścilała jego biurko. Zmarszczył brwi. Głos portiera odezwał się znowu, dyskretnie ściszony.
 – Prawdziwa młoda dama, sir, bardzo przyjemna.
 – No dobrze. Przyślij ją tutaj.
 Calgary nie mógł powstrzymać uśmiechu. Podteksty i zapewnienia polechtały jego poczucie własnej wartości. Zastanawiał się, kto chce się z nim spotkać. Był

kompletnie zaskoczony, gdy odezwał się dzwonek, a on po otwarciu drzwi stanął oko w oko z Hester Argyle.

– Pani! – wykrzyknął ze zdziwieniem. – Zatem... proszę wejść.

Wprowadził ją do środka i zamknął drzwi. Dziwne, ale zrobiła na nim takie samo wrażenie, jakie odniósł widząc ją po raz pierwszy. Jej ubiór świadczył o tym, że nie zwracała uwagi na londyńskie konwenanse. Nie miała kapelusza, a jej ciemne włosy zwisały wokół twarzy w nieładzie, jak loki elfa. Spod ciężkiego, tweedowego płaszczka widać było ciemnozieloną spódnicę i sweter. Wyglądała, jakby przyszyła zadyszana ze spaceru po wrzosowiskach.

– Proszę – powiedziała – och, proszę, musi mi pan pomóc.

– Pomóc pani? – Był zaskoczony. – W jaki sposób?

Oczywiście, pomogę pani, jeśli zdołam.

– Nie wiem, co robić. Nie wiem, do kogo pójść. Ale ktoś musi mi pomóc. Pan jest tą osobą. Od pana to wszystko się zaczęło.

– Ma pani kłopot? Wielki kłopot?

– Wszyscy mamy kłopot. Ale ludzie są tak samolubni, prawda? To znaczy, że ja myślę tylko o sobie.

– Proszę usiąść – powiedział łagodnie.

Zabrał papiery z fotela i usadowił ją tam. Potem podszedł do szafki w rogu.

– Musi pani wypić kieliszek wina. Kieliszek wytrawnego sherry. Odpowiada pani?

– Jeżeli jest pan tak uprzejmy. Wszystko mi jedno.

– Pani przemokła i zmarzła. Potrzebuje pani czegoś.

Odwrócił się trzymając karafkę i kieliszek. Hester osunęła się na fotel z dziwnym, kanciastym wdziękiem, który wyrażał zupełną rezygnację.

– Proszę się nie denerwować – rzekł, kiedy postawiwszy kieliszek napełnił go.

– Sprawy nigdy nie okazują się tak złe, jak na to wygląda.

– Ludzie tak mawiają, ale to nieprawda. Czasami są nawet gorsze, niż się można spodziewać.

Popijając wino powiedziała oskarżycielsko:

– Wszystko było dobrze, dopóki pan nie przyszedł. Zupełnie dobrze.; A potem zaczęło się.

– Nie będę udawał, że nie wiem, co pani ma na myśli. Zaskoczyło mnie kompletnie, kiedy pani powiedziała mi to po raz pierwszy, ale teraz rozumiem lepiej, jakie skutki przyniosła moja informacja.

– Jak długo myśleliśmy, że to był Jacko... – przerwała.

– Wiem, Hester, wiem. Musieliście jednak przejść przez to. Żyliście w poczuciu fałszywego bezpieczeństwa. To nie było prawdziwe życie, to była kartonowa fikcja, coś w rodzaju dekoracji teatralnej. Czasami wyobrażała bezpieczeństwo, ale ponieważ nie była rzeczywista, nie mogło być bezpieczeństwa.

– Pan powiada, że trzeba być dzielnym, że to niedobrze chwytać się czegoś, co jest fałszywe i wygodne. Pan ma odwagę. Przekonałam się o tym. Przyjdź i powiedz nam wszystko. Nie wiedząc, co czujemy, jak zareagujemy. Był pan dzielny. Podziwiam odwagę, ponieważ sama naprawdę nie jestem odważna.

– Proszę mi powiedzieć – rzekł Calgary łagodnie – na czym teraz polega kłopot. To coś szczególnego, prawda?

– Miałam zły sen. Ktoś... młody człowiek... pewien lekarz...

– Rozumiem. Jesteście przyjaciółmi, a może więcej niż przyjaciółmi?

– Myślę, że byliśmy więcej niż przyjaciółmi... On też tak uważał. Ale widzi pan, teraz to wszystko minęło...

– Tak?

– On myśli, że ja to zrobiłam – zaczęła mówić gwałtownie. – Och, może nie myśli dokładnie tak, ale nie jest pewien. Nie potrafi się upewnić. Myśli – mogą to zrozumieć – że jestem najbardziej prawdopodobną osobą. Może i jestem. Może wszyscy myślimy w ten sposób o sobie nawzajem. Pomyślałam, że ktoś musi nam pomóc w tym strasznym położeniu, w jakim się znaleźliśmy, i przyszedł mi do głowy pan, z powodu snu. Widzi pan, w śnie zgubiłam się i nie mogłam znaleźć Dona. Opuścił mnie, a tam był jakby wielki wawóz – przepaść. Tak, to jest właśnie to słowo. Przepaść. Brzmi tak głęboko, prawda? Głęboko i nie do przebycia. A pan był po drugiej stronie, wyciągnął ręce i powiedział: „Chcę ci pomóc” – zaczerpnęła głęboko tchu – więc przyszedł. Wybiegłam i przyszedł tu,

ponieważ musi pan nam pomóc. Nie wiem, co się stanie, jeśli pan nam nie pomoże. Musi pan nam pomóc. Pan sprowadził na nas to nieszczęście. Powie pan może, że to nie ma z panem nic wspólnego. Że już nam pan to powiedział – prawdę o tym, co się zdarzyło – i że to nie jest pańska sprawa. Powie pan...

– Nie – przerwał jej Calgary. – Nie powiem nic takiego. To jest moja sprawa, Hester. Zgadza się z panią. Kiedy się coś zaczyna, musi się to ciągnąć. Czuję, że wcale nie zrobiłem dużo.

– Och! – twarz Hester zapłonęła. Nagle, jak to się jej zdarzało, stała się piękna. – Nie jestem sama! – wykrzyknęła. – Jest jeszcze ktoś!

– Tak, moja droga, jest ktoś... choć nie wiem, ile jest wart. Dotąd nie byłem wart zbyt wiele, ale staram się pomóc i nigdy nie przestanę.

Usiadł i przysunął krzesło bliżej niej.

– Jest naprawdę tak bardzo źle?

– To zrobił ktoś z nas. Wszyscy o tym wiemy. Przyszedł pan Marshall i udawaliśmy, że to musiał być ktoś, kto wszedł z zewnątrz, ale on wiedział, że to nieprawda. To ktoś z nas.

– A ten młody lekarz... jak mu tam?

– Don. Donald Craig. Jest doktorem.

– Don uważa, że to pani?

– Obawia się, że to ja – załamała ręce dramatycznym gestem. Popatrzyła na Calgary'ego.

– Może pan też tak myśli?

– O nie – odparł Calgary. – Wiem zupełnie dobrze, że jest pani niewinna.

– Mówi pan, jakby był przekonany.

– Jestem przekonany.

– Ale dlaczego? Skąd może pan mieć pewność?

– Na podstawie tego, co powiedziała pani do mnie, gdy opuszczałem dom po opowiedzeniu wam wszystkiego. Pamięta pani? Powiedziała mi pani, że chodzi o niewinnego. Nie mogła pani tak mówić, nie mogła pani tak czuć, chyba że była pani niewinna.

– Och! – krzyknęła Hester – Och, co za ulga! Wiedzieć, że jest ktoś, kto naprawdę czuje w ten sposób. – Więc teraz możemy rozważyć to na chłodno?

– Tak – odparła Hester. – Teraz jest zupełnie inaczej.

– To tylko sprawa przekonania i wbicia sobie w głowę, że rozumie pani, co czuję na myśl, że ktoś miałby posadzać panią o zabicie przybranej matki.

– Mogłam to zrobić – powiedziała Hester. – Często myślałam o tym. Każdemu zdarza się czasem szaleć z wściekłości. Człowiek czuje się tak bezsilny i bezradny. Matka była chłodna, wyniosła, wiedziała wszystko i zawsze miała rację. Niekiedy myślałam: Och, chciałabym cię zabić.

Popatrzyła na niego.

– Rozumie pan? Czy czuł pan tak, kiedy był pan młody?

Ostatnie słowa sprawiły Calgary'emu ostry ból, taki sam, jaki odczuł, kiedy podczas wizyty w hotelu w Drymouth Micky powiedział mu: „Wygląda pan starzej!”

„Kiedy był pan młody?” – czy to wydawało się Hester tak odległe? Sięgnął myślami wstecz. Przypomniał sobie, jak mając dziewięć lat radził się w ogrodzie szkolnym innego małego chłopca, jaki będzie najlepszy sposób pozbycia się pana Warborough, ich wychowawcy. Pamiętał trawiącą go bezsilną wściekłość, kiedy pan Warborough wygłaszał szczególnie sarkastyczne uwagi. Właśnie to czuła również Hester. Ale jakkolwiek on i młody – zaraz, jak on się nazywał? – Porch, tak, jego imię brzmiało Porch, jakkolwiek naradzali się i snuli plany, nigdy nie poczynili żadnych działań, które spowodowałyby śmierć pana Warborough.

– Wie pani – powiedział do Hester – powinna pani przeżywać tego rodzaju uczucia sporo lat temu. Oczywiście ja mogę panią zrozumieć.

– To dlatego, że matka wywierała na mnie tak silny wpływ. Zaczynam widzieć, że to była moja własna wina. Czuję, że gdyby żyła trochę dłużej, tak długo, aż bym dorosła i stała się bardziej ustabilizowana, zostałybyśmy przyjaciółkami. Że cieszyłabym się z jej pomocy i rad. Ale to było nie do zniesienia, ponieważ przy niej czułam się taka nieudolna i głupia. Wszystko, co robiłam, szło źle i mogę teraz stwierdzić, że nie udawało się, bo robiłam głupie rzeczy. Robiłam je, ponieważ chciałam się zbuntować, chciałam udowodnić, że jestem sobą. A byłam nikim. Byłam ciecza. Tak, to jest odpowiednie słowo. Właściwe słowo. Długo nie

przybierałam własnej formy. Próbowałam tylko modelować się na kształt innych ludzi, ludzi, których podziwiałam. Myślałam, że gdybym uciekła i poszła na scenę, i miała z kimś romans, to...

– To wtedy poczułaby się pani sobą, a w każdym razie poczułaby się pani kimś?

– Tak – odparła Hester. – Właśnie to. I teraz widzę, rzecz jasna, że zachowywałam się tylko jak głupie dziecko. Wie pan, jak pragnęłabym, żeby mama żyła. Dlatego, że byliśmy bardzo niesprawiedliwi w stosunku do niej. Zrobiła dla nas tak wiele i dała nam tak wiele, a my nie daliśmy jej nic. A teraz jest za późno... – przerwała. – To dlatego – dodała z nagłym przypiływem energii – zdecydowałam się nie być dłużej głupią i dziecinną. Pomoże mi pan?

– Powiedziałem już, że zrobię wszystko na świecie, by pani pomóc.

Uśmiechnęła się do niego ślicznie.

– Proszę mi powiedzieć, co się właściwie stało.

– Właśnie to, co – jak przypuszczałam – musiało się zdarzyć. Wszyscy patrzemy na siebie, zastanawiamy się i nie wiemy. Ojciec spogląda na Gwendę i myśli, że to może ona. Gwenda patrzy na ojca i nie jest pewna. Nie sądzę, żeby się teraz pobrali. To niszczy wszystko. A Tinie wydaje się, że Micky ma coś wspólnego z tą sprawą. Nie wiem czemu, ponieważ nie było go w domu tego wieczoru. Kirsten uważa, że to ja, i próbuje mnie chronić. A znów Mary – to moja starsza siostra, której pan nie widział – Mary sądzi, że to Kirsten.

– A o kim pani myśli, Hester?

– Ja? – w głosie dziewczyny zabrzmiało zdziwienie.

– Tak, pani. Uważam, że to ważne.

Hester rozłożyła ręce.

– Nie wiem – jęknęła – po prostu nie wiem. Ja – to okropne tak mówić – ale ja się boję każdego. To tak, jakby spoza każdej twarzy ukazywała się inna. Ponura twarz, której nie znam. Nie jestem pewna, czy ojciec jest ojcem, a Kirsten wciąż powtarza, że nie powinnam wierzyć nikomu, nawet jej. Patrzę na Mary i czuję, że nie wiem o niej nic. A Gwenda... zawsze ją lubiłam. Byłam zadowolona, że ojciec zamierza się z nią ożenić. Ale teraz nie jestem już pewna co do Gwendy. Widzę ją jako kogoś innego, bezlitosnego i mściwego. Nie wiem, jacy są wszyscy. To nieszczęście.

– Tak. Mogę to sobie wyobrazić.

– To takie nieszczęście, że nie mogę się oprzeć uczuciu, że morderca jest też nieszczęśliwy. I że to może być najgorsze ze wszystkiego... Myśli pan, że to możliwe?

– Pewnie możliwe – rzeki Calgary. – Wątpię jednak – choć nie jestem ekspertem – wątpię, czy morderca bywa naprawdę nieszczęśliwy.

– Dlaczego nie? Uważam, że to najokropniejsze ze wszystkiego wiedzieć, że zabiło się kogoś.

– Tak – odparł Calgary. – To straszna rzecz i dlatego sądzę, że morderca musi należeć do jednego z dwóch rodzajów ludzi. Albo jest osobą, dla której zabicie kogoś nie jest straszną rzeczą, i mówi sobie: „Cóż, oczywiście szkoda, że to zrobiłem, ale to było konieczne dla mojego istnienia. Mimo wszystko to nie była moja wina. Po prostu... po prostu musiałem to zrobić”. Albo też...

– Co? – spytała Hester – co z drugim rodzajem mordercy?

– Proszę pamiętać, że zgaduję tylko, ale sądzę, iż gdyby była pani mordercą tego drugiego rodzaju, nie byłaby pani w stanie żyć ze swoim nieszczęściem. Albo musiałaby pani wyznać to komuś, albo opisać tę historię dla siebie. Składając winę na inną osobę, mówiąc: „Ja nigdy nie zrobiłabym takiej rzeczy, chyba... chyba że zdarzyłoby się to i to. Nie jestem naprawdę mordercą, ponieważ nigdy nie zamierzałam tego zrobić. Że to się stało, to tylko fatum, nie ja sama”. Rozumie pani, co usiłuję powiedzieć?

– Tak. I wydaje mi się to bardzo ciekawe – przytknęła oczy. – Próbuję pomyśleć...

– Tak, Hester, myśl. Myśl tak usilnie, jak potrafisz, ponieważ jestem w stanie pomóc ci, żebyś ogarnęła wszystko własnym umysłem.

– Micky nienawidził matki – powiedziała wolno Hester. – Zawsze tak było... Nie wiem dlaczego. Tina chyba kochała ją. Gwenda jej nie lubiła. Kirsten była lojalna, choć nie zawsze uważała, że mama ma rację. Ojciec... – przerwała na długą chwilę.

– No? – ponaglił ją Calgary.
 – Ojciec bardzo się oddalił. Po śmierci matki był zupełnie inny. Nie tak – jak ja to nazywam – oddalony. Bardziej ludzki, bardziej żywotny. Teraz wrócił znowu do miejsca pełnego cienia, gdzie nie można go osiągnąć; Nie wiem, co on czuł do mamy. Przypuszczam, że kochał ją, kiedy się z nią żenił. Nigdy się nie kłócili, ale nie wiem, co do niej czuł. Och – jej ręce poruszyły się znowu – nie wiadomo, co czuje drugi człowiek, prawda? Mam na myśli, że nie wiadomo, co kryje się za tymi miłymi twarzami, za miłymi wczorajszymi słowami. Ludzi może niszczyć nienawiść, miłość czy rozpacz i nikt o tym nie wie! To przerażające... Och, doktorze Calgary, to jest przerażające!

Ujął jej ręce.

– Nie jest pani już dzieckiem. Tylko dzieci bywają przerażone. Dorosłaś, Hester. Jesteś kobietą.

Puścił jej ręce i zapytał rzeczowo:

– Ma pani gdzie się zatrzymać w Londynie?

Hester wydawała się lekko zakłopotana.

– Przypuszczam, że tak. Nie wiem. Mama zwykle zatrzymywała się u Curtisa.

– Tak, to bardzo przyjemny, spokojny hotel. Na pani miejscu wziąłbym tam pokój.

– Zrobię wszystko, co mi pan powie.

– Grzeczna dziewczynka. Która godzina? Hallo, jest już prawie siódma. A może pani pójdzie i wynajmie pokój, a ja przyjdę za piętnaście ósma i zabiorę panią na obiad? Czy to pani odpowiada?

– To brzmi cudownie – powiedziała Hester. – Naprawdę ma pan taki zamiar?

– Tak – odparł Calgary. – Naprawdę.

– Ale co potem? Co będzie później? Nie mogę zamieszkać u Curtisa na stałe.

– Pani horyzont zawsze rozszerza się w nieskończoność.

– Śmieje się pan ze mnie? – spytała z powątpiewaniem.

– Tylko troszkę – odparł i uśmiechnął się.

Jej nastrój zmienił się i uśmiechnęła się również.

– Przypuszczam – zwierzyła się mu – że ja rzeczywiście znowu siebie dramatyzuję.

– To, zdaje się, pani zwyczaj.

– To dlatego sądziłam, że mogłabym być dobra na scenie. Ale nie byłam. Wcale nie byłam dobra. „Och, byłam nędzną aktorką.

– Wydobędzie pani cały dramatyzm ze zwykłego życia – rzekł Calgary. – Teraz zamierzam wsadzić panią do taksówki i pojedzie pani do Curtisa. I umyje pani twarz, i wyszczotkuje włosy – ciągnął. – Ma pani ze sobą jakiś bagaż?

– O tak. Coś w rodzaju neseseru.

– Dobrze – uśmiechnął się do niej. – Nie martw się, Hester – powiedział znowu. – Wymyślimy coś.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

I

– Chcę z tobą porozmawiać, Kirsty – powiedział Philip.

– Proszę bardzo, Philipie.

Kirsten Lindstrom przerwała swoje zajęcie. Przyniosła pranie, które rozkładała w szufladach komody.

– Chciałbym pomówić z tobą o całej tej sprawie. Nie masz nic przeciw temu?

– Już jest za dużo gadania – oświadczyła Kirsten. – Takie jest moje zdanie.

– Byłoby jednak dobrze – rzekł Philip – dojść do jakiejś konkluzji wśród nas samych. Wiesz, co się dzieje teraz?

– Sprawy układają się źle – rzekła Kirsten.

– Myślisz, że Leo i Gwenda pobiorą się kiedykolwiek w tej sytuacji?

– Dlaczego nie?

– Z kilku powodów. Po pierwsze dlatego, że Leo będąc inteligentnym człowiekiem uświadamia sobie, iż małżeństwo między nim a Gwendą da policji to, o co jej chodzi. Znakomity motyw zamordowania żony. Albo alternatywnie: ponieważ Leo podejrzewa, że Gwenda jest morderczynią. A będąc wrażliwym człowiekiem, nie

chciałby wziąć za żonę kobiety, która zabiła jego pierwszą żonę. Co powiesz na to?

– Nic – odparła Kirsten. – Co miałabym powiedzieć?

– Jesteś dyskretna, co, Kirsty?

– Nie rozumiem cię.

– Kogo kryjesz?

– Nie „kryję”, jak to nazywasz, nikogo. Myślę, że powinno się mniej gadać, i myślę, że ludzie nie powinni zostawać w tym domu. To nie jest dla nich dobre. Uważam, Philipie, że powinieneś pojechać wraz z żoną do własnego domu.

– Naprawdę? Dlaczego tak sądzisz?

– Zadajesz pytania, Philipie. Próbujesz odkrywać różne rzeczy. Twoja żona nie życzy sobie, żebyś to robił. Ona jest mądrzejsza od ciebie. Mógłbyś odkryć coś, czego byś nie chciał wiedzieć albo czego by ona sobie nie życzyła. Powinieneś pojechać do domu, Philipie. Powinieneś pojechać jak najszybciej.

– Nie chcę jechać do domu – powiedział Philip. Mówił jak rozdrażniony chłopczyk.

– Tak właśnie mówią dzieci. Powiadają, że nie chcą robić tego czy tamtego, ale ci, którzy znają lepiej życie, którzy widzą lepiej, co się dzieje, muszą nakłonić je, żeby zrobiły to, na co nie mają ochoty.

– Więc nakłanianie to jest twój pomysł? Wydawanie mi poleceń?

– Nie wydaję ci poleceń, tylko ci radzę – westchnęła. – Radzę wszystkim to samo. Micky powinien wrócić do pracy, tak samo jak Tina do swojej biblioteki. Jestem rada, że Hester wyjechała. Powinna być gdzieś, gdzie nie będzie stale wspominać tego wszystkiego.

– Tak – rzekł Philip. – Zgadzam się z tobą. Masz rację co do Hester. Ale co z tobą, Kirsten? Czy nie powinnaś również wyjechać?

– Tak – westchnęła Kirsten. – Powinnam wyjechać.

– Więc czemu tego nie zrobisz?

– Nie zrozumiałbyś tego. Dla mnie jest za późno. Philip popatrzył na nią w zamyśleniu.

– Jest tak wiele zdań na ten sam temat. Leo myśli, że to Gwenda, Gwenda – że Leo. Tina wie o tym coś, co sprawia, że podejrzewa, kto to zrobił. Micky wie, kto to zrobił, ale to go nie obchodzi. Mary uważa, że to Hester. Prawda polega na tym, Kirsty, że to są tylko różne warianty. My wiemy dobrze, kto jest winien, prawda, Kirsty? Ty i ja.

Rzuciła na niego szybkie, przerażone spojrzenie.

– Tak mi się też zdawało – rzekł Philip triumfująco.

– Co masz na myśli? Co próbujesz powiedzieć?

– Ja nie wiem naprawdę, kto to zrobił – rzekł Philip. – Ale ty wiesz. Nie tylko domyślasz się, lecz rzeczywiście wiesz. Mam rację?

Kirsten pomaszerowała do drzwi. Otworzyła je, potem odwróciła się i oświadczyła:

– To nie jest grzeczne, ale muszę to powiedzieć. Jesteś durniem, Philipie. To, co usiłujesz robić, jest niebezpieczne. Znasz jeden rodzaj niebezpieczeństwa. Byłeś pilotem. Tam, na niebie, stawiałeś twarz w twarz ze śmiercią. Nie możesz zrozumieć, że jeśli zbliżysz się kiedykolwiek do prawdy, znajdziesz się w większym niebezpieczeństwie, niż bywałeś w czasie wojny?

– A co z tobą, Kirsty? Jeżeli znasz prawdę, nie jesteś zagrożona?

– Potrafię się zatroszczyć o siebie – powiedziała Kirsten ponuro. – Potrafię mieć się na baczności. A ty, Philipie, jesteś bezradny na inwalidzkim wózku. Pomyśl o tym! Ponadto nie popisuję się swoimi wiadomościami. Jestem zadowolona z obecnego stanu rzeczy, ponieważ jestem szczerze przekonana, że tak jest najlepiej dla wszystkich. Gdyby wszyscy wyjechali i pilnowali własnych interesów, nie byłoby dalszych kłopotów. Skoro jestem pytana, wyrażam swój osobisty pogląd. Wciąż mówię, że to był Jacko.

– Jacko? – Philip wytrzeszczył oczy.

– Dlaczego nie? Jacko był sprytny. Mógł zaplanować całą rzecz i bądź pewny, że nie byłby cierpiał z powodu konsekwencji. Często robił tak jako dziecko. Przecież sfabrykował alibi. Czy nie robił tego codziennie?

– Tego alibi nie mógł sfabrykować. Doktor Calgary...

– Doktor Calgary... doktor Calgary – powiedziała Kirsten niecierpliwie – dlatego, że jest znany, że ma głośne nazwisko, ty mówisz „doktor Calgary” jakby był Bogiem! Pozwól jednak, że coś powiem. Jeżeli miałeś wstrząs mózgu tak jak on, to obaj możecie różnie pamiętać te same zdarzenia. To mogło być innego dnia, o innej porze, w innym miejscu!

Philip patrzył na nią z głową lekko przechyloną na bok.

– A więc to jest twoja wersja. I jej się trzymasz. Bardzo chlubne usiłowanie. Ale nie wierzysz w to sama, prawda, Kirsty?

– Ostrzegłam cię, Philipie. Nie mogę zrobić nic więcej. Odeszła, potem znowu wsunęła głowę, mówiąc zwykłym, rzeczowym tonem:

– Powiedz Mary, że włożyłam pranie do drugiej szuflady.

Philip uśmiechnął się z pewnym rozczarowaniem, potem jego uśmiech zamarł...

Jego uczucie wewnętrznego podekscytowania wzrosło. Miał wrażenie, że dotarł bardzo blisko. Eksperyment z Kirsten był bardzo zadowalający, wątpił jednak, czy mógłby wyciągnąć z niej jeszcze coś. Jej troskliwość zirytowała go. Nie sądził, że będąc kaleką jest tak słaby, jak to przedstawiła. On również miał się na baczności i, na miłość boską, czyż nie był ustawicznie pilnowany? Mary prawie nie opuszczała go.

Położył przed sobą kartkę papieru i zaczął pisać. Krótkie notatki, imiona, znaki zapytania... Słabe punkty do sprawdzenia...

Nagle skinął głową i napisał: Tina...

Pomyślał o niej...

Potem wyciągnął następną kartkę.

Kiedy weszła Mary, zaledwie na nią spojrział.

– Co robisz, Philipie?

– Piszę list.

– Do Hester?

– Hester? Nie wiem nawet, gdzie się zatrzymała. Kirsty dostała od niej pocztówkę z Londynu, to wszystko.

Uśmiechnął się do niej.

– Wydaje mi się, że jesteś zazdrosna, Polly. Naprawdę? Jej błękitne, chłodne oczy wpatrywały się w niego.

– Może.

Poczuł się trochę niezręcznie.

– Do kogo piszesz? – podeszła trochę bliżej.

– Do prokuratora – powiedział Philip wesoło, choć narastał w nim zimny gniew. Czy człowiek nie może napisać listu, żeby nie być wypytywanym?

Zobaczył jej twarz i zmiękł.

– To tylko żart, Polly. Piszę do Tiny.

– Do Tiny? Po co?

– Tina stanowi następny kierunek mego ataku. Dokąd idziesz, Polly?

– Do łazienki – odparła Mary i wyszła z pokoju.

Philip uśmiechnął się. Do łazienki, jak w wieczór morderstwa... Uśmiechnął się znowu, wspominając ich rozmowę na ten temat.

II

– Dalej, synku – powiedział nadinspektor Huish zachęcająco – posłuchajmy o tym wszystkim.

Młody Cyril Green wziął głęboki oddech. Zanim zaczął mówić, wtraciła się matka.

– Jeżeli mogę coś powiedzieć, panie Huish, nie zwróciłam wtedy na to uwagi. Wie pan, jakie są te dzieci. Wciąż mówią i myślą o statkach kosmicznych. A on wraca do domu i powiada: „Mamusiu, widziałem sputnik, wylądował tu”. Przedtem bywały latające spodki. Zawsze coś było. To Rosjanie nabijają im głowy takimi rzeczami.

Nadinspektor Huish westchnął i pomyślał, że byłoby łatwiej, gdyby matki nie upierały się, żeby towarzyszyć swoim synom i mówić za nich.

– No, Cyril, przyszedłeś do domu i powiedziałeś mamusi – czy nie tak? – że zobaczyłeś ten rosyjski sputnik, cokolwiek to było.

– Wtedy nie potrafiłem tego lepiej określić – rzekł Cyril. – Byłem dzieciakiem. To już dwa lata temu. Jasne, że teraz wiem lepiej.

– Takie samochody – wtrąciła jego matka – były w tym czasie zupełną nowością. Tutaj nie było ani jednego, więc oczywiście, gdy on zobaczył coś takiego – i to jaskrawo czerwonego – nie zrozumiał, że to zwykły samochód. A kiedy usłyszeliśmy następnego ranka, że pani Argyle została; załatwiona, Cyril powiedział do mnie: „Mamusiu, to ci Rosjanie przylecieli sputnikiem, musieli zejść i zabić ją”. Ja mu na to: „Nie gadaj bzdur”. A potem usłyszeliśmy, że jej własny syn został aresztowany za zrobienie tego.

Nadinspektor Huish zwrócił się cierpliwie jeszcze raz do Cyrila.

– To było wieczorem? Pamiętasz, o której godzinie?

– Wypiłem herbatę – rzekł Cyril sapiąc z wysiłku przypominania sobie. – Mama wyszła do Instytutu, więc wybiegłem pobawić się trochę z chłopcami, na tej drodze, w dół od nowej szosy.

– A co ty tam robiłeś, chciałabym wiedzieć? – wtrąciła jego matka. Konstabl Good, który sprowadził tego obiecującego świadka, wtrącił się. Wiedział dobrze, co Cyril i jego koledzy robili na nowej drodze. Kilku rozszłoszczonych właścicieli domów zawiadomiło o zniknięciu chryzantem. Wiedział też dobrze, że łobuzy z wioski cichaczem zachęcały młode pokolenie do dostarczenia im kwiatów, które oni wynosili na targ. Konstabl Good wiedział również, że nie był to moment na wgłębianie się w dawne przewinienia.

– Chłopcy to chłopcy, pani Green, muszą pofiglować.

– O której to było? – pytał nadinspektor Huish cierpliwie.

– No więc wypiliśmy herbatę i poszliśmy, i bawiliśmy się... musiała być prawie siódma, ponieważ usłyszałem bijący zegar i pomyślałem: „Mama będzie w domu i będzie krzyczała, jeśli mnie nie zastanie”. Wróciłem więc i opowiedziałem jej, że chyba widziałem rosyjskiego satelitę, jak ląduje. Mama powiedziała, że to kłamstwo, ale wcale nie było kłamstwa. Teraz wiem lepiej. Wtedy po prostu byłem dzieciakiem.

Nadinspektor Huish oświadczył, że rozumie. Po kilku pytaniach zwolnił panią Green i jej potomka. Konstabl Good, pozostający z tyłu, przybrał pełną zadowolenia postawę młodego policjanta, który wykazał się inteligencją i ma nadzieję, że zostanie to zaliczone na jego konto.

– Uprzytomniłem sobie, co ci chłopcy z okolicy mówili o Rosjanach, którzy zabili panią Argyle. Pomyślałem: „No no, to może coś znaczyć”.

– To coś znaczy – rzekł nadinspektor. – Panna Tina Argyle posiada taki czerwony samochód i wygląda na to, że będę musiał jej zadać jeszcze parę pytań.

III

– Była tam pani wtedy, panno Argyle?

Tina popatrzyła na nadinspektora. Ręce miała grzecznie złożone, ciemne, szeroko otwarte oczy nie wyrażały nic.

– To było już tak dawno. Naprawdę nie mogę sobie przypomnieć.

– Widziano tam pani samochód.

– Naprawdę?

– Chwileczkę, panno Argyle. Kiedy prosiliśmy o relację z pani czynności w ciągu tego wieczoru, powiedziała nam pani, że poszła pani do domu i już nie wychodziła. Zrobiła pani sobie kolację i słuchała muzyki z płyt. To nie jest prawda. Tuż przed siódmą pani samochód widziano na drodze w pobliżu Sunny Point. Co pani tam robiła?

Nie było odpowiedzi. Huish odczekał chwilę i zapytał:

– Weszła pani do domu?

– Nie – odparła Tina.

– Ale była tam pani?

– To pan twierdzi, że tam byłam.

– To nie jest kwestia mojego mówienia. Mamy dowód, że pani tam była.

Tina westchnęła.

– Tak. Pojechałam tam tego wieczoru.

– Ale mówi pani, że nie weszła pani do domu?

– Nie. Nie weszłam.

- A co pani robiła?
- Pojechałam z powrotem do Redmyn. Potem, jak już mówiłam, zrobiłam sobie kolację i włączyłam gramofon.
- Dlaczego pojechała pani tam i nie weszła do domu?
- Zmieniłam zamiar – odparła Tina.
- Co sprawiło, że rozmyśliła się pani?
- Kiedy już tam byłam, nie miałam ochoty wejść.
- Z powodu tego, co pani zobaczyła lub usłyszała?
- Nie było odpowiedzi.
- Proszę posłuchać, panno Argyle. To był ten wieczór, kiedy pani matka została zamordowana. Zabito ją między siódmą a pół do ósmej. Pani była tam, pani samochód tam był, tuż przed siódmą. Nie wiemy, jak długo pani tam pozostała. Możliwe, że to trwało jakiś czas. Może weszła pani do domu... zdaje się, że ma pani klucz...
- Tak. Mam klucz.
- Może weszła pani do domu. Może weszła pani do gabinetu matki i znalazła ją martwą. A może...
- Tina podniosła głowę.
- Może zabiłam ją? To właśnie chciał pan powiedzieć?
- To jedna z możliwości – rzekł Huish. – Bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że zabił ją ktoś inny. Jeżeli tak, myślę, że pani wie – lub ma bardzo mocne podejrzenie – kim był zabójca.
- Nie wchodziłam do domu – powtórzyła Tina.
- Zatem coś pani zobaczyła albo usłyszała. Zobaczyła pani kogoś wchodzącego lub wychodzącego z domu. Kogoś, o kim nie wiadomo, że tam był. Czy chodzi o pani brata, Michaela?
- Nie widziałam nikogo.
- Ale słyszała pani coś – powiedział Huish przebiegle. – Co pani słyszała, panno Argyle?
- Mówię panu, zmieniłam po prostu zamiar.
- Proszę mi wybaczyć, ale nie wierzę w to. Dlaczego miałyby pani jechać z Redmyn, aby odwiedzić rodzinę i wrócić bez zobaczenia jej? Coś spowodowało, że się pani rozmyśliła. Coś, co pani zobaczyła lub usłyszała.
- Pochylił się do przodu.
- Sądzę, że pani wie, kto zabił matkę. Dziewczyna bardzo powoli potrząsnęła głową.
- Wie pani coś – powiedział Huish. – Coś, czego zdecydowała się pani nie mówić. Proszę jednak to przemyśleć, przemyśleć bardzo starannie. Czy zdaje pani sobie sprawę z tego, na co pani skazuje całą swoją rodzinę? Chce pani zostawić ciężące na nich podejrzenie, ponieważ tak właśnie będzie, jeżeli nie odkryjemy prawdy. Ktokolwiek zabił pani matkę, nie zasługuje, by go ochraniać. Bo tak jest, prawda? Pani kogoś osłania.
- Znowu ciemne, nieprzeniknione oczy napotkały jego wzrok.
- Nie wiem nic – powiedziała Tina. – Nie słyszałam niczego i niczego nie widziałam. Po prostu zmieniłam zamiar.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

I

Calgary i Huish patrzyli na siebie. Calgary zobaczył najbardziej zatroskanego i przygnębionego człowieka, jakiego kiedykolwiek widział. Wyglądał na tak bardzo rozczarowanego, że Calgary zaczął przypuszczać, iż kariera nadinspektora Huisha składała się z długiej serii niepowodzeń. Zdziwił się później, odkrywając, że nadinspektor miał bardzo liczne sukcesy zawodowe. Huish ujrzał pochylonego, przedwcześnie posiwiałego mężczyznę, o lekko przygarbionych plecach, wrażliwej twarzy i dziwnie pociągającym uśmiechu.

- Obawiam się, że nie wie pan, kim jestem – zaczął Calgary.
- Och, wiem o panu wszystko, doktorze Calgary – rzekł Huish. – Jest pan dzokerem w talii, który pomieszał sprawę Argyle'ów.
- A więc trudno panu spojrzeć na mnie przychylnie.

– To zwykła rzecz – rzekł Huish. – Przypadek wydawał się jasny i nikt nie może być obwiniany z tego powodu. Ale takie sprawy się zdarzają. Zsyłane są na nas, żeby nas wypróbować, jak mawiała moja stara matka. Nie żyjemy urazy, doktorze Calgary. Stoimy po stronie sprawiedliwości, prawda?

– Zawsze w to wierzyłem i będę wierzył. „Żadnemu człowiekowi nie będzie odmówiona sprawiedliwość”.

– Magna Charta – mruknął nadinspektor.

– Tak – odparł Calgary. – Zacytowana mi przez pannę Tinę Argyle.

Huish uniósł brwi.

– Coś podobnego. Zdziwiał mnie pan. Ta młoda dama nie jest szczególnie zainteresowana pomaganiem sprawiedliwości.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Szczerze mówiąc, nie chce udzielić posiadanej informacji. Nie ma wątpliwości co do tego.

– A dlaczego?

– Cóż, to sprawa rodzinna. Rodziny trzymają się razem. Ale dlaczego chciał pan się ze mną spotkać?

– Potrzebuję informacji.

– W sprawie Argyle’ów?

– Tak. Jestem świadom, że musi pan to uważać za wtrącanie się w sprawę, która mnie nie dotyczy...

– Cóż, w jakiś sposób dotyczy pana.

– Ach, pan to tak ocenia. Tak. Czuję się odpowiedzialny. Odpowiedzialny za spowodowanie kłopotów.

– Nie mógł pan zrobić omletu bez rozbicia jajek, jak mówią Francuzi – rzekł Huish.

– Chciałbym wiedzieć o pewnych rzeczach.

– Jakich?

– Chciałbym mieć znacznie więcej informacji na temat Jacka Argyle5

– Na temat Jacka Argyle. No, nie spodziewałem się, że pan to powie.

– Wiem, że ma złą przeszłość. Chciałbym uzyskać więcej szczegółów.

– To jest dosyć proste. Dwukrotnie był pod nadzorem kuratora. Innym razem, po sprzeniewierzeniu pieniędzy, ocalał dzięki zwrotowi całej sumy w terminie.

– Obiecujący młody przestępca? – spytał Calgary.

– Tak jest, doktorze – odparł Huish. – Nie morderca, jak pan to nam wyjaśnił, ale odpowiedzialny za wiele innych rzeczy. Niech pan zauważy, nic na wielką skalę. Nie miał dość inteligencji czy nerwów, żeby porywać się na coś większego. To tylko drobny kryminalista. Ściąganie pieniędzy z podręcznej kasy, wyłudzenie ich od kobiet.

– I był w tym dobry – rzekł Calgary. – Mam na myśli wyłudzenie pieniędzy od kobiet.

– Bardzo przyjemny, bezpieczny sposób – zauważył nadinspektor. – Kobiety traciły dla niego głowę bardzo łatwo. Chodziło zwykle o starsze albo w średnim wieku. Byłby pan zdziwiony, jak łatwowieczne są kobiety tego typu. Niezłe to przeprowadzał. Pozwalał im wierzyć, że jest w nich namiętnie zakochany. Nie ma żadnej kobiety, która nie uwierzy w to, jeśli chce uwierzyć.

– A potem? – spytał Calgary. Huish wzruszył ramionami.

– Cóż, wcześniej czy później traciły złudzenia. Nie wносиły jednak sprawy do sądu. Nie chciały, żeby świat się dowiedział, jak zostały wystrychnięte na dudka. Tak, to bardzo bezpieczny sposób.

– Czy szantażował kogoś?

– Nic o tym nie wiemy. Nie chciałbym mu tego przyczepić. Nie ma szantażu.

Tylko wzmianka raz czy dwa. Listy, niemądre listy. Sprawy, o których ich mężowie nie powinni się dowiedzieć. I w ten sposób potrafił uspokoić kobiety.

– Rozumiem – rzekł Calgary.

– Czy to wszystko, co chce pan wiedzieć?

– Jest jeden członek rodziny Argyle’ów, którego dotąd nie spotkałem.

Najstarsza córka.

– Ach, pani Durrant.

– Pojechałem do jej domu, ale był zamknięty. Powiedziano mi, że wyjechała wraz z mężem.

– Są w Sunny Point.
 – Wciąż?
 – Tak. On chciał zostać. Pan Durrant – dodał Huish – bawi się trochę w detektywa, o ile wiem.
 – Jest kaleką, prawda?
 – Tak, Heine-Medina. Bardzo smutne. Nie bardzo ma co robić z czasem, biedak. Dlatego z takim zapałem wziął się do szukania mordercy. Myśli, że trafił na coś.
 – A trafił?
 Huish wzruszył ramionami.
 – To możliwe. Jest w lepszej sytuacji niż my. Zna rodzinę, a przy tym ma sporo intuicji i jest inteligentny.
 – Myśli pan, że dojdzie do czegoś?
 – Może, ale nie powie nam. Chcą to wszystko zachować w rodzinie.
 – Czy pan sam wie, kto jest winny, nadinspektorze?
 – Nie może mnie pan pytać o takie rzeczy.
 – To znaczy, że pan wie?
 – Każdy może sądzić, że drugi wie, ale nie mając dowodów, niewiele można z tym zrobić.
 – A pan nie przypuszcza, żeby dowody się znalazły?
 – Och, bądźmy cierpliwi – powiedział Huish. – Będziemy stale próbować.
 – Co się stanie z nimi wszystkimi, jeżeli panu się nie powiedzie? – rzekł Calgary pochylając się do przodu. – Pomyślał pan o tym?
 Huish spojrzał na niego.
 – O to się pan martwi, sir?
 – Oni muszą się dowiedzieć – rzekł Calgary. – Cokolwiek się zdarzy, muszą wiedzieć.
 – Nie sądzi pan, że wiedzą? Calgary potrząsnął głową.
 – Nie – powiedział powoli. – I to jest tragedia.

II

– Oo – powiedziała Maureen Clegg – to znowu pan!
 – Jest mi ogromnie przykro niepokoić panią – odparł Calgary.
 – Nie niepokoi mnie pan ani trochę. Proszę wejść. To mój wolny dzień. Calgary wiedział już o tym i to był powód jego zjawienia się.
 – Spodziewam się, że Joe wróci za moment. Nie widziałam nic więcej w gazetach na temat Jacko. To znaczy od czasu, kiedy ogłosili, że został ułaskawiony, znalazłam tam troszkę o pytaniu zadawanym w parlamencie, a potem napisali, że tego nie zrobił. Ale nie pisali o tym, co robi policja i kto to naprawdę zrobił. Nie potrafią nic znaleźć?
 – Ma pani jakiś pomysł?
 – No, naprawdę nie wiem – powiedziała Maureen. – Nie byłabym zdziwiona, gdyby był to ten drugi brat. Joe widzi go czasem, jak wiezie ludzi. Pracuje dla Bence Group, wie pan. Bardzo dziwny i ponury facet. Joe słyszał plotki, że wyjeżdża do Persji czy gdzieś tam, i myślę, że to wygląda źle, prawda?
 – Nie rozumiem, dlaczego ma wyglądać źle?
 – To jest jedno z takich miejsc, w których policja nie może człowieka złapać.
 – Myśli pani, że on ucieka?
 – Może uważać, że już do niego docierają.
 – Przypuszczam, że to taka sprawa, o której ludzie chętnie mówią – rzekł Calgary.
 – Rozchodzi się mnóstwo pogłosek. Powiadają, że mąż i sekretarka zrobili to razem. Ale gdyby to był mąż, myślę, że raczej by ją otruli. Zwykle tak robią, prawda?
 – Cóż. pani ogląda więcej filmów niż ja.
 – Naprawdę nie patrzę na ekran. Jeśli się tam pracuje, filmy okropnie brzydą. Hallo, jest Joe.
 Joe Clegg wydawał się zdziwiony widokiem Calgary'ego i może niezbyt ucieszony. Rozmawiali chwilę, a potem Calgary wyjawiał cel swojej wizyty.
 – Zastanawiam się, czy mogłaby pani dać mi nazwisko i adres?
 Zapisał je starannie w swoim notesie.

III

Pomyślał, że była ciężka, niezgrabna kobieta, koło pięćdziesiątki, która nigdy nie wyglądała dobrze. Miała jednak miłe oczy, brązowe i życzliwe.

– Naprawdę, doktorze Calgary... – była niepewna i zdenerwowana – no nie wiem..

Pochylił się do przodu, próbując usilnie przewyciężyć jej opór, uspokoić ją, dać jej odczuć całą siłę swojego współczucia.

– To już tak dawno temu – powiedziała. – Ja... ja naprawdę nie chcę, żeby mi przypominano te... te rzeczy.

– Rozumiem panią – rzekł Calgary. – To nie będzie ujawnione. Zapewniam panią.

– Mówił pan, że pisze pan książkę?

– Tylko książkę przedstawiającą pewne osobowości – wyjaśnił Calgary. – Interesującą wyłącznie z medycznego lub psychologicznego punktu widzenia. Żadnych nazwisk. Tylko pani A., pani B. Takie rzeczy.

– Był pan na Antarktydzie, prawda? – spytała niespodziewanie.

Zdziwił się, że tak nagle zmieniła temat.

– Tak – odparł. – Byłem z ekspedycją Hayesa Bentleya. Kolory wróciły na jej twarz. Wydawała się młodsza. Przez moment ujrzał dziewczynę, którą kiedyś była.

– Czytałam o wyprawie... Zawsze fascynowało mnie wszystko, co związane z biegunami. Ten Norweg, Amundsen, pierwszy zdobył biegun, prawda? Uważam, że bieguny są bardziej ekscytujące niż Everest czy satelity albo lot na księżyc.

Chwycił w lot okazję i zaczął opowiadać jej o ekspedycji. Dziwne, że swoje romantyczne zainteresowania mogła ulokować w wyprawie polarnej. W końcu powiedziała z westchnieniem:

– To cudowne słyszeć o tym od kogoś, kto naprawdę tam był. Pan chce wiedzieć wszystko o... o Jackie?

– Tak.

– Nie wymieni pan mego nazwiska?

– W żadnym razie. Mówiłem już pani. Wie pani, jak się te sprawy załatwia.

Pani M., pani Y.

– Wiem. Czytałam taką książkę i przypuszczam, że dotyczyła, jak pan to nazwał, pat... pato...

– Patologii – odpowiedział.

– O tak, Jackie był zdecydowanie patologicznym przypadkiem. Potrafił być najmiłszy pod słońcem. Po prostu cudowny. Mówił różne rzeczy i człowiek wierzył w każde słowo.

– Prawdopodobnie taki był właśnie jego zamiar.

– „Jestem wystarczająco stara, by być twoją matką” – mówiłam mu – a on odpowiadał, że nie zależy mu na dziewczętach. Dziewczeta są niedojrzałe – twierdził – pociągają go kobiety dojrzałe i doświadczone.

– Był w pani bardzo zakochany?

– Tak mówił. Wydawało się... – jej wargi zaczęły drżeć. – Sądzę, że cały czas chodziło mu o pieniądze.

– Niekoniecznie – rzekł Calgary, odbiegając od prawdy tak daleko, jak się dało. – Początkowo mógł być pod pani urokiem. Nie mógł jednak nic poradzić na to, że był oszustem.

Zgnębiona twarz kobiety rozjaśniła się trochę.

– Tak – powiedziała. – Miło tak pomyśleć. Cóż, tak było. Robiliśmy plany, żeby uciec do Francji albo do Włoch, gdyby jego plan się powiódł. To wymagałoby pewnego kapitału – mówił.

Zwykły sposób – pomyślał Calgary i zastanowił się, ile zgnębionych kobiet wpadło w taką pułapkę.

– Nie wiem, co się ze mną stało. Zrobiłabym dla niego wszystko – wszystko.

– Jestem pewien, że tak było.

– Nie wątpię, że nie byłam jedyna – wyznała z goryczą.

Calgary wstał.

– Bardzo miło z pani strony, że mi pani to opowiedziała.

– Teraz on nie żyje... ale nigdy o nim nie zapomnę. Ta jego twarz małpeczki! Patrzył tak smutno, a potem śmiał się. Och, miał sposoby. Nie był zły, jestem pewna, że nie był .zupełnie zły.

Popatrzyła na niego żałośnie.
Ale na to Calgary nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Nic nie zdradziło Philipowi Durrantowi, że ten dzień będzie się różnił od innych.

Nie miał pojęcia, że dzień dzisiejszy zadecyduje na zawsze o jego przyszłości.

Obudził się zdrowy i w dobrym nastroju. Za oknem świeciło blade, jesienne słońce. Kirsten przyniosła mu wiadomość telefoniczną, która poprawiła jeszcze jego dobry humor.

– Tina przyjeżdża na herbatę – oznajmił żonie, kiedy weszła niosąc mu śniadanie.

– Tak? Ach, rzeczywiście, to jej wolne popołudnie. W głosie Mary brzmiała troska.

– O co chodzi, Polly.

– O nic.

Ściąła czubek jajka. Natychmiast odczuł przypływ irytacji.

– Potrafię jeszcze używać rąk, Polly.

– Och, myślałam, że to oszczędzi ci kłopotu.

– Ile mam lat według ciebie? Sześć?

Wydawała się trochę zdziwiona. Potem powiedziała bez związku:

– Hester przyjeżdża dzisiaj.

– Tak? – mówił z roztargnieniem, ponieważ jego umysł był pełen planów związanych z Tina. Wreszcie dotarł do niego wyraz twarzy żony.

– Na miłość boską, Polly, czy myślisz, że żywię występna namiętność do tej dziewczyny?

Odwróciła głowę.

– Mówisz zawsze, że ona jest taka śliczna.

– Bo jest. Jeżeli lubisz piękny szkielet i rodzaj niesamowitości. Dostyc trudno mi zostać uwodzicielem – dodał sucho.

– Mógłbyś, gdybyś zechciał.

– Nie bądź śmieszna, Polly. Nie wiedziałem, że jesteś skłonna do zazdrości.

– Nie wiesz o mnie nic.

Zaczął odpiierać zarzut, ale przerwał. Odkrył z pewnego rodzaju zaskoczeniem, że istotnie nie wie o Mary zbyt wiele.

– Chcę cię mieć dla siebie – ciągnęła – tylko dla siebie. Pragnę, by na świecie nie było nikogo oprócz ciebie i mnie.

– Wyczerpaliśmy temat, Polly.

Mówił lekko, ale poczuł się nieprzyjemnie. Urok poranka nagle rozplynał się.

– Jedźmy do domu, Philipie, proszę cię, jedźmy do domu.

– Pojedziemy wkrótce, ale jeszcze nie teraz. Sprawy wyjaśniają się. Jak ci mówiłem, Tina przyjeżdża po południu.

Mając nadzieję zwrócić jej myśli w innym kierunku, kontynuował.

– Wiążę z Tina wielkie nadzieje.

– Jakie?

– Tina coś wie.

– Masz na myśli morderstwo?

– Tak.

– Skąd może wiedzieć? Nie było jej tutaj.

– Właśnie się zastanawiam. Wiesz, sądzę, że ona tu była. Śmieszne, jak drobiazgi mogą pomóc. Ta dochodząca, pani Narracott, ta wysoka, powiedziała mi coś.

– Co takiego?

– Trochę miejscowych plotek. Synek jakiejś tam pani. Erie... nie, Cyril. Musiał pójść z matką na policję. Zobaczył coś tego wieczoru, kiedy załatwili biedną panią Argyle.

– Co zobaczył?

– No, tego pani Narracott nie była pewna. Jeszcze nie wydobyła informacji od tej pani Jakiejśtam. Można jednak zgadywać, co, Polly? Cyril nie wchodził do

domu, musiał więc dostrzec coś na zewnątrz. To daje dwie możliwości. To był Micky albo Tina. Według mnie przyjechała Tina.

– Musiałaby to zeznać.

– Niekoniecznie. Widać na mile, że Tina wie coś, czego nie mówi. Powiedzmy, że tamtego wieczoru jednak wyjeżdżała. Powiedzmy, że weszła do domu i znalazła matkę martwą.

– I wyszła, nie mówiąc nikomu? Bzdura.

– Mogły być jakieś powody... Mogła widzieć czy usłyszeć coś i wydało się jej, że wie, kto to zrobił.

– Ona nigdy nie lubiła Jacko. Jestem pewna, że nie chciałyby go osłaniać.

– Więc może to nie Jacko podejrzewała... Później jednak, kiedy Jacko został aresztowany, pomyślała, że jej podejrzenia były niesłuszne. Powiedziawszy, że nie była tutaj, musiała się tego trzymać. Teraz oczywiście wszystko się zmieniło.

– Wyobrazasz sobie różne rzeczy, Philipie. Wymyśliłeś wiele historii, które nie mogą być prawdziwe.

– Są bardzo prawdopodobne. Zamierzam skłonić Tinę, żeby powiedziała mi prawdę.

– Nie wierzę, że ona coś wie. Naprawdę myślisz, że zna sprawcę?

– Nie chciałbym posuwać się tak daleko. Sądzę, że albo widziała, albo słyszała coś. Chcę odkryć, co to było.

– Tina nie powie, jak nie zechce.

– Zgadzam się. Doskonale potrafi zachować dyskrecję. Ma twarz pokerzystki. Nigdy nie pokazuje niczego po sobie. Nie jest jednak tak dobrym kłamcą jak ty... Moją metodą będzie zgadywanie. Przedstawianie moich domysłów jako pytań. Można odpowiedzieć „tak” albo „nie”. Wiesz, co się wtedy zdarzy? Jedna z trzech rzeczy. Potwierdzi – i to będzie prawda. Odpowie „nie” – i, ponieważ nie kłamie dobrze, będą wiedział, czy jej „nie” jest prawdziwe. A jeśli odmówi odpowiedzi i pokaże swoją pokerową twarz – to, Polly, będzie równie dobre jak potwierdzenie. Dalej, musisz przecieżyć przyznać, że ta moja technika stwarza pewne możliwości.

– Och, zostaw to, Phil! Zostaw to w spokoju! Wszystko przeminie i zostanie zapomniane.

– Nie. Ta sprawa musi zostać wyjaśniona. Inaczej będziemy mieli Hester rzucającą się z okna i Kirsty z załamaniem nerwowym. Leo już zakrzepł jak stalaktyt. Jeżeli chodzi o biedną, starą Gwendę, jest gotowa do objęcia stanowiska w Rodezji.

– Jaka różnica, co się z nimi stanie?

– Tylko my się liczymy – to miałaś na myśli?

Jego twarz była surowa i gniewna. To zaskoczyło Mary. Nigdy przedtem nie widziała swego męża w takim stanie.

Zwróciła się do niego buntowniczo:

– Po co miałabym się troszczyć o innych ludzi?

– Nigdy tego nie robiłaś, prawda?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Philip westchnął z irytacją. Odsunął tacę na bok.

– Zabierz to. Nie będę już jadł.

– Ależ Philipie...

Zrobił niecierpliwy gest. Mary wzięła tacę i wyszła z pokoju. Philip podjechał do stolika. Trzymając pióro w ręce zapatrzył się na coś za oknem. Czuł dziwne przygębienie. Jeszcze przed chwilą był pełen zapału. Teraz czuł się niespokojny i zdenerwowany. Wkrótce jednak opanował się. Zapisał szybko dwie kartki papieru. Potem usiadł i zastanowił się.

To miało pozory prawdopodobieństwa. Było możliwe. A jednak nie był całkiem zadowolony. Czy obrał właściwy kierunek? Nie był pewien. Motyw. Cholernie brakowało mu motywu. Był gdzieś jakiś czynnik, który uszedł jego uwagi.

Westchnął niecierpliwie. Nie mógł się doczekać przyjazdu Tiny. Gdyby tylko można było to wyjaśnić. Wyłącznie między nimi. To było niezbędne. Kiedy poznają prawdę, dopiero wtedy staną się wolni. Uwolnieni od dusznej atmosfery podejrzeń i od beznadziejności. Wszyscy z wyjątkiem jednej osoby będą mogli dać sobie radę z życiem. On i Mary wrócą do domu...

Jego myśli zatrzymały się. Podniecenie znowu opadło. Stał przed problemem. Nie chciał wracać do domu... Przypomniał sobie idealny porządek, wesołe perkale, lśniące mosiądze. Czysta, jasna, dobrze utrzymana klatka! A w klatce on, przykuty do swego inwalidzkiego wózka, otoczony serdeczną troską swojej żony.

Jego żona... Kiedy pomyślał o niej, ujrzał jakby dwie osoby. Jedną była dziewczyna, którą poślubił, jasnowłosa, niebieskooka, łagodna, powściągliwa. To była dziewczyna, którą kochał, której dokuczał, podczas gdy ona patrzyła na niego zakłopotana. To była jego Polly. Ale była też inna Mary – Mary twarda jak stal, namiętna, lecz niezdolna do miłości, Mary, której nie zależało na nikim oprócz samej siebie. Nawet on obchodził ją tylko dlatego, że należał do niej.

Przez myśl przeszedł mu fragment wiersza francuskiego.

„Venus toute enti?re ? sa proie attaché...”*

I tej Mary nie kochał. Za zimnymi, błękitnymi oczami tej Mary kryła się obca... obca kobieta, której nie znał... Potem uśmiechnął się do siebie. Stał się nerwowy i drażliwy jak wszyscy w tym domu. Przypomniał sobie teściową, mówiącą do niego o żonie. O słodkiej, jasnowłosej dziewczynce w Nowym Jorku. O momencie, kiedy dziecko zarzuciło jej ramiona na szyję, wołając: „Chcę zostać z wami. Chcę zostać z wami na zawsze!”

To było chyba uczucie? A jednak, jakie to niepodobne do Mary. Czy mogła zmienić się aż tak bardzo od dzieciństwa? Głośne, wylewne okazywanie uczuć było dla niej trudne, prawie niemożliwe.

Jednak z pewnością w tym wypadku... Jego myśli zamarły. A może było to zupełnie proste? Nie uczucie, tylko wyrachowanie. Środek do osiągnięcia celu. Rozmyślnie okazanie uczucia. Co Mary potrafiła zrobić, jeśli chciała? Prawie wszystko – pomyślał i był zaskoczony tą myślą.

Gniewnie rzucił pióro i pojechał z bawialni do sypialni. Przysunął wózek do toaletki, wziął szczotkę i zaczął szczotkować .do tyłu zwisające na czoło włosy. Własna twarz wydała mu się obca.

Kim jestem i dokąd zmierzam? Takie myśli nigdy przedtem go nie nachodziły... Podjechał wózkiem do okna i wyjrzał. Na dole jedna z dochodzących kobiet stała przy oknie i mówiła coś do kogoś w domu. Głosy, brzmiące miękko, docierały do niego...

Oczy Philipa rozszerzyły się, był jakby w transie.

Dźwięk dochodzący z sąsiedniego pokoju wyrwał go z zamyślenia. Podjechał do drzwi.

Przy biurku stała Gwenda Vaughan. Zwróciła się ku niemu. Zaskoczyło go wymizerowanie jej twarzy, widoczne w blasku porannego słońca.

– Hallo, Gwenda.

– Hallo, Philip. Leo przypuszcza, że chciałbyś „Illustrated London News”.

– Och, dziękuję.

– Jaki przyjemny pokój – powiedziała rozglądając się. – Chyba nie byłam tu nigdy przedtem.

– Zupełnie jak apartament królewski, prawda? Z dala od wszystkich. Idealny dla inwalidów i nowożeńców.

Zbyt późno pomyślał, by nie użyć ostatniego słowa. Twarz Gwendy zadrżała.

– Muszę wracać do roboty.

– Sekretarka doskonała.

– Nie dzisiaj. Popełniam błędy.

– Czyż nie robimy ich wszyscy?

Umyślnie dodał:

– Kiedy bierzecie ślub z Leo?

– Prawdopodobnie nigdy.

– To byłby prawdziwy błąd.

– Leo uważa, że to mogłoby spowodować niepożądane komentarze ze strony policji!

W jej głosie brzmiała gorycz.

– Do diabła z tym, Gwendo, trzeba podejmować pewne ryzyko.

– Chcę podjąć ryzyko – odparła Gwenda. – Nigdy się go nie obawiałam. Chcę zagrać o szczęście. Ale Leo...

– Co Leo?

– Leo – powiedziała Gwenda – prawdopodobnie umrze tak, jak żył, jako mąż Rachel Argyle.

Gniew i gorzyc w jej oczach zaskoczyły go.

– Ona mogłaby być żywa – rzekła Gwenda. – Ona jest tu, w tym domu, cały czas...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Tina zaparkowała na trawie, koło muru otaczającego kościół. Wyjęła przyniesione kwiaty z papieru, potem przeszła przez bramę cmentarną i poszła główną aleją. Nie lubiła nowego cmentarza. Chciała, żeby pani Argyle została pochowana na starym cmentarzu, otaczającym kościół. Tam panował staroświecki spokój. Cisy i omszałe kamienie. Na tym nowym cmentarzu, pięknie zaprojektowanym, z główną aleją i ścieżkami odchodzącymi promieniście od niej, wszystko wydawało się tak schludne i przeciętne, jak zawartość supermarketu.

Grób pani Argyle był dobrze utrzymany. Miał prostokątne marmurowe obramowanie, wypełnione odłamkami granitu, i granitowy krzyż wznoszący się z tyłu.

Tina trzymając swoje goździki, schyliła się, żeby przeczytać inskrypcję – „Pamięci kochanej Rachel Louise Argyle”. Niżej widniał tekst:

„Jej dzieci powstaną i będą ją błogosławiły”.

Za jej plecami rozległ się odgłos kroków i Tina odwróciła się, zaskoczona.

– Micky!

– Zobaczyłem twój samochód. Poszedłem za tobą. Zresztą też siedłem tutaj.

– Szedłeś tutaj? Dlaczego?

– Nie wiem. Może powiedzieć do widzenia.

– Do widzenia... jej? Skinął głową.

– Tak. Wziąłem tę pracę w towarzystwie naftowym, o której ci mówiłem..

Wyjeżdżam za trzy tygodnie.

– I najpierw przyszedłeś pożegnać się z mamą? – Tak. I podziękować jej, i powiedzieć, że jest mi przykro.

– Dlaczego jest ci przykro, Micky?

– Nie dlatego, że ja zabiłem, co próbujesz mi wmówić. Myślałaś, że ja zabiłem?

– Nie byłam pewna.

– I nie możesz być pewna teraz? To znaczy, iż nie wytłumaczyłem ci dobrze, że nie zabiłem jej.

– Dlaczego jest ci przykro?

– Zrobiła dla mnie tak dużo – powiedział Micky powoli. – Nie byłem nigdy ani trochę wdzięczny. Czuję się dotknięty każdą najmniejszą rzeczą, jaką robiła. Nigdy nie powiedziałem jej dobrego słowa, nie spojrzałem z miłością. Teraz chciałbym to cofnąć – tylko tyle.

– Kiedy przestałeś jej nienawidzić? Po jej śmierci?

– Tak. Chyba tak.

– To nie o nią chodziło?

– Nie. Co do tego miałaś rację. Nienawidziłem mojej własnej matki. Dlatego, że ja kochałem, a ona nie troszczyła się o mnie zupełnie.

– A teraz nawet cię to nie gniewa?

– Nie. Pewnie nie umiała nic na to poradzić. Mimo wszystko jest się takim, jakim się człowiek urodził. Była pogodnym, wesołym stworzeniem. Za bardzo lubiła mężczyzn i butelkę i była miła dla swoich dzieci, kiedy odczuwała taką potrzebę. Nie pozwoliłaby nikomu ich skrzywdzić. Dobrze więc, nie zależało jej na mnie! Przez wszystkie te lata nie chciałem tego przyjąć do wiadomości. Teraz pogodziłem się z losem.

Wyciągnął rękę.

– Daj mi jeden z twoich goździków, Tino. Wziął kwiat i pochylając się położył go na grobie obok inskrypcji.

– Proszę, mamusiu. Byłem dla ciebie marnym synem i nie sędzę, że byłaś dla mnie mądrą matką, ale miałaś dobre zamiary.

Spojrzał na Tinę.

– To były wystarczające przeprosiny?

– Myślę, że tak – odparła Tina.

Schyliła się kładąc swoje goździki.
 – Często przychodzisz tu z kwiatami?
 – Raz w roku.
 – Mała Tina.
 Odwrócili się i poszli cmentarną ścieżką.
 – Nie zabiłem jej, Tino – rzekł Micky. – Przysięgam. Chcę, żebyś mi uwierzyła.
 – Byłam tutaj tego wieczoru.
 Spojrzał na nią.
 – Byłaś tu? Masz na myśli Sunny Point?
 – Tak. Zamierzałam zmienić pracę. Chciałam się poradzić ojca i mamy.
 – Cóż – rzekł Micky – mów.
 Kiedy nie zaczynała mówić, wziął ją za ramię i potrząsnął nią.
 – Mów, Tina! Musisz mi opowiedzieć.
 – Przyjechałam tam. Nie wprowadziłam samochodu za bramę. Wiesz, gdzie jest miejsce w połowie drogi, w którym łatwo nawrócić.
 Micky przytaknął.
 – Wysiadłam tam z samochodu i poszłam w kierunku domu. Czułam się niepewnie. Wiesz, jak trudno było czasem rozmawiać z matką. Chcę powiedzieć, że zawsze miała własne pomysły. Chciałam wyłożyć jej sprawę tak jasno, jak to tylko możliwe. I tak doszłam do domu, i wróciłam do samochodu, i zawróciłam znowu. Cały czas myśląc o mojej sprawie.
 – Która była godzina? – spytał Micky. – Nie wiem. Nie potrafię teraz sobie przypomnieć. Ja... czas nie znaczy dla mnie wiele.
 – Nie, skarbie. Zawsze roztaczałaś atmosferę nieskończonego luzu.
 – Byłam pod drzewami i szłam bardzo cicho...
 – Chodzisz jak kotek – rzekł Micky czule.
 – ...kiedy ich usłyszałam.
 – Kogo usłyszałaś?
 – Dwoje ludzi szepczących.
 Ciało Micky'ego napięło się.
 – I co mówili?
 – Oni... Jedno z nich powiedziało: „Między siódmą a siódmą trzydzieści. To jest właściwy czas. Pamiętaj i nie spartacz tego. Między siódmą a siódmą trzydzieści”. Druga osoba wyszeptała: „Możesz mi zaufać”, a pierwszy głos powiedział: „A potem, kochanie, wszystko będzie cudownie”.
 Nastąpiła cisza, wreszcie Micky zapytał:
 – Dlaczego nie powiedziałaś o tym?
 – Ponieważ nie wiem... nie wiem, kto to mówił.
 – Ale na pewno wiesz! To była kobieta czy mężczyzna?
 – Nie wiem. Widzisz, kiedy dwie osoby szepczą, nie rozróżniasz głosów. To jest po prostu tylko szepc. Uważałam, że to mężczyzna i kobieta, ponieważ...
 – Ze względu na to, co mówili?
 – Tak. Nie wiedziałam jednak, kim byli.
 – Pomyślałaś, że to mógł być ojciec i Gwenda?
 – To możliwe, prawda? – spytała Tina. – To mogło znaczyć, że Gwenda wychodzi z domu i wraca o tej porze albo prosi ojca, żeby zszedł w tym czasie.
 – Gdyby to był ojciec z Gwenda, zwróciłabyś się do policji?
 – Gdybym była pewna. Ale nie jestem. To mógł być ktoś inny. To mogła być Hester z kimś. Mogła być nawet Mary, ale nie Philip. Philip oczywiście nie.
 – Kiedy mówiłaś Hester i ktoś, kogo miałaś na myśli?
 – Nie wiem.
 – Nie widziałaś go? Mam na myśli mężczyznę.
 – Nie – rzekła Tina. – Nie widziałam go.
 – Tina, sądzę, że kłamiesz. To był mężczyzna, prawda?
 – Wracałam do samochodu – kontynuowała Tina – i wtedy ktoś przeszedł drugą stroną drogi, idąc bardzo szybko. To był tylko cień w ciemności. Wydawało mi się, że słyszę samochód startujący na końcu drogi.
 – Pomyślałaś, że to ja... – rzekł Micky.
 – Nie wiedziałam. Mogłeś być ty. Mężczyzna był mniej więcej twojego wzrostu i tuszy.

Doszli do małego samochodu Tyny.

- Dalej, Tino, wsiadaj. Jadę z tobą. Pojedziemy do Sunny Point.
- Ale, Micky...
- Bezcelowe jest utrzymywanie, że to nie byłem ja. Co więcej mógłbym powiedzieć? Chodź, jedziemy do Sunny Point.
- Co chcesz zrobić, Micky?
- Dlaczego myślisz, że zamierzam coś zrobić? W każdym razie ty jechałaś do Sunny Point?
- Tak. Dostałam list od Philipa.
- Ruszyła z miejsca. Micky siedział obok, wyprostowany i sztywny.
- Wiadomość od Philipa? O czym pisze?
- Prosił, żebym przyjechała. Chciał się ze mną zobaczyć. Wiedział, że dziś mam wolne popołudnie.
- Pisał, w jakiej sprawie chce się z tobą zobaczyć?
- Napisał, że chce mi zadać pytanie i ma nadzieję, że otrzyma odpowiedź. Napisał, że nie potrzebuję nic mówić, on sam wszystko powie. Muszę tylko potwierdzić lub zaprzeczyć. Cokolwiek powiem, pozostanie tajemnicą.
- Trafił na coś - rzekł Micky. - Interesujące.
- Odległość do Sunny Point była mała. Kiedy dotarli tam, Micky powiedział.
- Idź, Tino. Ja przejdę się po ogrodzie i przemyślę wszystko. Idź, porozmawiaj z Philipem.
- Nie zamierzasz chyba... nie chcesz...
- Micky zaśmiał się krótko.
- Popełnić samobójstwa przez skok w dół? Znasz mnie przecież dobrze.
- Czasami myślę, że nikt nie zna drugiej osoby.
- Odwróciła się i poszła powoli do domu. Micky patrzył za nią, z głową wysuniętą do przodu, z rękami w kieszeniach. Był nachmurzony. Poszedł za róg domu, przyglądając się mu z namysłem. Wróciło wspomnienie z dzieciństwa. Stała tu wielka magnolia. Wspinał się po niej mnóstwo razy i włożył przez okno na podeście. Był tu mały kawałek ziemi, który uważał za własny ogród. Nie znaczyło to, że kiedykolwiek lubił ogrody. Zawsze wolał rozbierać mechaniczne zabawki. „Niszczycielski mały czort” - pomyślał lekko rozbawiony.
- Cóż, nikt się naprawdę nie zmienia.

Wewnątrz domu Tina spotkała Mary w hallu. Mary wydawała się zaskoczona jej widokiem.

- Tina! Przyjechałaś z Redmyn?
- Tak. Nie wiedziałaś, że przyjeżdżam?
- Zapomniałam. Philip chyba wspominał o tym. Odwróciła się.
- Idę do kuchni zobaczyć, czy owałtina jest już gotowa. Philip lubi napić się wieczorem, przed snem. Kirsten właśnie zaniósła mu kawę. On woli kawę niż herbatę. Mówi, że herbata powoduje u niego niestrawność.
- Dlaczego traktujesz go jak inwalidę, Mary? - spytała Tina. - On nie jest naprawdę inwalidą.
- W oczach Mary pojawił się zimny gniew.
- Kiedy będziesz miała własnego męża, będziesz wiedziała lepiej, jak mężowie lubią być traktowani.
- Przepraszam - powiedziała grzecznie Tina.
- Gdybyśmy tylko mogli opuścić ten dom. Pobyt tutaj źle działa na Philipa. I Hester wraca dzisiaj.
- Hester? - zdziwiła się Tina. - Po co?
- Skąd można wiedzieć? Zadzwoiła wczoraj wieczór i zawiadomiła nas. Nie wiadomo, którym pociągiem przyjedzie. Pewnie ekspresem, jak zwykle. Ktoś musi pojechać po nią do Drymouth.
- Mary znikła w korytarzu prowadzącym do kuchni. Tina zawahawszy się chwilę poszła schodami na górę. Na podeście otworzyły się pierwsze drzwi po prawej i ukazała się Hester. Wydawała się zaskoczona widokiem Tyny.
- Hester! Słyszałam, że wracasz, ale nie miałam pojęcia, że już przybyłaś.
- Przywiózł mnie doktor Calgary. Poszłam prosto do mego pokoju. Pewnie nikt nie wie, że przyjechałam.
- Doktor Calgary też jest tutaj?

– Nie. Podrzucił mnie i pojechał do Drymouth. Chciał się tam z kimś spotkać.
 – Mary nie wie, że przyjechałaś.
 – Mary nie wie nic. Ona i Philip odizolowali się. Przypuszczam, że ojciec i Gwenda są w bibliotece. Wszystko jest tak jak zwykle.
 – Czemu nie miałyby być?
 – Nie wiem – odparła Hester mgliście. – Miałam wrażenie, że powinno być zupełnie inaczej.

Ruszyła za Tina i dalej w dół schodami. Tina minęła bibliotekę i skierowała się korytarzem do mieszkania na końcu, zajmowanego przez Durrantów. Kirsten Lindstrom, stojąca przy drzwiach z tacą w rękę, odwróciła gwałtownie głowę.

– Ależ mnie przestraszyłaś, Tino. Właśnie niosę Philipowi kawę i biszkopty – podniosła rękę, żeby zapukać.

Zapukawszy, Kirsten otworzyła drzwi i weszła. Była nieco wyższa od Tyny i jej wysoka, kanciasta sylwetka zasłoniła dziewczynie widok, niemniej słychać było gwałtowne zaczerpnięcie powietrza. Ramiona Kirsten opadły, taca runęła na podłogę, filiżanka i talerzyki rozbiły się o kratę przed kominkiem.

– Och, nie! – krzyknęła Kirsten. – Och, nie! Tina spytała:

– Philip?

Minęła tamtą i podeszła do fotela Philipa, przysuniętego do biurka. Przypuszczalnie coś pisał. Obok jego prawej ręki leżał długopis, ale głowa, która opadła na biurko, leżała w dziwnej pozycji. Na potylicy zobaczyła coś, co wyglądało jak jaskrawo czerwone tabletki, plamiące biel jego kołnierzyka.

– Został zabity – powiedziała Kirsten. – Zasztyletowany. Tutaj, u nasady czaszki. Jedno małe pchnięcie i koniec.

Dodała podnosząc głos:

– Ostrzegałam go, robiłam wszystko, co mogłam. Ale był jak dziecko, które bawi się niebezpiecznymi przedmiotami, nie wiedząc, co robi.

Tina pomyślała, że to jest jak zły sen. Stała tam spokojnie przy łokciu Philipa, patrząc na niego, podczas gdy Kirsten uniosła jego bezwładną rękę, szukając pulsu, którego nie było. O co chciał ją spytać? Cokolwiek to było, już jej nigdy nie zapyta. Umysł Tyny automatycznie rejestrował różne szczegóły. Philip właśnie pisał. Długopis leżał przed nim, ale nie było kartki. Nic pisanego. Ktokolwiek go zabił, zabrał ze sobą zapiski. Powiedziała spokojnie i mechanicznie:

– Musimy powiedzieć innym.

– Tak, musimy zejść. Musimy zawiadomić twojego ojca.

Ramię w ramię poszły do drzwi. Kirsten objęła Tinę. Wzrok dziewczyny padł na upuszczoną tacę i rozbitą porcelanę.

– To nic – powiedziała Kirsten. – Wszystko uprzątnie się później.

Tina zachwiała się i ramię Kirsten podtrzymało ją.

– Uważaj. Upadniesz.

Szły korytarzem. Drzwi biblioteki otworzyły się i wyszli Leo i Gwenda. Tina powiedziała swoim czystym, niskim głosem:

– Philip nie żyje. Został zasztyletowany.

To było jak we śnie. Okrzyki ojca i Gwendy płynęły gdzieś za nią z tyłu do Philipa... Do Philipa, który był martwy. Kirsten puściła jej ramię i popędziła schodami.

– Muszę zawiadomić Mary. Trzeba jej to przekazać delikatnie. To będzie dla niej straszny szok.

Tina poszła powoli za nią. Bardziej niż kiedykolwiek czuła się oszołomiona, ostry ból ścisnął jej serce. Dokąd szła? Nie wiedziała. Wszystko było nierealne. Przeszła przez otwarte drzwi frontowe. Właśnie wtedy zobaczyła Micky'ego, wychodzącego zza rogu. Automatycznie, jakby kroki wiodły ją same, podeszła prosto do niego.

– Micky – powiedziała. – Och, Micky! Jego ramiona były otwarte. Wpadła w nie.

– Już dobrze. Złapałem cię.

Tina załamała się w jego ramionach. Ześliznęła się na ziemię jak mała bezwładna kupka odzieży, właśnie wtedy, kiedy Hester wybiegła z domu. – Zasłabła – rzekł Micky bezradnie. – Nigdy przedtem nie widziałem, żeby Tinie robiło się słabo.

– Jest w szoku – stwierdziła Hester.

- Co masz na myśli - w szoku?
- Philip został zabity. Nie wiedziałaś?
- Skąd miałem wiedzieć? Kiedy? W jaki sposób?
- Przed chwilą.

Wytrzeszczył na nią oczy. Wziął Tinę na rękę, razem z Hester zaniósł ją do gabinetu pani Argyle i położył na sofie.

- Zadzwoń po doktora Craiga - poprosił.
- To jego samochód - rzekła Hester wyglądając przez okno. - Ojciec wezwał go telefonicznie w sprawie Philipa - rozejrzała się. - Nie chcę się z nim spotkać.

Wybiegła z pokoju i poszła schodami na górę. Doktor Craig wszedł przez otwarte drzwi frontowe. Kirsten wyszła z kuchni na spotkanie.

- Dzień dobry, panno Lindstrom. Co ja słyszę? Pan Argyle mówi, że Philip Durrant został zabity. Zabity?

- To prawda - odparła Kirsten.
- Czy pan Argyle zadzwonił na policję?
- Nie wiem.

- Może jest tylko ranny? - spytał Don. Wrócił, żeby wyjąć z samochodu torbę lekarską.

- Nie - odparła Kirsten - jej głos był głuchy i zmęczony. - Nie żyje. Jestem tego całkowicie pewna. Został pchnięty nożem tutaj.

Położyła rękę na tył własnej głowy. Micky wyszedł do hallu.

- Hallo, Don, zobacz lepiej Tinę. Zasłabła.

- Tina? Ach, ta z Redmyn. Gdzie ona jest?

- Tutaj.

- Rzucę na nią okiem, zanim pójde na górę. Wchodząc do pokoju mówił przez ramię do Kirsten:

- Proszę trzymać ją w cieple i podać jej gorącą herbatę lub kawę, jak tylko oprzytomnieje. Pani zna postępowanie...

Kirsten przytaknęła.

- Kirsty! - Mary Durrant szła wolno przez hali od strony kuchni. Kirsten podeszła do niej, Micky patrzył na nią bezradnie.

- To nieprawda - Mary mówiła głośno, ochryple. - To nie jest prawda! Wymyśliliście kłamstwo. Był zupełnie zdrow, jak wychodziłam. Zupełnie w porządku. Pisał. Prosiłam go, żeby nie pisał. Powiedziałam mu to. Dlaczego musiał to robić? Dlaczego był tak uparty? Czemu nie opuścił tego domu, jak go prosiłam?

Pieszcząc ją i głaszcząc, Kirsten robiła co tylko można, by ją uspokoić.

Donald Craig wyszedł wielkimi krokami z gabinetu.

- Kto mówił, że ta dziewczyna zasłabła?

Micky gapił się na niego.

- Przecież zemdląca - powiedział.

- Gdzie była, kiedy zrobiło się jej słabo?

- Była ze mną... Wyszła z domu i podeszła do mnie. Potem zemdląca.

- Zemdląca? O tak, zemdląca gruntownie - rzekł doktor ponuro.

Podszedł szybko do telefonu.

- Muszę natychmiast dostać karetkę.

- Karetkę? - Kirsten i Micky patrzyli na niego zdumieni. Mary zdawała się nie słyszeć.

- Tak - odparł Donald, wykręcając gniewnie numer. - Dziewczyna została zasztyletowana. Słyszycie? Pchnięta nożem w plecy. Musimy natychmiast zabrać ją do szpitala.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI I

I

W pokoju hotelowym Arthur Calgary wciąż przeglądał notatki.

Od czasu do czasu kiwał głową.

Tak... teraz obrał dobry kierunek. Na początku zrobił błąd koncentrując się na pani Argyle. W dziewięciu wypadkach na dziesięć to byłaby właściwa procedura. Ale to był ten dziesiąty wypadek.

Przez cały czas czuł obecność nieznanego czynnika. Gdyby mógł wreszcie go zidentyfikować, sprawa zostałaby wyjaśniona. W jego poszukiwaniach dominowała myśl o zmarłej kobiecie. Ale – jak zobaczył teraz – ona nie była naprawdę ważna. Właściwie mogła zostać zabita pierwsza lepsza osoba.

Musiał zmienić punkt widzenia – wrócić do miejsca, z którego zaczął. Wrócić do Jacko.

Nie do Jacko jako do młodego człowieka, niesłusznie skazanego za nie popełnioną zbrodnię, lecz do Jacko – istoty ludzkiej. Czy był on według słów starej kalwińskiej doktryny „statkiem przeznaczonym na zagładę”? Dano mu w życiu wszelkie szanse. Według opinii doktora MacMastera urodził się po to, by zejść na złą drogę. Żadne otoczenie nie mogło pomóc mu ani go ocalić. Czy była to prawda? Leo Argyle mówił o nim z pobłażaniem, ze współczuciem. Jak on to tłumaczył? „Jeden z błędów natury”. Był zwolennikiem nowoczesnego podejścia psychologicznego. Kaleka, nie kryminalista. A co powiedziała Hester? Oświadczyła bez ogródek, że Jacko był zawsze okropny!

Zwyczajne, dziecinne określenie. A co powiedziała Kirsten Lindstrom? Że Jacko był nikczemny! Tak, użyła tak mocnego określenia. Nikczemny! Tina oświadczyła: „Nigdy nie lubiłam go, ani mu nie wierzyłam”. Zatem wszyscy zgadzali się w ogólnych określeniach. Tylko w wypadku wdowy doszło do szczegółowych definicji. Maureen Clegg patrzyła na Jacko z osobistego punktu widzenia. Straciła dla niego głowę. Porwał ją swoim urokiem i kobieta miała to sobie za złe. Teraz, bezpiecznie zamężna, powtarzała poglądy męża. Dała Calgary’emu szczere sprawozdanie z niektórych podejrzanych postępów Jacko i metod, jakimi zdobywał pieniądze. Pieniądze...

W umęczonym umyśle Arthura Calgary to słowo zdawało się tańczyć na murze wielkimi literami. Forsa! Forsa! Forsa! Jak motyw w operze. Forsa pani Argyle! Fundusz powierniczy! Pieniądze na dożywocie! Reszta majątku zostawiona mężowi! Pieniądze pobrane z banku! Pieniądze w szufladzie biurka! Hester wybiegająca do samochodu bez pieniędzy w portmonetce, biorąca dwa funty od Kirsten Lindstrom. Pieniądze znalezione u Jacko – przysięgał, że dała mu je matka.

Cała sprawa miała jakiś wzór – wzór złożony z oderwanych szczegółów dotyczących pieniędzy.

I z pewnością w tym wzorze nieznaną czynnik zostanie wyjaśniony.

Popatrzył na zegarek. Obiecał zadzwonić do Hester w uzgodnionym czasie. Przysunął telefon i poprosił o numer.

Wkrótce usłyszał jej głos, czysty, trochę dziecinny.

– Hester. Czujesz się dobrze?

– O tak. Ja czuję się dobrze.

Zrozumienie nacisku położonego na słowo „ja” zajęło mu parę chwil. Potem spytał ostro: – Co się stało?

– Philip został zabity.

– Philip! Philip Durrant?

W głosie Calgary’ego brzmiało niedowierzanie.

– Tak. I Tina też, ale przynajmniej jeszcze nie umarła. Jest w szpitalu.

– Opowiedz mi – polecił.

Opowiedziała mu. Pytał i dopytywał się coraz dokładniej, aż poznał wszystkie fakty. Potem powiedział ponuro:

– Trzymaj się, Hester, przyjeżdżam. Będę u ciebie – spojrzał na zegarek – za godzinę. Muszę najpierw zobaczyć się z nadinspektorem Huishem.

II

– Co właściwie chce pan wiedzieć, doktorze Calgary? – spytał nadinspektor Huish, ale zanim Calgary zdążył odpowiedzieć, na biurku zadzwonił telefon i Huish podniósł słuchawkę. – Tak. Tak, przy telefonie. Chwileczkę – przysunął kawałek papieru, wziął pióro i przygotował się do pisania. – Tak. Proszę zaczynać. Tak – pisał. – Co? Jak pan wymówił ostatnie słowo? Rozumiem. To nie ma dużego sensu, prawda? Dobrze. Coś jeszcze? Dobrze. Dziękuję.

– Tina? – spytał Calgary.

Nadinspektor potwierdził.

– Odzyskała przytomność przed paroma minutami.

- Powiedziała coś?
- Nie wiem naprawdę, dlaczego miałbym powtórzyć to panu, doktorze Calgary.
- Proszę o to - rzekł Calgary - ponieważ sądzę, że mogę panu pomóc w tej całej sprawie.
- Huish przyjrzał mu się z namysłem.
- Bierze pan to sobie bardzo do serca, prawda?
- Tak. Widzi pan, czuję się odpowiedzialny za ponowne otwarcie śledztwa. Czuję się nawet odpowiedzialny za te dwie tragedie. Czy dziewczyna będzie żyć?
- Uważają, że tak. Ostrze noża ominęło serce, ale sytuacja może być krytyczna - potrząsnął głową. - Zawsze są z tym kłopoty. Ludzie nie wierzą, że mordercy są niebezpieczni. Może się to wydać dziwne, ale tak jest. Oni wszyscy wiedzieli, że morderca był wśród nich. Powinni mówić nam wszystko, co wiedzieli. Jedynym zabezpieczeniem, jeśli morderca znajduje się w pobliżu, jest poinformowanie policji o wszystkim, co się wie, i to natychmiast. Cóż, nie zrobili tego. Zataili to przede mną. Philip Durrant był miłym, inteligentnym facetem, ale uważał całą sprawę za rodzaj gry. Węszył, zakładał pułapki na ludzi. I trafił na coś albo wydawało mu się, że trafił. Rezultat: Powiedziano mi przez telefon, że jest martwy, uderzony sztyletem w kark. Do tego prowadzi zajmowanie się morderstwem i niedostrzeganie niebezpieczeństw tego procederu.
- A dziewczyna? - spytał Calgary.
- Dziewczyna wiedziała coś. Coś, czego nie chciała powiedzieć. Według mnie kocha tego faceta.
- Mówi pan o Mickym? Huish skinął głową.
- Tak. Powiedziałbym, że Micky był nią zainteresowany również. Ale zainteresowanie kimś nie wystarcza, jeśli jest pan oszalały ze strachu. Cokolwiek wiedziała, było prawdopodobnie bardziej mordercze, niż mogła przypuścić. Właśnie dlatego, kiedy po znalezieniu martwego Durranta rzuciła się prosto w jego ramiona, zaryzykował i pchnął ją nożem.
- To jest jedynie pana domysł.
- Niezupełnie domysł, doktorze Calgary. Nóż był w jego kieszeni. - Ten właśnie nóż?
- Tak. Zakrwawiony nóż. Zamierzamy go sprawdzić, ale to będzie jej krew. Jej i Philipa Durranta!
- Ale... to niemożliwe.
- Kto tak mówi?
- Hester. Zadzwoiłem do niej i opowiedziała mi wszystko.
- Tak? Cóż, fakty są bardzo proste. Mary Durrant zeszła do kuchni, zostawiając swego męża żywego, za dziesięć czwarta. W tym czasie w domu byli Leo Argyle i Gwenda Vaughan w bibliotece, Hester Argyle w swojej sypialni i Kirsten Lindstrom w kuchni. Tuż po czwartej przyjechali Micky i Tina. Micky poszedł do ogrodu, a Tina udała się na górę, idąc w ślady Kirsten, która niosła kawę i biszkopty dla Philipa. Tina zatrzymała się, żeby porozmawiać z Hester, potem przyłączyła się do panny Lindstrom i razem znalazły Philipa martwego.
- A w tym czasie Micky był w ogrodzie. To chyba doskonałe alibi?
- Nie wie pan o tym, że przy domu rośnie wielka magnolia. Dzieciaki zwykli wspinać się po niej. Zwłaszcza Micky. Była to jedna z dróg, którą wchodził lub wychodził z domu. Mógł się wdrapać na drzewo, pójść do pokoju Durranta, zabić go i wyjść. Potrzebował dokładnej synchronizacji, zadziwiająco jednak, co zuchwałość może czasami zdziałać. A on był desperatem. Za wszelką cenę nie mógł dopuścić do spotkania Tyny z Durrantem. Żeby się zabezpieczyć, zabił ich oboje. Calgary myślał chwilę.
- Powiedział pan, że Tina odzyskała przytomność. Nie była w stanie wyjaśnić, kto ją zasztyletował?
- Nie mówiła zbyt logicznie. Faktycznie nie odzyskała przytomności w dosłownym tego znaczeniu.
- Uśmiechnął się ze znużeniem.
- W porządku, doktorze Calgary, powiem panu dokładnie, co powiedziała. Najpierw imię: Micky...
- Zatem oskarżyła go.
- Na to wygląda - rzekł Huish, skinawszy głową. - Reszta jej słów nie ma sensu. Jest trochę fantastyczna.

- Co powiedziała?
- Huish zajrzał do leżącego przed nim notesu.
- „Micky”. Potem pauza. Potem: „Filiżanka była pusta...” Znowu pauza i „Gołąbka na maszcie”.
- Spojrzał na Calgary’ego.
- Widzi pan w tym jakiś sens?
- Nie – odparł Calgary. Potrząsnął głową i powtórzył z namysłem: „Gołąbka na maszcie...” – to niezwykle słowa.
- O ile nam wiadomo, nie ma tu żadnych gołąbek ani masztów. To jednak znaczy coś dla niej, dla jej umysłu. Ale nie może oznaczać czegoś związanego z morderstwem. Bóg wie, w jakim królestwie fantazji ona się unosi.
- Calgary znowu milczał chwilę. Siedział myśląc o sprawie. Zapytał:
- Aresztował pan Micky’ego?
- Zatrzymaliśmy go. Zostanie postawiony w stan oskarżenia w ciągu dwudziestu czterech godzin. Huish popatrzył ciekawie na Calgary’ego.
- Wnioskuje, że ten chłopak, Micky, nie stanowi dla pana rozwiązania problemu.
- Nie – odparł Calgary. – Micky nie jest dla mnie wyjaśnieniem. Nawet teraz nie wiem – wstał. – Wciąż sądzę, że mam rację, ale nie mam dosyć dowodów, aby skłonić pana do uwierzenia mi. Muszę teraz pójść. Muszę spotkać się z nimi wszystkimi.
- Cóż – rzekł Huish. – Proszę na siebie uważać. Przy okazji, jaki ma pan pomysł?
- Czy to znaczyłoby dla pana coś, gdybym stwierdził, że to była zbrodnia z namiętności?
- Huish uniósł brwi.
- Jest wiele namiętności, doktorze Calgary. Nienawiść, skąpstwo, zachłanność, strach – to wszystko są namiętności.
- Mówiąc o zbrodni z namiętności miałem na myśli dokładnie to, co się rozumie przez to określenie.
- Jeżeli pan ma na myśli Gwendę Vaughan i Leo Argyle’a, to stale myśleliśmy o nich, ale to chyba nie pasuje.
- Sprawa jest bardziej skomplikowana – odparł Calgary.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Znowu zapadał zmierzch, podobnie jak wówczas, gdy Arthur Calgary przybył do Sunny Point po raz pierwszy. Viper’s Point – pomyślał dzwoniąc do drzwi.
- Jeszcze raz zdarzenia zdawały się powtarzać. Otworzyła mu Hester. Na jej twarzy malował się ten sam opór, to samo wrażenie tragedii. Za nią w hallu zobaczył czujną, podejrzliwą postać Kirsten Lindstrom. Historia się powtarzała.
- Potem schemat zmienił się. Nieufność i rozpacz zniknęły z twarzy Hester, a pojawił się śliczny, powitalny uśmiech.
- To pan – powiedziała. – Och, jak się cieszę, że pan przyszedł! Ujął jej rękę.
- Chcę zobaczyć się z twoim ojcem, Hester. Jest na górze w bibliotece?
- Tak: Jest tam z Gwendą.
- Kirsten podeszła do nich.
- No i dlaczego przyszedł pan znowu? – spytała oskarżycielskim tonem. – Niech pan patrzy, ile kłopotów narobił pan ostatnio! Niech pan patrzy, co się stało z nami wszystkimi. Życie Hester jest zrujnowane, życie pana Argyle również... i jeszcze te dwie śmierci. Dwie! Philip Durrant i mała Tina. I to jest pana robota – wszystko pana robota!
- Tina jeszcze nie umarła – rzekł Calgary. – A ja muszę tutaj zrobić coś, co nie może zostać zaniechane.
- Co pan musi zrobić? – Kirsten wciąż stała zagradzając mu drogę do schodów.
- Muszę skończyć to, co zacząłem. Bardzo łagodnie położył rękę na jej ramieniu i odsunął ją na bok. Poszedł na górę razem z Hester. Odwrócił się i powiedział przez ramię:
- Proszę iść również, panno Lindstrom, chciałbym, żeby wszyscy byli obecni.

W bibliotece Leo Argyle siedział przy biurku. Gwenda klęczała przy kominku, wpatrując się w gasnący żar. Spojrzeli na Calgary'ego z pewnym zaskoczeniem.

– Przepraszam za wtargnięcie – rzekł Calgary – ale, jak już mówiłem tym dwóm paniom, przyszedłem zakończyć to, co zacząłem – rozejrzał się wkoło. – Czy pani Durrant jest tu jeszcze? Chciałbym, żeby przyszła również.

– Chyba położyła się – powiedział Leo. – Przechodzi to strasznie ciężko.

– Mimo wszystko chciałbym, żeby tu była – spojrzał na Kirsten. – Może pani pójdzie i sprowadzi ją.

– Pewnie się nie zgodzi – burknęła Kirsten posępnie.

– Proszę przekazać, że na pewno zechce usłyszeć coś, co dotyczy śmierci jej męża.

– Och, idźże Kirsty – rzekła Hester. – Nie bądź podejrzliwa i taka opiekuńcza. Nie wiem, co doktor Calgary zamierza nam powiedzieć, ale wszyscy powinniśmy tu być.

– Jak chcecie – odparła Kirsten i wyszła z pokoju.

– Proszę siadać – rzekł Leo.

Wskazał krzesło po drugiej stronie kominka i Calgary usiadł.

– Musi mi pan wybaczyć – zaczął Leo – ale właśnie mówiłem, że pragnąłbym, by pan nigdy nie przyszedł tutaj, doktorze Calgary.

– To niesprawiedliwe – przerwała Hester gwałtownie. – To, co mówisz, jest okropnie niesprawiedliwe.

– Wiem, co pan czuje. Uważam, że na pańskim miejscu czułbym to samo. Może nawet przez krótki czas podzielałem pański pogląd, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że potrafię zrobić coś więcej.

Kirsten wróciła zawiadamiając, że Mary idzie.

Siedzieli milcząc i niebawem Mary Durrant weszła do pokoju. Calgary przyjrzał się jej z zainteresowaniem, ponieważ widział ją po raz pierwszy. Wydawała się chłodna i opanowana, schludnie ubrana, z porządnie uczesаныmi włosami. Ale jej twarz nie wyrażała nic, jak maska. Sprawiała wrażenie kobiety idącej we śnie.

Leo dokonał prezentacji. Skinęła lekko głową.

– Dobrze, że pani przyszła, pani Durrant – rzekł Calgary. – Sądzę, że powinna pani usłyszeć, co mam do powiedzenia.

– Jak pan chce. Jednak nic, co pan czy ktoś inny może powiedzieć, nie wróci mi Philipa.

Odeszła trochę na bok i usiadła na krześle przy oknie. Calgary rozejrzał się.

– Zacznę od tego: Kiedy przyszedłem tu po raz pierwszy, kiedy oznajmiłem wam, że jestem w stanie oczyścić imię Jacko, wasza reakcja zaskoczyła mnie. Teraz rozumiem to. Ale największe wrażenie zrobiło na mnie coś, co to dziecko – spojrzał na Hester – powiedziało do mnie w chwili, gdy wychodziłem. Powiedziała, że nie chodzi o sprawiedliwość, tylko o to, co się stanie z niewinnym. Jest taki fragment w najnowszym przekładzie Księgi Hioba, który to oddaje – „Nieszczęście niewinnego”. W wyniku ujawnionych przeze mnie informacji wszyscy musieliście cierpieć. Niewinny nie powinien cierpieć i nie może cierpieć, i to, co mam wam do powiedzenia, oznacza koniec cierpienia niewinnego.

Przerwał na chwilę, ale wszyscy milczeli. Arthur Calgary ciągnął dalej spokojnie i pedantycznie.

– Kiedy przyszedłem pierwszy raz, moje wiadomości nie spowodowały przypływu wielkiej radości. Wszyscy uznali już Jacko za winnego. Można powiedzieć, że wszystkich to satysfakcjonowało. Było to najlepsze wyjaśnienie zamordowania pani Argyle.

– Czy nie jest to wyrażone zbyt brutalnie? – spytał Leo.

– Nie – odparł Calgary. – To jest prawda. Jacko był dla wszystkich satysfakcjonującym sprawcą, ponieważ morderca z zewnątrz nie wchodził w rachubę i ponieważ w wypadku Jacko nie trzeba było szukać koniecznych usprawiedliwień. Był nieszczęśliwym, umysłowo upośledzonym człowiekiem, nie odpowiadającym za swoje czyny młodym przestępcą! Wszystkie te określenia, których możemy dziś użyć, tak pięknie tłumaczą winnego. Powiedział pan, panie Argyle, że pan go nie potępia. Powiedział pan również, że jego matka, ofiara, nie potępiała go. Tylko jedna osoba potępiała go – popatrzył na Kirsten – pani go potępiała. Oświadczyła pani jasno i wprost, że był on nikczemny. Tego właśnie określenia użyła pani: „Jacko był nikczemny”.

– Może i tak – rzekła Kirsten. – Tak, mogłam coś takiego powiedzieć. To była prawda.

– Tak, to była prawda. Był nikczemny. Gdyby nie był nikczemny, nic by się nie zdarzyło. Niemniej wie pani, że moje zeznanie oczyściło go z tej właśnie zbrodni.

– Nie musi się zawsze wierzyć w zeznania – powiedziała Kirsten. – Miał pan wstrząs mózgu. Wiem bardzo dobrze, jakie bywają skutki takiego wstrząsu. Ludzie pamiętają zdarzenia nie wyraźnie, lecz jakby za mgłą.

– Więc to jest wciąż pani wyjaśnienie? Uważa pani, że Jacko naprawdę popełnił tę zbrodnię i w jakiś sposób potrafił sfabrykować sobie alibi?

– Nie znam szczegółów. Ale tak, coś w tym rodzaju. Wciąż mówię, że on to zrobił. Całe cierpienie i te wszystkie śmierci – tak, te okropne śmierci – to jego dzieło. To wszystko sprawił Jacko!

– Ależ Kirsten, ty zawsze uwielbiałaś Jacko – . krzyknęła Hester.

– Być może – odparła Kirsten. – Być może. Wciąż powiadam, że był nikczemny.

– Myślę, że ma pani rację – zgodził się Calgary – ale w drugiej kwestii myli się pani. Wstrząs mózgu czy nie, moja pamięć jest absolutnie jasna. W wieczór śmierci pani Argyle podwiozłem Jacko w ustalonym czasie. Nie ma możliwości – powtarzam te słowa z całą stanowczością – nie ma możliwości, żeby Jacko Argyle zabił swą przybraną matkę tego wieczoru. Jego alibi jest mocne.

Leo poruszył się z pewnym zniecierpliwieniem. Calgary kontynuował.

– Myślicie, że powtarzam się mówiąc tę samą rzecz w kółko? Niezupełnie. Są nowe punkty do rozważenia. Jednym z nich jest zeznanie, które dostałem od nadinspektora Huisha, że Jacko był bardzo wymowny i pewny siebie, gdy podawał swoje alibi. Miał wszystko w pogotowiu, jak na zamówienie, czasy, miejsca, prawie jakby wiedział, że będą potrzebne. To się wiąże z rozmową, którą przeprowadziłem na jego temat z doktorem MacMasterem, mającym szerokie doświadczenie w kwestii przestępczych przypadków. Powiedział, że nie był zaskoczony morderczymi skłonnościami Jacko, ale zdziwiło go popełnienie właśnie takiej zbrodni. Że spodziewałby się raczej, iż Jacko namawiałby kogoś innego do popełnienia morderstwa. Doszedłem więc do punktu, w którym zapytałem siebie: Czy Jacko wiedział, że zbrodnia zostanie popełniona tego wieczoru? Czy wiedział, że będzie potrzebował alibi i umyślnie zadbał o zapewnienie go sobie? Jeżeli tak, ktoś inny zabił panią Argyle, ale Jacko wiedział, że ma ona zostać zabita, i można jasno powiedzieć, że był on moralnym sprawcą tej zbrodni. Zwrócił się do Kirsten Lindstrom:

– Pani to wyczuwa, prawda? Pani to wyczuwa albo pragnie pani to wyczuć? Pani czuje, że to Jacko ją zabił, a nie pani... Wie pani, że działała pani na jego polecenie i dokonała tego pod jego wpływem. Zatem pragnie pani, by cała wina spadła na niego!

– Ja? – spytała Kirsten. – Ja? Co pan mówi?

– Mówię – powiedział Calgary – że tylko jedna osoba w tym domu może pasować do roli współnika Jacko. I to jest pani, panno Lindstrom. Jacko miał przeszłość, przeszłość świadcząca, że umie wzbudzać miłość w kobietach w średnim wieku. Posługiwał się tą umiejętnością rozmyślnie. Miał dar sprawiania, że mu wierzą. Calgary pochylił się do przodu.

– Zalecał się do pani, prawda? Uwierzyła mu pani, że zależy mu na niej, że chce się z panią ożenić, że kiedy wszystko się skończy i będzie miał więcej możliwości dysponowania pieniędzmi matki, pobierzecie się i gdzieś wyjedziecie. To jest prawda, co?

Kirsten wpatrywała się w niego. Nie mówiła nic. Wyglądała jak sparaliżowana.

– Zabójstwo zostało przeprowadzone okrutnie, bez serca i rozmyślnie – ciągnął Arthur Calgary. – Przyszedł tutaj tego wieczoru po pieniądze zrozpaczony, z perspektywą aresztowania i wyroku skazującego. Pani Argyle odmówiła mu pieniędzy. Wtedy zwrócił się do pani.

– Czy pan sobie wyobraża, że wzięłabym pieniądze pani Argyle, żeby mu dać, zamiast moich własnych?

– Nie. Dałaby mu pani swoje pieniądze, gdyby nie to, że nie miała ich pani wcale... Miała pani niezły dochód z renty kupionej przez panią Argyle, ale sądzę, że do tej pory wyssał panią doszczętnie. Był więc zrozpaczony i kiedy pani Argyle poszła do męża do biblioteki, wyszła pani z domu do czekającego chłopca i

on powiedział, co musi pani zrobić. Najpierw dać mu pieniądze, a potem, zanim kradzież zostanie odkryta, zabić panią Argyle. Żeby nie mogła odkryć kradzieży. Powiedział, że to będzie łatwe. Musi pani wyciągnąć tylko kilka szuflad, aby wyglądało to na robotę włamywacza, który dostał się do domu i uderzył ją w tył głowy. To będzie bezbolesne – powiedział. On załatwi sobie alibi, więc musi pani zrobić tę rzecz dokładnie w ustalonym czasie, między siódmą a pół do ósmej.

– To nieprawda – powiedziała Kirsten. Zaczęła się trząść. – Pan zwariował, skoro mówi pan takie rzeczy.

W jej głosie nie było jednak oburzenia. Mówiła mechanicznie i ze znużeniem.

– Nawet gdyby to była prawda, myśli pan, że pozwoliłabym, żeby został oskarżony o morderstwo?

– O tak – rzekł Calgary. – Ostatecznie powiedział pani, że musi mieć alibi. Spodziewała się pani, że może go aresztują, a potem udowodni swoją niewinność. To wszystko stanowiło część planu.

– Ale dlaczego nie miałabym uratować go, jeśli nie potrafił dowieść swojej niewinności?

– Może z jednego powodu. Z tego powodu, że następnego dnia po morderstwie zjawiła się tu żona Jacko. Pani nie wiedziała, że był żonaty. Dziewczyna musiała powtarzać to dwa czy trzy razy, zanim jej pani uwierzyła. W tym momencie świat się dla pani zawalił. Zobaczyła pani Jacko takim, jakim był – bez serca, kanciarz, bez cienia uczucia dla pani. Przekonała się pani, do czego panią nakłonił.

Nagle Kirsten zaczęła mówić. Słowa płynęły bezładnie.

– Kochałam go... Kochałam całym sercem. Byłam głupią, łatwowierną, zaślepioną idiotką w średnim wieku. Sprawił, że mu uwierzyłam. Mówił, że nigdy nie dbał o dziewczęta. Powiedział... nie potrafię powtórzyć panu wszystkiego. Kochałam go. Mówię wam, że kochałam go. A wtedy przyszło tutaj to głupie, wdzięczące się dziecko, ot taka zwyczajna sprawa. I zobaczyłam, że wszystko było kłamstwem, podłością, nikczemnością... Jego nikczemnością, nie moją.

– Tego wieczoru, kiedy przyszedłem tutaj, pani się bała, prawda? Bała się pani tego, co się zdarzy. Bała się pani także o innych. O Hester, którą pani kocha, o pana Argyle, którego pani lubi. Uświadomiła pani sobie być może, co mogło się z nimi stać. Ale głównie bała się pani o siebie. Widzi pani, do czego panią doprowadził strach... Ma pani jeszcze dwie śmierci na sumieniu.

– Powiada pan, że zabiłam Tinę i Philipa?

– Oczywiście, że zabiła ich pani. Tina odzyskała przytomność.

Ramiona Kirsten opadły w geście rozpaczy.

– Więc to ona zeznała, że pchnęłam ją nożem. Nie myślałam, że zdawała sobie z tego sprawę. Naturalnie, byłam szalona. Byłam szalona już poprzednio, szalona z przerażenia. To było blisko... tak blisko.

– Przytoczyć pani słowa Tiny, gdy odzyskała przytomność? Powiedziała: „Filiżanka była pusta”. Wiedziałem, co to znaczy. Pani udawała, że niesie pani filiżankę kawy Philipowi Durrantowi, ale naprawdę już go pani zabiła i wychodziła właśnie z pokoju, kiedy usłyszała pani nadchodzącą Tinę. Więc odwróciła się pani i udawała, że wnosi tacę. Później, choć dziewczyna była prawie nieprzytomna wskutek szoku spowodowanego śmiercią Philipa, zauważyła, że upuszczona na podłogę filiżanka była pusta i że nie było koło niej śladów kawy.

– Ale Kirsten nie mogła jej zabić! – wykrzyknęła Hester. – Tina zeszła na dół i wyszła do Micky’ego. Była zupełnie zdrowa.

– Drogie dziecko – rzekł Calgary. – Zdarza się, że zaszytyletowani ludzie przechodzą całą ulicę, nie wiedząc, co się im stało. Będąc w stanie szoku, Tina ledwie wiedziała, co się z nią dzieje. Ukłucie, może lekki ból. Spojrzał znowu na Kirsten.

– A potem wsunęła pani nóż do kieszeni Micky’ego. To była najpodlejsza rzecz ze wszystkich.

Ręce Kirsten uniosły się błagalnie.

– Nie mogłam się powstrzymać... nie mogłam nic na to poradzić. To było tak blisko... Wszyscy zaczynali się orientować. Philip już to odkrył i Tina... Myślę, że Tina podsłuchiwała, co Jacko mówił do mnie tamtego wieczoru koło kuchni. Wszyscy zaczynali się domyślać... Chciałam być bezpieczna. Chciałam... ale nigdy nie można być bezpiecznym – jej ręce opadły. – Nie chciałam zabić Tiny. Co do Philipa...

Mary Durrant wstała. Przeszła przez pokój wolno, ale zdecydowanie.

– Zabiłaś Philipa – powiedziała. – Ty zabiłaś Philipa! Nagle rzuciła się na Kirsten jak tygrysica. Gwenda błyskawicznie podbiegła i zdażyła ją złapać. Calgary także podbiegł i wspólnie zatrzymali Mary.

– Ty... ty!... – krzyczała Mary. Kirsten popatrzyła na nią.

– Co go to obchodziło? Dlaczego węszył wokoło i zadawał pytania? Nigdy nie był zagrożony. To nie była dla niego sprawa życia i śmierci. Dla niego to była tylko zabawa.

Odwróciła się i poszła powoli do drzwi. Nie spojrzawszy na nich wyszła.

– Zatrzymaj ją – krzyknęła Hester. – Musimy ją zatrzymać.

– Pozwól jej odejść, Hester – powiedział Leo Argyle.

– Ale... ona się zabije.

– Raczej w to wątpię – odparł Calgary.

– Tak długo była wierną przyjaciółką – rzekł Leo. – Wierną, oddaną... a teraz coś podobnego! – Myśli pan, że odda się w ręce policji? – spytała Gwenda.

– Jest bardziej prawdopodobne – oświadczył Calgary – że uda się do najbliższej stacji i złapie pociąg do Londynu. Rzecz jasna nie zdoła uciec. Będzie śledzona i złapią ją.

– Nasza kochana Kirsten – powtórzył Leo drżącym głosem. – Taka wierna, taka dobra dla nas.

Gwenda chwyciła go za ramię i potrząsnęła.

– Jak możesz, Leo, jak ty możesz? Pomyśl, co zrobiła nam wszystkim, jakie zadała nam cierpienia.

– Wiem – odrzekł Leo – ale ona sama również cierpiała. Myślę, że to jej cierpienie odczuwaliśmy w tym domu.

– Mogliśmy odejść w tym cierpieniu na zawsze, jeśli o nią chodzi! Nie stało się tak dzięki doktorowi Calgary'emu – Gwenda zwróciła się do niego z wdzięcznością.

– Wreszcie zrobiłem coś, aby pomóc, choć dosyć późno.

– Za późno – powiedziała Mary z goryczą. – Za późno! Och, dlaczego nie wiedzieliśmy, dlaczego nie odgadliśmy?

Zwróciła się oskarżycielsko do Hester:

– Myślałam, że to ty. Zawsze myślałam o tobie.

– On tak nie myślał – odparła Hester, patrząc na Calgary'ego.

Mary Durrant powiedziała cicho:

– Chciałabym umrzeć.

– Kochane dziecko – rzekł Leo. – Bardzo pragnąłbym ci pomóc.

– Nikt nie może mi pomóc. To jest tylko wina Philipa, uparł się, żeby tu zostać, mieszać się w tę sprawę. Sam się zabił.

Popatrzyła na wszystkich.

– Żadne z was tego nie rozumie.

Wyszła z pokoju.

Calgary i Hester poszli za nią. Kiedy wychodzili, Calgary zobaczył, jak ręka Leo otacza ramiona Gwendy.

– Wiesz, ona mnie ostrzegła – powiedziała Hester patrząc oczami rozszerzonymi ze strachu. – Ostrzegła mnie na samym początku, żebym jej nie wierzyła, żebym się jej obawiała jak innych...

– Zapomnij o tym, kochanie – rzekł Calgary. – To właśnie musisz teraz zrobić. Zapomnieć. Wszyscy jesteście znów wolni. Niewinny nie pozostaje już dłużej w cieniu winy.

– A Tina? Wyzdrowieje? Nie umrze?

– Nie sądzę, by miała umrzeć. Ona kocha Micky'ego, prawda?

– To możliwe – rzekła Hester ze zdziwieniem. – Nigdy o tym nie myślałam. Zawsze byli bratem i siostrą. Ale oczywiście nie są rodzeństwem.

– Przy okazji, Hester, czy przychodzi ci do głowy, co miała na myśli Tina, mówiąc: „Gołąbka na maszcie”?

– „Gołąbka na maszcie”? – Hester zmarszczyła brwi. – Poczekaj. Brzmi to bardzo znajomo. „Gołąbka na maszcie, gdy szybko płyniemy, pograża się w żałobie”. O to chodzi?

– Możliwe.

– To piosenka – powiedziała Hester. – Rodzaj kołysanki. Kirsten śpiewała ją nam. Pamiętam tylko fragmenty: „Mój najdroższy stał po mojej prawej stronie”, i coś tam jeszcze. „Dziewczyno najdroższa, nie ma mnie tu. Nie ma dla mnie miejsca. Nie mieszkam na wodzie ni lądzie, tylko w sercu twym!”

– Rozumiem – rzekł Calgary. – Tak, rozumiem...

– Może pobiorą się, kiedy Tina wyzdrowieje i pojedą razem do Kuwejtu. Tina zawsze chciała mieszkać tam, gdzie jest ciepło. Nad Zatoką Perską jest gorąco, prawda? – Powiedziałbym, że wręcz za gorąco.

– Nie może być za gorąco dla Tiny.

– Teraz będziesz szczęśliwa, moja droga – powiedział Calgary ujmując ręce Hester. Spróbował się uśmiechnąć. – Poślubisz swego młodego doktora, spoważniejesz i nie będziesz więcej przeżywać szalonych pomysłów i głębokiej rozpacz.

– Poślubić Dona? – spytała Hester zaskoczonym tonem. – Ależ nie zamierzam tego zrobić.

– Przecież go kochasz.

– Nie sędzę, że bym go naprawdę kochała... Tylko mi się wydawało. On nie wierzył we mnie. Nie wiedział, że byłam niewinna. Powinien to wiedzieć.

Spojrzała na Calgary'ego.

– Ty wiedziałaś! Myślę, że chciałabym wyjść za ciebie.

– Ależ Hester, jestem o wiele lat starszy od ciebie. Naprawdę nie możesz...

– To ty mnie nie chcesz – powiedziała Hester z nagłą niepewnością.

– Och, ja ciebie pragnę! – zawołał Calgary.

* Słoneczne Miejsce.

* Żmijowe Miejsce.

* Wenus w pełni związana ze swoją zdobyczą.